

TOM CCXXXX

SERYA 8

ROK 60

ZESZYT 716

De II 1.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

GRUDZIEŃ.

1900.

---

TOM IV. — ZESZYT 3.

---

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.

—  
1900.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. O „KRZYŻAKACH”, — przez Maryę Konopnicką . . .	393
II. ZWROT W MODERNIZMIE NIEMIECKIM. II. DRAMAT, — przez d-ra Józefa Flacha . . . . .	443
III. WŚRÓD STEPÓW I JARÓW. Kultura przeddziejowa, — przez Ksawerego Chameca . . . . .	465
IV. GWIAZDA BETHLEEMSKA, (wiersz), — przez Michała Radziwiłła . . . . .	501
V. NA SKRAWKU ZIEMI. Nowella, — przez Maryana Ga- walewicza . . . . .	503
VI. O KIERUNKU BADAŃ EKONOMICZNYCH, — przez St. A. Kempnera . . . . .	543
VII. ZIMA (poezye), — przez Edmę Mierz . . . . .	560
VIII. PIŚMIENICTWO. Zygmunt Głogier: „Rok polski w życiu, tradycji i pieśni”. Warszawa, 1900; — Antonina Matuszewic: „Dwa prądy”. Lwów, 1900, — przez Z. D. . . . .	564
Józef Dunin-Karwicki: „Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości”. Wołyńskie opowiadanie historyczne. Warszawa, 1901. — przez M. R. . . . .	570
IX. KRONIKA MIESIĘCZNA. Śmierć Naczelnika kraju. — Kilka słów o telefonach w Warsza- wie. — Kolej plocka. — Wydawnictwo „Zbioru praw Królestwa Polskiego”. — Nowy program wykładu je- zyka polskiego w szkołach średnich. — Tablica, po- święcona pamięci Słowackiego. — Jubileusze . . .	571
X. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	585



De II. I.

# O „KRZYŻAKACH“.

## I.

Ogromna dalekość dziejowa i ogromna uczuciowa bliskość, oto dwa momenty naczelne „Krzyżaków“. Dalekość tkwi w ludziach, rzeczach, w wypadkach, i otwiera przed nami głęboką, skroświekową perspektywę, w którą gdy patrzeć chcemy, duch nasz rzuca się w nią, jak wicher i jak płomień. Tak potężnie i niepowstrzymanie przyciąga nas, porywa uczuciowa bliskość, wypełniająca epickie przestrzenie czasu dramatem żywym, rozgrywającym się od dni prastarych aż po Grunwald, i od Grunwaldu aż po dzień dzisiejszy.

Której potęgi nie ma w sobie ani „Potop“, ani „Pan Wołodyjowski“, ani „Ogniem i mieczem“. Bo one mówią o nagłych wybuchach czasowej powodzi, która zerwała tamy, zadała klęski, ale, odparta, minęła, i pewno nie wróci. Zaś „Krzyżacy“ mówią o wielkiej, wielkiej wodzie, podmywającej nas stale i na każdy czas.

Nad Dzikiemi Polami, i nad Zbarażem, i nad murami Jasnej Góry przeszumiały skrzydła potężnych wichrów, umiatając prochy zwy-

ciężców i zwyciężonych w jeden mir, w jedno zapomnienie. Ale nad Grunwaldem nie przesumiały te skrzydła. Grunwald dziś jeszcze mógł-by rozegrzmieć nad światem równą dawnej nawałnicą, gdyby wypadki dziejowe dały pole rwącym się przeciw sobie duchom, tak wszystkie pierwiastki przedwiekowej burzy tkwią w atmosferze współczesnego życia.

Nad Dzikiemi Polami, nad Zbarażem, i nad szturmem Jasnej Góry zapadła „dawność“ dziejowa tak, jak dawność prawna zapada nad niepopieranemi przez zwaśnione strony sporami. Chwila historyczna minęła, bronie zwróciły się gdzieindziej, lub zgoła opadły, bój uciechł, wróg przestał być wrogiem.

Ale nad Grunwaldem dawność taka nie zapadła. Proces dziejowy trwa, wre walka nieugasła, a chociaż bronie są dziś inne, moc niewiści, która kieruje niemi, równie jest śmiertelna.

A tak, ten wielki rapsod epicki drga z końca w koniec wibrującym dreszczem żywego dramatu, a ta „powieść historyczna“ ma w sobie tyle psychicznej aktualności, iż w ręku mniejszej miary, niż Sienkiewicz, mistrza, spokój i posągowość jej linii co chwila namiętnie były-by zrywane.

Gdy wszakże dzieło stoi pelne i zrównoważone w przedziwnym spokoju swojej skończoności, pytam się: skąd to poszło i jak to osiągnąć mógł twórca, że materya, wprost kipiąca wrzątkiem współczesnych oburzeń, z formy mu nie wybiegła, że dała się, owszem, tak karnie ujarzmić i przelać w kształt doskonałego epickiego piękna? Otóż, gdy się zbliżka przyglądam tej sprawie, spostrzegam, iż stało się to przede wszystkim mocą szczęśliwie wybranych w zamysłu i bacznie strzeżonych w wykonaniu granic dziejowego momentu. Moment jest wyniosły, mało co wysunięty przed Grunwaldzkie pole. Z jednej strony morze krzywd i walk, daleko poza powieścią rozlane, i tylko co bliższą falą w wątek jej bijące; z drugiej — piorunowa burza odwetu, która oczyszcza atmosferę i przynosi ukojenie duchom.

Nic to, że plaszcz krzyżacki, białością swoją i krzyżem osłaniający morderczą, plemienną walkę, opadł i wdeptany był w grunwaldzki majdan po to tylko, aby odkryć wzniesione przeciw nam ramie niemieckie i pierś niemiecką — bez krzyża!

Dla dzieła, osadzonego w mistrzowsko wybranym dziejowym momencie, tu jest kres, tu jest pełnia jego epickiej całości.

Wie o tem twórca. Po rozmachu potężnym ręki czuje, że uczynił zacios, na którym historia stanąć musi, aby się na wstecz obrócić i na Grunwald spojrzeć.

A tak ów moment dziejowy odrabany został słowem tem, jak stroma skalna ściana niezdobytej reduty, od wszystkich późniejszych

kłęk, i stanął nad ogromnem bojowiskiem wieków wyniosły, porywający oczy.

I to jest tajemnica kunsztu tego konstrukcyjna, rozrządzająca budową powieści, kładąca pod nią głębokie psychiczne fundamenty. Na nich to, mimo falowania wzburzonych uczuciowych prądów, stoi dzieło jakby na kotwicy, zapuszczonej w samą głąb niewzruszonych pokładów dziejowej sprawiedliwości.

Ta jest tajemnica tego nadwyczajnego kunsztu, za sprawą której twórca, w drżący od potrącenia tysiąca strun współczesnego dramatu wątek zdołał tchnąć głębokie epickie ukojenie.

To mocne czucie siły dobywa Sienkiewicz z dzieła swego przedewszystkiem przez danie szerokiej, pewnej podstawy ludziom i wypadkom.

Ta szeroka, pewna podstawa dzieła — to ziemia.

W Sienkiewiczowskim dziele ziemia, to nie krajobraz jedynie, i nie tło, i nie akcesorya. Bo krajobraz, to tylko uśmiech ziemi, albo jej zasmęcenie, albo gniew, albo tęskność, albo szata królewska, czy kmieca. A tło — to różność ziemi od obrazu życia, to jej inszość, choćby najharmonijniej zestrojona, ale przecież inszość od ludzi i faktów; akcesorya zaś — to drugorzędność miejsca i dodatkowość wagi, to coś, co może być, ale może i nie być także.

Ale ziemia u Sienkiewicza, to przedewszystkiem grunt pod stopą życia, to źródło życia i prawo do życia. Co się ziemi trzyma i w niej tkwi — to żyje.

Inni ośpiewali ziemię, jak kochankę; od źdźbła trawy, od rąbka jej szaty, do tatrzańskich szczytów, tego skalnego dyademu jej czoła — ośpiewali ją, to grozną i zimną, to miłującą i wiośnianą.

Ale Sienkiewicz widzi w niej nadewszystko i nadewszystko nam w niej pokazuje — matkę. Matkę-rodzicielkę, matkę-karmicielkę, matkę-piastunkę pokoleń.

Więc kiedy owi inni budzą w nas zachwyt i upojenie tak lotne, że prawie porywające nas ponad przedmiot upojenia i zachwytu, ponad ziemię samą, — Sienkiewicz tuli nas do niej, zbliża, na łono jej kładzie, a serce nasze jest w jego ręku, jako kwiat mdlejący, który on w ziemię wciska, ziemią umacnia, ziemią zasila, iżby mógł w niej żyć.

Pierwsze też, naczelne i najwybitniejsze rysy ziemi w Sienkiewiczowskim dziele, to jej żywotność i siła. Jest ona, niezaprzeczenie, i piękną ta ziemia; ale przedewszystkiem pięknością umiłowanego gniazda i bezpiecznego fundamentu życia.

Moment powieści, przelomowa chwila kultury i głębokich ekonomicznych zmian w położeniu kraju, uwydatnia te rysy żywotności i siły w sposób niezmiernie wdzięczny, plastyczny.

W Małopolsce ziemia już buja plonem, już kwitnie chlebem, już współpracuje z człowiekiem pilnie, zabiegliwie. Gęste i ludne wsie, uprawne pola, sady, pasieki, śpichrze, całe to „gospodarstwo króla Kazimierzowe“, i dawniejsze jeszcze opackie, nadają jej obliczu rys mądrej skrętności, pogodnego rozkwitu, wiary w jutro, pracy dla jutra, głęboki rys świadomej siebie żywotności.

Ale na Mazowszu i innych borowych dziedzinach, ledwie że opadają z piersi ziemi przedwiekowe puszcze, w ogromnych hukach siekier i toporów. Wielkie, obłędne wody ledwie że się ściągają w co rzładniejsze ciekę. Tam się obnaża dopiero zatajone łono ziemi, łono przebogate, prześwieżę, chcące rodzić, karmić, piastować — miliony. Wszystko tu jest wyrazem siły, owszem, siłą samą. Potężne sośnie, żylaste, wzniesione w rozmachu ramię, warczący topór, głuchy poryk zwierza, ustępującego borami gdzieś aż w knieje Litwy. Jakiś jędrny dech przenika te pierwsze borowe „dukty“, te ledwo że oświłte ziemię, dech mocnego, silnie zakorzeniającego się życia i czucia się w życiu.

Otóż te rysy naczelne ziemi, jej siłę i jej żywotność, daje nam uczuć Sienkiewicz w całym swoim dziele. W całym dziele jest ziemia widomą, ważną podstawą życia i zasadą życia

I tutaj-to, na tem właśnie polu, stanął Sienkiewicz tuż przy Mickiewiczu. Bo i dla Mickiewicza jest ziemia więcej matką, niż kochanką; więcej domem ducha i krynicą życia, niżeli czarodziejstwem przyrody.

Otóż właśnie takie Mickiewiczowskie pojmowanie ziemi, daje dziełu Sienkiewicza potężną osadę w czuciu powszechnem, będąc zarazem pierwszorzędnym czynnikiem epickiego spokoju, epickiej równowagi dzieła.

Który to spokój i która równowaga nie na czym innem polega, jak na możności odniesienia się, odwołania, od wszelkiego zjawiska chwili, do czegoś, co trwa i poza tem zjawiskiem, i poza tą chwilą także; do czegoś, co jest niewzruszonym fundamentem wszelkiej budowy życia.

I tu jest jeden z najsilniejszych węzłów, jakimi Sienkiewicz ludzi swoich połączył w dziele z ziemią. Wszyscy oni, starzy i młodzi, ziemianie i rycerze, niewiasty i mężowie, kniecie nawet, są tem powszechnem czuciem ziemi, jako podwaliny życia i jutra — objęci. Tkwi ono w nich już to świadomie, już nieświadomie, z taką przecież wyrazistością i mocą, że stanowi samo zarzewie ich uczuć, oraz najwyżwotniejszą, najbezpośredniejszą, choć często instynktowną tylko, pobudkę ich czynów.

Ale pierwszym skutkiem zadzierzgnięcia węzła tego w dziele jest przedziwna odpowiedniość fizyczna i duchowa ludzi tych i tej ziemi, przedziwne tkwienie ich w sobie i wzajemne dopełnianie się. Życie jest jeszcze tak proste, czynniki jego tak mało złożone, narzędzia kultury tak nieliczne i tak świeże, iż ludzie istotnie zdają się rosnać w ducha i w czyn, wprost z umiłowania macierzystej ziemi. Ona jest natchnieniem, mądrością i siłą. Ona rozdaje sławę, bogactwa, zaszczyty. Ona hoduje rody bohaterów i mężów mocnych w radzie.

## II.

Na takiej-to podstawie szerokiej, pewnej, idzie budowa jutra w Sienkiewiczowskim dziele potężnym krokiem naprzód, ludzie zaś jego są przedewszystkiem budownikami przyszłości. A to od owego koronowanego cieśli, który zakłada fundament zjednoczenia ziem Litwy i Polski, aż do Maćka z Bogdańca, wznoszącego „kasztel“ dla prawnucznych „Gradów“: i od smolarzy, wyrębujących z żywicznych jodeł nietrzebione bory pod swoje dymne ogniska i budy, aż do rycerzy, wyrębujących ziemie polskie z Niemców, pod gmach ojczystej wielkości i chwały.

Daje to dziełu całemu ogromny ruch, ogromny blask i życie. Ruch<sup>z</sup>gzoła niezależny od raźniej, lub mniej raźnie toczącej się opowieści; ruch wewnętrzny, organiczny i organizujący, który jest nie czem innym, jak bystrym prądem wezbranego życia, jak wrzątkiem stającej się rzeczy.

Tę bujność, ten przyływ życia, tę pracę stawania się, maluje Sienkiewicz w „Krzyżakach“ tak barwnie, że, lubo traktowane jako tło, samym obrazem przecież zaćmić się nie dają, i stale nam są, skroś obrazu, widne.

Jakoż cokolwiek dzieje się w powieści, słyszymy ciągle, to bliżej gdzieś, to dalej, huk toporów, dobywających z pod puszczy rodzajne nowizny; skrzyp soch po karczowiskach borowych, gwar osiedlin nowych rojów ludzkich. I cokolwiek dzieje się w powieści, słyszymy ciągle, i od jej wątku niezależnie zgola, turkot wozów ciągnących do Krakowa ze zbożem, solą, drzewem, rybą, skórami, turkot bryk, wio-

zących z miasta postawy sukna, beczki piwa i różny miejski towar; a trakt krakowski zawałony taborem tych bryk i tych wozów, stoi nam w oczach różnobarwny i zgiełkliwy, jak jarmarczny majdan, bez względu na to, czy nim rycerze walą, czy nie walą.

Zazwyczaj wszakże — walą.

Uderza to w „Krzyżakach“, iż ludzie są tam prawie ciągle w drodze i na koniu. Przeciągają dwory książęce, przeciągają orszaki panów i rycerzy; przeciągają pojedynkiem, samowtór, samotrzeć, kupą; na wschód, na zachód; a gdyby tak na upartego policzył, okazałoby się, że taki naprzykład Maćko z Bogdańca, trzy czwarte powieści wprost przejeździł, że już o młodszych nie wspomnę.

Jakaś gwałtowna żądza i potrzeba ruchu, jakieś instynktowne parcie naprzód, przed siebie, ku jutru, jakiś pośpiech w wybieganiu naprzeciw czasom i zdarzeniom tkwi w ludzkich duszach, jak bodący oścień. Kto wesół, rzeźki, silny, ten konia siodła i jedzie. Kto zaśię smutny, bolejący i zdeptany dołą, ten także konia siodła i także jedzie. Jedzie z pieśnią na ustach, lub z frasunkiem w sercu; jedzie z pacholikiem, lub bez pacholika, z tarczą, lub bez tarczy, z blizkim, lub zgoła nieuchwytnym celem, ale zawsze z tem niemylnem czuciem, że go coś rwie, coś pcha, coś woła. Tak czyni Maćko czasu zdrowia i choroby, tak czyni Zbyszko czasu wesela i żałości, tak czyni opat z waganiami swymi, tak czynią wszyscy niemal, bo aż do dziewcząt nawet, a kto za piecem doma siedzi, porasta w kudły jako Cztań, i za chłopa stoi. Ba! Śmierć nawet sama konno za Zygfydem jedzie, i nagli go do pośpiechu na gałąź, zdyszany w truchcie szepem...

Dopiero taki, który z boju życia pniem obrąbanym wyjdzie, jako Jurand, dopiero taki odpoczywa trochę — przed wieczną podróżą.

A i temu jeszcze echa dawnego ruchu przynosi pieśń, jak owa, którą rybaltowie Jurandowi zapadającemu w zmierzch wieczny śpiewają:

Jadzie Jurand, jadzie,  
Na cisawym koniu...

A w cichej, prawie że klasztornej komnacie, słyhać daleki gdzieś, daleki tentent cisawego...

Zauważmy wszakże, iż cały ten ruch w ludziach, ruch indywidualny i zewnętrzny, jest wyrazem ogólnego, wewnętrznego pędu ku



przyszłości. Zauważmy, że jest to bicie pojedynczych, drobnych fal, w wielkiem i szumnym rozkołysaniu wezbranych, bujnych wód życia. Ze, owszem, jest ruch ten, w znacznej swojej części, nie czem innym zgoła, jak instynktownem szukaniem choćby chwilowego ujścia dla tego nadmiaru sił, o którym mówi Sienkiewicz, iż „rozpierał rody i całą społeczność tak, że była jako war, który musi z naczynia wykypieć“.

Ale jeżeli ruch ten bywa nieraz w figurach powieści instynktowny tylko, jak na przykład w Zbyszku, gdy, nie mogąc sobie rady znaleźć po Danusinej śmierci, siodła konia i z dworca precz jedzie, — w sprawie budowy powieści jest ruch ten zawsze świadomie użytym, i mistrzowsko zastosowanym do biegu wypadków czynnikiem. Nie tylko bowiem wtajemnicza on nas w głęboki i często sam sobie nieświadomiony pokład ówczesnej duszy ludzkiej, dobywając z niej na światło rys ogólny, a bardzo znamieny, ale otwiera przed nami na oścież całe wnętrze kraju, jego drogi i bezdroża, jego zamki i dwory, wsie i grody, jego polne i puszczańskie ziemie, jego różnobarwne dzielnice, jego kulturę, obyczaj, pojęcia, uczucia, jego bogactwa i niedostatki, jego zewnętrzne i wewnętrzne życie. Bierze tu poprostu Sienkiewicz cały ruch ten, cały pęd pod wiosło swoje, jak posłuszną fale, nastawia mu żagiel, jak podatnemu podmuchowi wiatru, posługując się tym naturalnym motorem z wielką epicką maestryą, tak dla zbliżania i rozdzielania ludzi z ludźmi i wypadków z wypadkami, jako też dla nawiązania rozległej sieci komunikacyjnych środków między epoką dzieła i percepcją naszą. A tak cały ten ogromny materiał epicki, zupełnie prawie wyzwolony od czynników narracyjnych, które z natury swojej musiały-by mu odjąć wiele pierwiastków poetyckiego piękna, — cały ten materiał roztacza się przed nami, jako szereg przepysznych obrazów, ukazujących się w oprawie coraz to innego momentu, i w świetle tak różnolitem, jak różnolita jest ta psyché ludzka, przez której pryzmat na obrazy owe patrzymy. A jest to jedyne zwierciadło, nie fałszujące czasu swego: samo bowiem jest i dziełem jego, i odbiciem.

Bo ten czas prastary zgoła nie jest wykładany w „Krzyżakach“ w języku nowoczesnych pojęć, co musiało-by koniecznie otrząść go z osędzialości jego, i patynę jego szacowną uszkodzić; on zawsze i wszędzie jest wykładany w języku pojęć i uczuć, współczesnych sobie.

Żaden też moment powieści i żaden psychiczny jej motyw nie jest mędrszym, doświadczeńszym i bardziej złożonym od swojego czasu, co właśnie nadaje dziełu nietylko przedziwny wdzięk i świeży ru-

mieniec życia, ale także ogromny ład, ogromną zawartość i logikę organiczną prawie.

Ale do tych decydujących względów przybywa jeden jeszcze — ważny. Oto ten ruch, ten wrzątek nadmiaru sił żywotnych, nie był u nas zjawiskiem luźnym, miejscowym, i od tła ogólnego życia oderwanym. I w reszcie Europy działo się mniej więcej toż samo. I tam tkwił w duszach ludzkich ten oścień bodący.

Tylko że w tych innych, nie tak polnych, nie tak może silnie tkwiących w macierzystej ziemi ojczyznach, ruch ten pchał ludzi za granice kraju i społeczeństwa, wyrrywając z powszechności jego co bujniejsze jednostki; u nas zaś pchał on ludzi raczej za granice czasu, za granice przeżywanego momentu, pchał ich ku jutru, i wyrażał sobą ów „pęd niewstrzymany, którym idzie do wielkości dusza powszechna“. Samo wszakże zjawisko tej niemożności trwania w miejscu, zjawisko, nieodłączne od fermentu stawania się, leżało niezawodnie w powszechnych warunkach życia, i oddziaływało na szerokich przestrzeniach.

Jakoż, oprócz postronnych, przebywających w Malborgu rycerzy, z których każdy po za wojennem ćwiczeniem szukał „girlandy awantur“, gęsto snuje się w powieści—taki pan de Lorche naprzykład którego obca fala na brzeg nasz rzuciła, i o którym zarówno powiedzieć można, iż szuka rycerskiej sławy, jak i wiatru w polu. Ze, pomijając kupy przeróżnych wagantów, wspomnę tylko jeszcze takiego Sanderusa, który z charakteru pątnika nawet przy pełnej misie nie wychodzi i zawodowo, iż tak rzekę, guza po świecie szuka.

A tak, do tego rysu bujności życia, który się owym nadzwyczajnym ruchem w powieści tłómaczy, przybywa jeden jeszcze rys ogólny, a bardzo znamieny, — rys pochylenia się owoczesnej Polski—ku Zachodowi.

Istotnie: cała ta kraina, tak bujna, tak wezbrana życiem, i której handlowi świeżo się otwarły „niezmierzone ruskie i litewskie kraje“, cała ta kraina jest zapatrzona, zasluchana—w Zachód.

Są-ci jeszcze w oknach błony albo róg strugany; ale oczy wybiegają przez te okna daleko na Zachód. Jeszcze się bramy miejskie zapadają o zmierzchu z loskotem wrzeczędz i brzękiem łańcuchów; ale wrażliwość na podmuchy Zachodu—dzień i noc otworem stoi. A nietylko stoi otworem u mieszczan, którzy z natury swojej są żywiołem najruchliwszym i najbardziej na wiatr podanym—ale i u ziemian, rycerzy. Stąd też, kiedy w Tynieckiej gospodzie „Pod lutym turem“, opowiada bywalec, co i gdzie widział po świecie, zarówno

mieszczankowie z pod składanych czerwonych sukiennych czapek, jak i rycerze z pod kryjących im włosy pątlików—nastawiają ucha.

Nic to, że w takim Sieradzu, gdzie Zbyszko na gospodzie wywiesza deskę z wyzwaniem każdego, kto stanąć zechce na bój pieszy, albo konny, ku czci Danusinej enoty i urody—wyzwania tego nikt przeczytać nie umie, a gdy się znalazł rozumiejący pismo „Clericus“, który deskę wyrozumiał, słuchacze dźwigają ramionami i mówią: „głupi!“

Bo najpierw, „Sieradz przeciw Krakowu jest, jak głównia przeciw słońcu“—powiada Maćko z Bogdańca— a powtóre, przygodziło się to nietylko w Sieradzu, ale i w Łęczycy także, a i w innych wielu grodach też przygodzić się mogło.

Za to Mazowsze, na granicznym okraju ziem polskich leżące, już zna, już naśladuje pilnie wszelki obyczaj rycerski, a śpiewny dwór księżny Anny Danuty cały na obyczaju tym stoi.

Rycerstwo, kawalerstwo, to nie dźwięk już pusty. To dla starszych „zakon czci bojowej z wrogiem i przeciw wrogu“, a dla młodszych szkoła rycerskiej służby i rycerskich ślubów.

Co prawda, to śluby te nie wszyscy jeszcze dobrze rozumieją. Kiedy pan de Lorche, spotkanym na drodze rycerzom, ni stąd, ni zowąd oświadcza, iż dama jego, czterdziestoletnia i zamężna pani Ulryka, której oni na oczy nie widzieli, jest najcudniejszą i najcnotliwszą, ba, najmłodszą z dziewic, we wszystkich królestwach świata, i zaraz ich na bój śmiertelny wyzywa, gdyby temu przeczyć chcieli—Maćko z Turobojów trzy razy spluwa w bok, gdyż ma posadek, że w onym kawalerze „dyabeł siedzi“. Dopieroż, jak mu z nagła w samo ucho krzyknie: „Pochwalony!“, a pana de Lorche „ani to nie zapieniło, ani o ziem nie rzuciło“—uspakaja się stary szlachcie i mówi:—„Mozem jechać“.

Co młodszy wszakże, nawet i nie pasowani jeszcze rycerze, znają formy ślubów takich, i chowają je pilnie, z „cudną, dziewiczego serca godną, powagą“. Oni praktykują, owszem, cały naiwny wykwent rycerskiej służby wobec „paniej swojej“. Tak przy porannem spotkaniu Danuśki, cofa się Zbyszko krokiem, jakoby porażony urodą, której przez noc „paniej“ onej przybyło, choć to był przecie taki sam „skrzat“ dziś, jak i wczoraj.

Ten wpływ Zachodu pokazuje nam Sienkiewicz, nie tylko od strony obyczaju rycerskiego, ale i od strony rycerskich korzyści.

Wiadomo, jaką rolę w Zbyszkowych losach odgrywa owa zdo-byta na fryzyjskim szlachciu, biała atlasowa, haftowana w złote gryfy „jaka“, że już nie wspomnę o „prześlicznych spodniach, też

zdobycznych, u których każda nogawica była w inne pasy. Kiedy się Zbyszko w stroju owym ukazał dworowi księżny Anny Danuty,“ ta „jaka“ i te pasiaste nogawice czynią na obecnych „mocne wrażenie,“ i prawie przysiądz-by można, że wywołują nietylko podziw i zazdrość, ale chęć naśladownictwa także. Gdy zaś strój ten przywdziewa Zbyszko do Zgorzelic, Jagiencie zdaje się wprost, że to królewicz z bajki, tak inny, tak cudniejszy jawi się jej w tym stroju, nad wszystko, co i przy największym odpuście w Krześni widzieć mogła. I albo bardzo się mylę, albo sprawa kudłatego Cztana, który o zakład w półkożuszku chadzał, w tym właśnie momencie, wobec tej fryzyskiej „jaki“ i wobec tych zielono-czerwonych i niebiesko-pomarańczowych nogawic—z kretesem przepadła.

Skądinąd wszakże, i to jest zaznaczenia godnem, ta Polska, wzorująca się naiwnie na obyczaju Zachodu, wie o tym Zachodzie daleko więcej, niżeli on o niej.

Nietylko rycerze nasi wielbią i rozważają sławę wielkiego „Jana z Arragonii,“ ale pospolita szlachta wie naprzykład, że „do kuzszy najlepszy Angielczyk“, że „Czech obrotny do toporu“, a „Szwajcar do żelaznego cepa“. Wie, że „najwięksi rycerze z Francyi pochodzą, i że bijąc się z konia czy pieszo,—okrutnie waleczne słowa gadają“, których wszakże nie wyrozumiesz, „bo ta mowa jest jakoby w cynowe misy brząkał“. I podczas, gdy to wszystko wie zwykła szlachta, pijąca piwo w tynieckiej gospodzie, taki pan de Lorche, po świecie jeżdżący, pewien jest, że Litwini są Saracenami, i że w kurpińskiej puszczy lęgną się smoki, którym ludność musi dawać „dziewice“ na pożarcie. Owszem. On gotów nawet przeciw tym smokom walczyć i dziewice owe z paszczek ich wyzwalać. A tak pokazuje się, że gdy owa tradycyjonalna nieświadomość — Francyi zwłaszcza o nas, sięga w przeszłość głęboko, i wierna jest do dziś sobie—w Polsce na przestrzeni całych wieków była zawsze żywa i silnie rozbudzona ciekawość do spraw i życia Zachodu.

A potem mieszczaństwo. Ówczesne krakowskie mieszczaństwo, to nietylko już arterya dla wpływów Zachodu: to w znacznej części sam Zachód, klinem między rdzenną masę ludności wbity, który, w złoto pęczniąc, siedział mocniej coraz.

Już to się „nosi górnice“, już za pan brat z wojakami i ziemianami „sytnie piwo“ pije, już się „królewskimi mieszczanami zwie“, a w rzeczy są to prawe Niemce. Jeden się nazywa „Gamroth“ a drugi się nazywa „Eietretter“, a insi też nielepiej pewno. Słyszcy taki o różnych światowych sprawach, to zaraz to do Niemców ciągnie, głowę kręci i wola: „Niemcy dobrzy rycerze!“ A choć polskiej mo-

wy, jako z dawna osiadły, zażywa, gdy się czem zdumieje — krzyczy: „Christ!“, jako i owe łyki z Tynieckiej gospody. A czas jest taki, że właśnie na takich Eiertretterach i Gamrothach stoi przemysł kraju. Ci to są bowiem sławni sukiennicy i „farbiarze“ krakowscy, którzy, może z Augsburga przyciągnąwszy, już się tu w warsztaty i w kramy fundują; już swoje „Mercatorium“, już swój „Dzinghaus“ w Krakowie mają. I ci są, nie mniej sławni piwowarzy, którzy w ogromnych piwnicach pod Ratuszem rejwodzą i kolo „Schrotamt“ całe góry beczek zataczają.

Jakoż w Tynieckiej gospodzie Niemiec gospodarzem siedzi i mile patrzy na „Sowizdrzałów“, pokazujących szlachcie i kmieciom różne niemieckie sztuki. A jako razem ze złotem i władza, i powaga urzędu chodzi, niejeden Niemiec ławnikiem w Ratuszu siedzi, a „mistrzem“ pełniącym katowską powinność na Krakowskim Rynku też jest Niemiec. Bał samo owo opactwo tynieckie, które pod sobą sto wsi trzyma, toć to najżyźniejsza grzęda, na której, w samym sercu kraju, buja wszelaka niemieckość, a wpływ Zachodu się pleni. Bo już tu Polska nie jest dawną Polską. Już jednolitą masę narodowego żywiołu przygrzało bystrzejsze słońce dziejowego rozwoju i już się masa owa rozpekła na odrębne, wyraźną linią oddzielone od siebie części: gmin i stany, a w rozpukliny owe już wszczepił się i zakorzenił pierwiastek cudzy, silny ekonomiczną przewagą. Już i wyrabiająca się coraz potężniej władza odrębność stanów tych przywilejami podpira, aby się sama na nich oprzeć mogła.

Już więc nietylko mieszczaństwo „królewskim“ się nazywa, iż władza do niego jak do skarbcza sięga; ale i szlachta, i rycerstwo z rąk króla opatrzenia patrzy, i opatrzenie to istotnie bierze, już to w przywileju, już w ziemi. Ale, jeżeli przywilej wzmaga znaczenie szlachty, jako stanu, ziemia mało kogo bogaci. Bo choć jest zagon, rąk na nim do pracy niema. Bogactwem ziemi jest dopiero chłop osadzony na roli. Ale o chłopą takiego łatwo nie było. Królewscy kmiecie na własnych gruntach siedzą, a luźny osadnik trudniejszy jest do utrzymania w owych niespokojnych czasach.

Myśli, przemyśliwa stary Maćko, skąd takiego osadnika weźmie. A choć w kalecie złota ma dość na to, żeby Bogdaniec, puszczony Opatowi zastawem, wykupić, trapi się, iż Opat chłopów osadzonych przez siebie na zastawie owym, istotne bogactwo ziemi tej, zabierze.

A tu już widać prawie ciągnące czasy, kiedy owe ręce pracowite, żyłaste, mocne, nie na swoim orzące, przykute zostaną prawem do ziemi tak, żeby jej porzucić nie mogły. Teraz porzucają. Teraz

osadnik, gdy mu zbyt ciężko pod panem, albo gdy luna niesnasek zbyt blisko w oczy zaświeci, ucieka z budy swej w bory. Co na tem traci? Prawie że nic nie traci. Głodu i chłodu zaznał nieraz i bez boru, a zyskuje bezpieczną ochronę. Uciekali chłopci w bory gęsto w owe czasy, i za niszczącej kraj walki Grzymalitów z Nałęczami, i później także.

A tych, co się osiedzieli w budach, ziemianie odmawiali sobie wzajem bez zbytecznego skrupułu.

— „Po „żrebiu“ dobrej ziemi im dam — rozmyśla chytrze Maćko o Wilkowych chałupach z Brzozowej, i nagle nabiera otuchy.

Ale było jedno jeszcze źródło dla zdobycia rąk do pracy około roli. Tem źródłem był ów „mął na kresach“, prawie, że nie ustający, w którym można było jeńca — a choćby tylko „tatarskich koniuchów, —natroczyć.“

— Boga mi! — mówi Maćko, szykując sprzęt wojenny — Żeby tak choć z piędziesiąt chłopca nabrać, można-by godny szmat puszczy wytrzebić, i przyczynić ziemi.“ „Przyczynić ziemi“ to jakby przyczynić życia. Nie dla siebie przyczynić, lecz dla — rodu.

Bo co nas w tych ludziach uderza, to silne uczucie rodowości. Uczucie to zasila się u samego pnia życia, u samej podstawy życia; a źródłem jego jest powszechne, blizkie, bezpośrednie czucie żywotności i mocy ziemi, którą rody płodzi. Jest to jak gdyby pierwszy obrót kapitału tej żywotności i mocy na rzecz społeczeństwa, pierwszy związek, i pierwszy sojusz z nią, jako — z ojczyzną. W tem wszakże silnem uczuciu rodowości jest coś więcej jeszcze. Bo ród u tych budowników jutra, sam sobie celem — w zasadzie — nie jest. Mogli tacy Grzymalicy i tacy Nałęczowie wtrącić kraj w odmet wojny domowej, stanąwszy przeciw sobie, jako wrogie, nie poza nienawiścią swoją nie widzące rody. Mogli to uczynić i insi jeszcze. Zawsze jednak był to wyjątek haniebny i krwawy. Na ogół biorąc, tak, jak od własnej wygody, od własnego użycia i wczasu, umiano się odnosić do pomyślności nienarodzonych jeszcze pokoleń i pracować na nią; tak samo od pomyślności rodów umiano się odnosić, chociażby przez uczuciem tylko, do szczęścia i wielkości ojczyzny, dla której rody te żyć i kwitnąć miały.

Było to więc jak gdyby zabiegliwe gromadzenie materiału na gmach wspólnego życia i wspólnego szczęścia. Gromadzenie jednostronne niezawodnie, i w jednostronności tej wybudane, bezładne, ale nie ciasne i nie egoistyczne, bo oparte o pojęcie owej dziejowej chwili, iż naród — na rodach stoi.

Było to tak, jak gdyby wielu pracowników, niezwiązanych żadnym architektonicznym planem, żadnym stylem i porządkiem, wznosiło luzem wiele pojedynczych kolumn, bacząc tylko na to, aby każda kolumna stała mocno i wysoko szła, aby sklepienie, którego jasna lub mniej jasna wizya powszechną przecieź była, oprzeć się na niej i bezpiecznie spocząć mogło.

I wznosiły się kolumny krzepkie, śmigłe, wprost z trzonu ziemi rosnące, bardzo nierówne wszakże, bardzo różnolitej wielkości i mocy. A pracownicy ciągle jeszcze wznosili oczy ku jasnej wizyi sklepienia.

I rosły kolumny coraz wyżej, i coraz więcej miejsca zabierały, co silniejsze, — tłumiąc inne. I urosły tak, że sklepienie, które się na nich wsparło, przebiły i strzeły — w słońce. A wtedy przypadł wicher mocny i uderzył w nie, i zatrzęsł niemi, i padły. A sklepienie gmachu też padło, nie mając na czem-by się oprzeć mogło. A stało się to wtedy, kiedy pracownicy utracili z oczu moc i bezpieczeństwo sklepienia, wzbiwszy wzrok upojony za śmigłością kolumn.

Ale teraz ten czas przyszedł jeszcze. Teraz była jeszcze pogoda, była praca i nadzieja, było widzenie i czucie przyszłości.

Bo co istotnie zastanawia, to silny instynkt, iż te rody, około wzniesienia których krzątają się jednostki, że te rody mają misję swoją dziejową. Że nie istnieją dla siebie tylko, i tylko jako takie. Że nie obracają się około własnej osi. Że owszem, gdy ród zczeźnie, i w ojczyźnie coś się skończyć musi. Że musi ulecieć z niej cząstka ducha i cząstka życia. Stąd nietylko dbałość o ród i przywiązanie do rodu, i poczucie wagi rodu.

Kiedy Maćko z Bogdańca błagał króla o łaskę dla Zbyszka:

— „Królu! — mówi — toć to ostatni z rodu! Ulituj się nad rodem naszym!“

I zaraz uczuciem żalu za tym ginącym rodem porwany, chce za Zbyszkową głowę własną głowę dać, iż stary już jest i synów rodowi nie spłodzi.

-- „Ciężko ci jest — mówi — iść człowiekowi na śmierć, alic lepiej że człowiek zginie, niżby ród miał zginąć“.

Tak mówi Maćko z Bogdańca do króla.

A do Boga tak:

— „Panie Boże, skoroś nas — (niby: Gradów) stworzył i w Bogdańcu osadził, to teraz pilnuj, żebyśmy nie zczeźli!“

Jeżeli jednak czucie wagi rodów było nieraz instynktowne tylko, pierwszorzędnym i zarazem świadomym siebie składnikiem uczu-

cia rodowości było pożądanie sławy. Sława—to było najcenniejsze, przekazać się synom i wnukom dające, dziedzictwo; to był także klejnot najkosztowniejszy w spuściźnie po przodkach. Rody na sławie stały i sławą rosły. Jakoż każda z tych kolumn, na których wesprzeć się miało sklepienie gmachu ojczyznej wielkości, każda z tych kolumn miała głowicę uwieńczoną gałęzią wawrzynu. A jest to jedyny u nas motyw kapitelu, uznany w budownictwie rycerskich rodów.

Ale i dla siebie każdy rycerz marzy o tem, żeby „chodzić w sławie, jak w słońcu“.

Żądza sławy, to żądza najgorętsza i od żądz posiadania żywsza. I posiadanie bowiem—a to jest pięknym rodowodem naszej ziemiańskiej rzeszy—przychodziło dopiero za sławą.

A jest ta kolejność w poczuciu powszechnem tak naturalną, tak prostą, że długo opiera się na niej ustrój ekonomiczny kraju, jego stosunki polityczno-prawne.

Jakoż klasy, nie mogące się okryć sławą, są klasami nie posiadającymi. I kto wie, czy przy tym instynkcie gromadności, którą Lelewel pilnie zaznacza, jako ważny element naszego charakteru narodowego, kto wie, czy chłopci byli-by u nas tak długo odsunięci od posiadania ziemi, gdyby posiadanie to właśnie od okrycia się sławą zależnem nie było. Świadczy o tem niechybnie otwarta droga nobilitacyi dla wszystkich mężnych, droga, którą wiele chłopskich rodów między szlachtą szło, i nietylko na ziemiach królewskich kmieciami siedzieć, ale ją posiadać mogło. Ze wspomnę tu tylko uszlachconych przez Batorego bohaterów Wielkołuńskiej potrzeby, którzy nagle, tak, jak stali we krwi i w siermięgach, zabłąśli rycerską sławą.

Ale jeżeli żądza sławy jest osobistą i narodową, uwielbienie sławy jest powszechnem i kosmopolitycznem. Cała ówczesna Polska pilnie dowiaduje się o postronnych wślawionych męstwem i siłą rycerzach, a za prostaka stoi ten, kto imion ich nie zna. Najmilszą wszakże i sercom, i uszom, jest sława ojczyzna.

— „Powiadajcie! Sławcie naszych!“ — woła niecierpliwie szlachta, gdy Maćko, zmęczony wyliczaniem przewag polskiego rycerstwa, ustaje.

Bo to „sławienie“ jest ludzom owym, jakoby nacuńniejsza pieśń i muzyka najśłodsza, która się nigdy nikomu naprzykrzyć nie może. Bo ta ojczyzna sława, to jakby wielkie jasne ognisko, którego blask pada na wszystkich społec. Tu już ludzie chlubią się nietylko swoim, ale i cudzem męstwem, nietylko swoją, ale i cudzą siłą.

— „Tenby mnie zmógł!“ — mówi szlachcic o panu Powale z Taczewa, z taką przechwałką, jakby w tem zmożeniu sam część sławy brał.



Więcej nawet. To jasne ognisko sławy ojczyściej jest jak gdyby samym płomieniem narodowego życia, a świetny piuropusz jego zaslania sobą wszelką mękę i wszelką ofiarę.

— „Będzie sława!—wołają rycerze, na wieść o blizkiej już wojnie. Nie wołają: Będzie śmierć!—ale— „Będzie sława!“

Bo śmierci jakoś ci ludzie Sienkiewiczowscy wcale się a wcale nie boją. Nie już tej rycerskiej w boju, o którą zabiegają prawie, ale nawet tej zwykłej, „wszystkim przyrodzonej“; nawet tej, która katowskim mieczem godzi w młodą głowę i w młode nadzieje. Leży Maćko z Bogdańca w gospodzie pana Powaly z Taczewa, i Zbyszko też leży. A jest chwila po skardze Lichtensztejna o napad na tynieckim gościńcu. Chwila pełna niespokojności dla Maćka, co się stanie ze Zbyszkową głową. Stary władyka zasnąć nie może.

— Zbyszku?—rzecze.—A tamten:

— A co?

— Bo tak pomiarkowawszy wszystko, myślę wszelako, „że ci głowę utną“.

A Zbyszko sennym głosem:

— „Myślicie?“

I odwróciwszy się do ściany smaczno zasypia.

Kiedy znów Maćko z Bogdańca choruje na oną drzazgę żelazną z niemieckiego brzeszczota pod żeblem—rozpowiada mu Zbyszko, jako Bogdaniec wykupi, a zaś na Mazowsze ruszy. A stary władyka:

— „Po mojej śmierci?“

Na co Zbyszko:

— „Jeśli prędko zamrzecie, to po waszej śmierci; ale was wpierw godnie pochowam.

Bo i to należy do charakterystyki tego rysu, że ludzie dowiadują się ciekawie, jak pójdą sprawy, których dokończenia sami oglądać nie będą. Chcą owszem pewność co do tego mieć, że śmierć ich w niczem biegu spraw tych, biegu życia nie przerwie.

Jakoż pilnie wypytuje Zbyszko stryjca, jak i co będzie z Lichtensztejnem, gdy jemu kat głowę utnie. Idzie mu nietylko o to, iżby zapowiedź rycerska posłana Niemcowi była, ale chciał-by wiedzieć jak się bój odbędzie. Czy na udeptanej ziemi, czy konno, czy pieszo? A stary:

— „Abo tak, albo tak. Ale jeno na śmierć. Już ty się nie frasuj!“

A Zbyszko.

— „Bóg wam zapłać! Lżej będzie umierać.“

Nie twardszego na pozór, a w rzeczy nie bardziej rozrzewniającego, jak te rozmowy Maćka ze Zbyszkiem czekającym kaźni.

— „Już ty się nie bój! — mówi mu stary władyka. — Nie będą twoje kości szukały jedna drugiej na ostatnim sądzie. Trumnę ci też kazałem sporządzić dębową, że i kanonicy od Panny Maryi lepszej nie mają! Ba, i tego nie dopuszczę, żebyć mieli ścinać na tem samym suknie, na którem mieszczuchów ścinają. Jużem się z Amylejem zgodził, że da całkiem nowe“.

A w Zbyszku serce się uradowało, więc pochyliwszy się do ręki stryjca, rzecze:

— „Bóg wam zapłać!“

Tak Maćko znów po chwili:

— I na mszę ci też nie pożałuję.

I tak idą te rozmowy, prawie, że na progu śmierci, a Maćko rozpowiada o przedniości owego Amylejowego sukna, jakby tu nie szło o podkład pod tę drogą głowę, która się po niem potoczyć miała, i za którą on sam przecież chce własną w zamian dać...

Żadnego patosu, żadnego bohaterskiego gestu, żadnego robionego tragizmu. Zupełnie jakby to się toczyło samą falą życia. I tu jest ogromne mistrzostwo Sienkiewicza.

Bo pomyślmy tylko, że to nie jest ani tępość tych ludzi, ani obojętność, ani brawura, ani nawet wzgarda śmierci, tylko sama treść dusz bardzo prostych i bardzo w tej prostocie mądrych; dusz, w których jest ogromna przewaga natury nad kulturą, i które dlatego właśnie, i przez to, akty natury przyjmują spokojnie, bez wzdrygnięć, bez dreszczów.

Pomyślmy, iż te dusze są nam pokazane zarazem w męskiej tęgości swojej i swych rzewnych głębiach; w surowej powadze rzeczy wiecznych, i w najpotoczniejszej naiwności, w bujnej sile życia, i w śmiertelnem pogotowiu do grobu; w dziecięcej niemal wierze, i w zdrowej, jędrnej filozofii. A to wszystko przy pomocy techniki, opartej nie na kontrastach barw, i nie na sztucznym dobieganiu ich i harmonizowaniu, ale polegającej na kładzeniu tuż obok siebie barw tych, tak, jak one pierwotnie istnieją w naturze samej. I to w szalenie natężonem świetle ostatnich momentów życia, w świetle, które, samo jedno może, zdradza wszelki fałsz, wszelkie odstępianie od prawdy i prostoty — na pół, na ćwierć tonu.

Więc tu nietylko trzeba było bystrego oka, żeby ten rys zasadniczy dusz owych wypatrzeć, ale i ogromnej artystycznej miary, żeby się w odtwarzaniu go ustrzedz wszelkiej jaskrawizny. I nielada też ręki było trzeba, żeby całą tę rzecz, chwiejącą się między powiewem

życia, a podmuchem śmierci, utrzymać w równowadze i swobodzie piękna. Żeby jej nie przechybnąć, ani w stronę oschłości, ani w stronę gaskonady jakiejś.

Jedno, co ułatwiło Sienkiewiczowi genialne odtworzenie całego psychicznego momentu, to wnिकnienie w te dusze naiwne i wzuiośle zarazem od strony ich wiary.

Wiara ta—wcale niepodobna do naszej—jest bardzo żywa, bardzo świeża, bardzo czynna. Niema w niej żadnego zatopienia się w abstrakcyi, żadnego skostnienia w teorii, żadnego—że tak powiem—zamykania się na głucho i na cztery spusty. Cały kapitał wiary tych ludzi jest kapitałem obrotowym ich życia. Cały jest w obiegu praktyki codziennej, potrzeby potocznej i w doraźnem stosowaniu w czynie.

Wiarę tak samo każdy ma w sercu, jak miecz ma przy boku: jedno i drugie—w ciągłym użyciu—błyszczy. Nie tu się nie odkłada na chwile solennych uroczystości i rzadkich występów; wiara tak jest powszednia, jak chleb i jak woda.

I Bóg tych ludzi jakiś bliższy ziemi. A niebo, choć ksiądz Kałeb powiada, że wozem do niego nie zajadzie, wydaje się jak gdyby gdzieś było na przystąpieniu zaraz.

I Bóg, i niebo, mają swoje porządki, dobrze wszystkim znane. To jakby król i dwór, i obyczaj też tak jakby królewski i dworski, a nieco dyplomacyi zgoła tam nie zawadzi. Już to w tej dyplomacyi z Bogiem i z niebem najtęższym politykiem jest Maćko z Bogdańca.

Wie on, że „o leda głupstwo, gdzie i święty poradzić może,“ do samego Pana Boga dobijać się nie należy. Dopieroż kiedy z „Gradammi“ krucho, rozkłada ręce i mówi:

— Ha Boska to sprawa!

Albo mówi:

— Kiedyś nas Panie Boże stworzył i w Bogdańcu osadził, to teraz pilnuj...

„Poprawdzie nie mała to jest rzecz na cały świat dawać baczenie i o niczem nie zapomnieć — mówi — Aleć Boska głowa to nie ludzka!“

I zaraz wspomniawszy woski i meszne, jakie do Krześni szły, a podczas i śluby także swoje, dodaje nie bez otuchy:

— Człowiek się też przypomina czem może...

W tych sprawach z niebem i chytrłości trochę nie zawadzi.

— „Pan Bóg wszechmocny, bo wszechmocny“—mówi Maćko—ale i na moce niebieskie są sposoby, jeno rozum trzeba mieć.

Wogóle, pewne praktyczne radzenie sobie, pewne oryentowanie się w tych niebieskich sprawach, jest niemal konieczne. Kiedy Maćko ma dar dać, albo ślub uczynić, pilno przegląda w myśli registr świętych, od czego tam który patronem jest, żeby daru onego czy ślubu nie zmarnować, a wybierać patronów co zaniejszych, i co potężniejszych. A ma wątpliwość jaką w tem, to księdza się radzi, bo „to ksiądz i na czytaniu się zna, i z Duchem świętym jest w pobliżkości.“

A i to dobrze, kiedy do niebieskich pomocy i ziemska otucha przybywa. Czyni ksiądz Wyszonek krzyż nad jadącym samotrzeć do wojsk Witoldowych Zbyszkiem:

— „Pod tym znakiem — mówi — nie dosięże cię zła przygoda“.

A Maćko — ot tak całkiem po Rejowsku:

— Pewnie, ale i to też dobrze, że konie czyniły parskanie okrutne.“

Za to na Litwie, „która jest jako dziecię w lnach białych i świeżo ochrzczone“, ani śladu tego spoufalenia się z niebieskimi sprawami. Tym niedawnym czcicielom Perkuna, ten Chrystus, którego „każden wyznawa, choć nie kaźden umie“ — przedstawia się jakby w piorunowych błyskach, a uczucie strachu jest tu od uczucia czci nierozjętem jeszcze. Córa Kiejstutowa, Anna Danuta, choć już na Mazowszu księżną siedzi, przekracza progi świątyń z potajemnym lękiem, a i król Jagiełło, na widok wspaniałych obrzędów kościelnych, doznaje uczucia niespokojności, czy też jest dosyć chrześcijańskim królem.

Bo przy tem dobrem imieniu chrześcijańskiego królestwa, cała Polska, jak przy własnej czci stoi. Kiedy Lichtenstejn po spotkaniu z rycerzami z Bogdańca na tynieckiej drodze, podnosi na uczcie głos skargi i mówi, że „Królestwo powiada się krześcijańskie, ale obyczaj w nim pogańskie“, zrywają się na to „wielmoże groźni, potężni, sławni w bitwach i turniejach, płonąc gniewem, blednąc, zgrzytając zębami i wołając: Gorzel!“

Bo dla królestwa tego było „krześcijaństwo“ ono nietylko dogmatem wiary, ale etyką życia, nietylko legitymacją czci rycerskiej i równouprawnienia z innymi cywilizowanymi królestwami, ale prawem i zakonem obyczaju.

Tak były te serca ludzkie wtedy, gdy jeszcze nie ze wszystkich wież kościelnych rozlegał się głos dzwonów, a w wielu świątyniach, tak, jak w Krześni, odzywały się kołatki tylko.

Taka była ta „dusza powszechna, idąca niestrzymanym pędem do wielkości“, i taki był ten lud, którego król pozdrawiał słowami:

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“

A on królowi odpowiadał:

— „Na wieki wieków!“

### III.

Dwojakim trybem tworzy Sienkiewicz postacie swoje w „Krzyżakach“. Jedne traktuje kunsztem malarskim, i te, jak obrazy, całe stoją na barwie, na świetle, na perspektywie i na czarodziejstwie optycznej ułudy; drugie zaś ciosa jak posągi, i te mają tęgość, moc, jędrność i rzeczywistość wymiarów rzeźby.

I jest w tem głęboki rozmysł artystyczny.

Bo przedewszystkiem sposobem malarskim traktuje Sienkiewicz te historyczne postacie, którym nasze gotowe już pojęcia o nich dają pewne tło, pewną nawet barwę, a sama dalekość dziejowa perspektywy głębokiej używa.

Tak występuje, otechniona błękitem zaświata i oddalenia, postać królowej Jadwigi, która, gdy nam się jawi na tle kościelnej nawy i wysokich stall kościelnych, nie tylko patrzymy na nią sami, jak na cudny, prawie, że niezemskiego uroku obraz, ale zaczynamy jasno rozumieć fakt, iż lud, także ją w kościele przeważnie widujący, i także w jej słodką twarz, jak w obraz zapatrzony, właśnie w tem wrażeniu obrazu, jakie na nim czyniła smutna, a jasna pani, wyczerpnął pierwszy impuls do nazywania jej „świętą“. Ale tak samo po malarstwu jest traktowany i Jagiełło, chociaż się jaśni nie tylko na tle kościoła, ale i na tle uczy, i na tle bitwy także, a zatem w momentach bardzo różnych, i które-by jednolitość postaci—jako obrazu—koniecznie rozbić musiały, gdyby je autor był pogłębił i czynniki ich psychiczne na pierwszym planie postawił. Tak wszakże nie jest. Ani budowa powieści, ani rola w niej Jagiełły nie wymagały pogłębienia takiego, a może-by go nawet—bez szwanku dla siebie nie zniosły. Owa zaś różnorodność tła, zupełnie zneutralizowaną została przez silne ujęcie postaci króla w malarskiej syntezie linii oraz barwy. Jakoż Jagiełło, przy swoim skąpem, zwartem słowie, przy stałe jednostajnym geście, przy tej swojej śniado-ognistej twarzy, która, czy ją duma przyziębi, czy gniew podpali, niewiele się już w kolorze odmieni, ten Ja-

giełło Sienkiewiczowski, mimo różnolitości tła, na którem występuje, sprawia niewątpliwie wrażenie obrazu, pomyślanego i wykonanego w jednym zasadniczym tonie, i w jednym zasadniczym rysie.

Obie też te postacie, i króla, i królowej, są — jeśli tak rzec można — dekoracyjne, i należą raczej do sceneryi powieści, niżli do jej wątku. A chociaż kilka barwnych i cudnych momentów około nich się osnuwa — że wspomnę tylko owo morze głów ludzkich pod murami zamku, morze ogromne, ciche, a rozkołysane obawą o życie królowej, — żadne przecież istotne zawikłania powieściowego wątku przez nie rozstrzygniętemi nie są i od nich prądu swojego nie biorą. Jakoż, nie „święta królowa“ ocala Zbyszka na krakowskim rynku, ale prastare prawo obyczaju, dziewiczej nałęczce uczyszające moc łaski. Inie król, choć woła: — „Już dość!.. Już mi dość!“ — przechyła szalę na śmiertelną stronę wielkiej wojny, ale sama szali tej pełność ją przechyła.

A tak, gdy ważne momenty psychiczne powieści nie w postaciach tych napięcie swe i rozwiązanie czerpią, czynią tembardziej postacie owe takie wrażenie, iż choć do pełności historycznej dzieła niezbędne, znajdować się w niem przecież mogą „in effigie“ — jakby.

Bo i ten Vernetowski skok króla w bitwę, gdy go tuż tuż ogarniają płomienie Grunwaldu, choć nas uderza bezpośrednim, żywym ruchem, przecież, jako wywołany zewnętrzną, przypadkową przyczyną, i także na zewnątrz jakoby tego ogromnego bojowiska stojący luzem, jest raczej skok ten malowniczym momentem, niżeli momentem psychicznym.

Nie należy jednak mniemać, iż twórca „Krzyżaków“ zadowolil się tu jakimś martwym, jakimś konwencyonalnym szablonem. Owszem, obie postacie, i króla, i królowej, są wytworną kreacją, której życie, ruch i oddziaływanie wymierzone są podług ściśle artystycznej miary i ściśle zastosowane do punktu widzenia, z którego oglądane być mają. Bo oglądane być mają z pewnej oddali — o tem zapomnieć nie należy — a już co królowa, to zgola w jakiejś powietrznej liliowości, która ją całą precudnie owiewa.

Żywszą, pełniejszą ruchu, na bliższym powieściowemu wątkowi postawiona planie i traktowana energiczniej, ale także całkiem po malarsku, jest księżna Anna Danuta, która, gdy się pojawia, działa przedewszystkiem na nasze wrażenie wzrokowe. Czy dwór jej zajeżdża księżycową nocą „z brzękaniem lutni, z parskaniem koni, z śpiewaniem, a księżna staje na progu „z śmiejącą się twarzą, w czerwonym płaszczu, zielonej obcisłej szacie i poźlocistym pasie na biodrach, otoczona pannami mazowieckimi,

pacholikami, rybałtami,“ czy dosiada konia przed puszczańskim dworem i na łowy jedzie, czy Zbyszka nawiedza i cieszy w kaźni, czy się naradza z księdzem Wyszońkiem, wszędzie i przedewszystkiem uderza nas jędrna a wytworna linia tej postaci, jej soczysty koloryt, niezmiernie barwne tło i bogate akcesorya. Już same te panny mazowieckie w różowych i liliowych wianuszkach, jedne z luteńkami w ręku, inne z pękami świeżo uzbieranego w polu kwiecica, pośpiewujące, upojone pogodą nocy i blaskiem księżycy, wyglądają tak, jakby tylko co zeszyły ze „Złotych schodów“ Burne Jones'a, po których genialny prerafaelista także same postacie, śpiewne i dziewicze, w przedcudnej wizyi zstępujące widział.

O duszy księżnej wiemy niewiele. Wiemy o niej tyle, ile jej pokazała przez udział w losach Zbyszkowych i zależnie od nich. Wiemy, że jest dobrotliwa, łaskawa, współczująca. Ale takiego psychicznego pogłębienia, które-by jej dawało pełne wymiary indywidualnego, samoistnego życia, bez względu na tok opowiadania, i ta dusza w powieści nie ma.

Raz tylko odkrywa się ona przed nami taka, jaka jest sama w sobie; ale właśnie w tym momencie tworzy Sienkiewicz z postaci księżnej obraz tak uroczy, że nasz wzrok oczarowany nie widzi nic, prócz przepysznego tła pełnej świateł, grzmotu organów i bicia dzwonów świątyni, i prócz tej klęczącej pani, która, cała owiana obłoczną sinością kadzielných dymów, trzyma rozłożone ręce na wysokości twarzy i utopiwszy zachwycone oczy w gorejącym światłami ołtarzu, trwa tak w tym wicherze pieśni, zapatrzona, zasłuchana, uniesiona w zaświat gdzieś, nad ziemię.

A Danusia? Danusia cała stoi na barwach i światłach jak obraz. Jest poprostu—malowana nie pisana, i my ją przedewszystkiem—widzimy. Co tam takie ptaszątko myśli, co czuje, skąd nam wiedzieć? Ma to jakieś swoje radości, jakieś smutki i trwogi, ale że ta duszyczka, mało co sama siebie świadoma, tak nam jest pokazana, jak wątły płomyk, zatłony po to tylko, żeby prześwieślał sobą zewnętrzny kształt wiotki i powierzchwną delikatną barwę. Zaczem, gdy męka niewoli kształt ten złamie i kolor ugasi, płomyk ów zaćmi się także, jakoby już było nic po nim. Jakoż najwyższy patos tej postaci wyrazi się w niej zmęceniem barw i linii życia, zatraceniem perspektywy duchowej i światła. W oczach nam poprostu zblednie i zniknie Danusia w męce swej, a i sama sobie tak, jakby po niej rozciągnęła się zasłona gęsta, ciemna.

Powiada Sienkiewicz, że gdy Zbyszko, mający ślubować Danusi, zobaczył ją w sukience białej, długiej, sztywnej, w wianuszkach z nie-

śmiertelników na rozsutych włosach, zdawało mu się, że to nie ziemska dziewczyna, ale obrazek świętej jakowejś, który już gdzieś kiedyś widział na kościelnej szybie.

Ale to właśnie pewny ślad, że sam Sienkiewicz pojął i wymalował tę postać dziewczynki tak, iż wyglądała jak święta na kościelnej szybie, trochę już przybladła od tchnień zaświata, i już w śmiertelnych kolorach cmentarnego kwiecia, iż jej to w samym zamysle poetyckim śmierć sądzona była.

Ale i wtedy, kiedy Danusia wydaje się Zbyszkowi „ziemską dziewczyną“—na nas, a i w zamiarze autora także—czyni stale wrażenie obrazu, który też na kościelnej szybie malować-by można. Zwłaszcza też w przeciwstawieniu do Jagienki, która zawsze ukazuje nam się bardzo żywa, bardzo istotna, ciepła cała i różana od mocnych, zdrowych instynktów życia, wskroś jakby przejęta żywiczną wonią tych borów, po których się w kozuszkę na wywrót i okrakiem na siodle siedząca—ugania.

Co do Danusi, weźmy naprzykład ten pierwszy z brzegu moment. gdy ona na ławie, między siedzącymi po brzegach rybaltami, z luteńką stoi, „przetowłosa“, w niebieskiej szatce i w czerwonych szpiczastych trzewikach, a podniosłszy główkę zmruża oczęta „jak ptak, który chce śpiewać“.—Czy to nie obraz?

Albo ten drugi, gdy na ogromnem tle krakowskiego rynku i bijącej godziny tracenia, biała, przez pana Mikołaja z Długolasu wysoko nad stubarwnym tłumem niesiona, rzuca nałęczką na głowę Zbyszkową, już w lunach katowskiej czerwieni stojącą...

Albo...

Ale nie. Po co wybierać poszczególne momenty, w których nam Sienkiewicz Danusię pokazał, skoro postać w samym jej pomysle już po malarsku ujęta, aby być tem, czem jest, potrzebuje stale pewnego tła, pewnej perspektywy, pewnego oświetlenia, zupełnie jak obraz.

Potrzebuje ich w życiu i przy śmierci. Nic cudniejszego, jak ta wielka kreacya malarska, która się pogrzebem Danusi nazywa.

Sienkiewicz komponuje ten wspaniały plain'air tak, jakby miał przed sobą płótno, stalugi, a w ręku paletę i pędzle.

Rozległa, przygrzana słońcem łąka. Ludzkie postacie chodzą w słońcu, wśród bujnych traw, krążąc to bliżej, to dalej, schylając się i rwąc złoty kaczeniec, liliowe dzwonki i różowe smolki. W głębi kosiarz postaje i nabija kosę. Wielka grusza cień ścięle szeroki. Cisza. Cały bezmiar ciszy błękitnej nad światem. Nasycone światłem powietrze mży złotem na leżną równinę. Na dalekim horyzon-



cie mroczą się głębokie bory. A z szerokiego cienia wielkiej gruszy, wprost na widza idą zwolna, zwolna, śmiertelne mary Danusi. Idą — nakryte kwieciami. Cała litania kwiatów idzie za Danusią umarłą. Cisną się, tulą, do rąk jej, do piersi. Ona sama w tej polnej śmierci swojej jest jako kwiat w łące skoszony, a „twarz jej wśród dwonków lilii bieleje cicha, ukojona, i poprostu anielska“. I idą tak, z łąk jasnycych ku cichym borom, śmiertelne mary Danusi, a dokoła „niewiasty obarczone zbywającymi pękami ziół i kwiatów. I idą tak, po szerokich błoniach, pomiędzy trawami łąk, a szarym ugiem, pod ogromną złotą, zorzą wieczorną, jak gdyby w wieczny blask i w wieczną jasność.“

. . . . .

Ale tym, po malarsku pojętym postaciom, które ukazują nam się, jak gdyby na jednej tylko płaszczyźnie psychicznej, mającej perspektywę swoją poza sobą, a nie w głąb duszy idącą, postaciom, którym stale towarzyszą zjawiska świetlne i barwne, wywołując w nas przede wszystkim wrażenia wzrokowe, przeciwstawia się w „Krzyżakach“ cały szereg silnie rzeźbionych figur, z których każda ma pełne wymiary indywidualnego, psychicznego życia. Tym nie potrzeba tła, aby były, czem są. Nie potrzeba im optycznych złudzeń. Postaw je, jak chcesz i gdzie chcesz, dostoją zawsze i same sobie, i chwili.

Dotkliwie wyraziste, są zarazem proste i głębokie. Słowo, czyn, gest, sytuacja, odkrywa w nich nie tylko pewien moment duszy, ale poza momentem leżące i od momentu zgoła niezależne nieraz duszy tej pokłady tworzące głęboką psychologiczną perspektywę, która porывa naszą myśl i czucie bez względu na wrażenie wzrokowe.

Bo te postacie, to ledwie czasem bryła narzuconej na myśl twórczą gliny; ale jeden błysk duszy, czyni z bryły owej rzecz przedziwnie inazawsze żywą. Taki jest Cztań, i taki jest Wilk młody z Brzozowej, gdy na cmentarzu kościelnym w Krześni toczą w zapamiętaniu ogromne głazy do wrót, i od wrót znowu na miejsce, iżby ulżyć sercom skowyczącym z bólu i z wściekłości. Biedne, grube, ledwo że ludzkim kształtem zaznaczone cyklopy, a jakie w tem wywarciu ślepej siły szukające ratunku na „skowyt serca“ — żywe i prawdziwe!

Ale od tych, w surowej glinie lepionych, nieszczęśników, z których jeden kamień swojej doli przetoczył aż na stronę śmierci i legł zabić, a drugi—lepiej-by go sobie u szyi uwiązał, niż się z chłopianką swoją twardej pięści żenił,—od tych dwóch, z gruba ciosanych silaczy, prowadzi cała galerya przedziwnie pomysłanych postaci w górę, w górę, wysoko, aż do szpizowego posągu Juranda, nad którym już tylko krzyż jeden być może.

Jurand, to prawie Cyd polski. Jego myśl utkwiała na jednym krwawym ówieku krzywdy śmiertelnej i niepowetowanej. Jego serce zastygło w lodową bryłę nienawiści twardej, zaciętej. Jego dusza uczyniła się zapiekłą, jak zła rana, milcząca i srogą, jak nieszczęście.

Skupiony, ześrodkowany w sobie, jedną ma tylko sprawę żywota, a raczej sprawę śmierci, i tę pełni jak los, jak przeznaczenie.

Jurand nie pyta, jak pytają inisi: żali wojna będzie? albo: kiedy będzie? albo: kto na nią powiedzie? Sam sobie żołnierz i sam sobie wódz, na każdy czas wojnę czyni, na każdy czas w zbroi gniewu stoi pod czarną chorągwią pomsty. Jurand nie walczy, jak inni, dla łupu. „Jedną ci ją miał, jako owieczkę“, — mówi o swojej niebodze, odsłaniając nagle i zgorzel czarną swej rany, i serce, wolne żądz, wolne cheiwości. Jakoż za jeńca okupu nie bierze. Woli spać przy jego jęku, który slychać z lochu, a który mu jest jako pieśń najmiłsza.

Ale i dla sławy nie walczy Jurand także: nawet dla ojczystej.

Nad jednym Jurandem sława mocy nie ma.

Choćby noc wieczna świat nakryła, i choćby na świat wieczna cisza padła, tak, żeby nikt walk jego i zwycięstw nie widział, ani je głosem mógł sławić, -- Jurand tak samo-by na głucho i na ślepo bił, jak teraz bije, i czynił-by rzecz swoją — właśnie jak śmierć czyni.

On jest rycerzem śmierci. On stoi pod jej urokiem, zapatrzony w nią nigdy nienasyconemi oczyma. Tę jedną panią ma i kolor jej nosi: kolor zabitego szczęścia. Tę jedną hetmankę ma i rozkazania od niej jednej bierze, a ona mu płaci żold nasycenia pomsty, żold zatraoty. Dopiero porwanie Danusi uderza zgrzytem w ten straszny sojusz Juranda ze śmiercią, sojusz, który stał się pieśnią i harmonią jego życia. Dopiero porwanie Danusi przechyla tę czarę zapienionej krwi, która się Jurandową duszą nazywa, a którą rycerz przepija codzien do śmierci, a śmierć do niego, — dopiero to porwanie przechyla czarę tę na drugą stronę, na stronę męki, odkrywając nowy horyzont Jurandowej duszy, horyzont zaświata.

I oto szpizowy posąg Juranda przejaśnia się, rozświetla, srebrnieje—ku niebu. Jakiś ogromny błysk w niego uderza. Jak piorun bije, i jak słońce rozpala. Z krzyża bije, ofiarny stos rozpala.

Pokruszy się, opadnie żużelica miedzi i żelaza, a posąg błysnę bielą marmurową.

Może to była wola pysznych mnichów — nie przeczę: ale Sienkiewicz wspaniale pomyślał, w postaci Juranda, owo stopniowe zwłeczenie się, wyrzucenie ze wszystkich ziemskich broni i ze wszystkich ziemskich mocy, i z samego siebie. A to nie w alegorii żadnej, ale w prawdzie żywej, plastycznej, od odpasania miecza i złożenia zbroi, aż do tego jęku u krzyżackiej bramy, do tego: „O Jezu! Jezu!“ — które jest nie tylko krzykiem duszy, ale i jej obnażeniem także, obnażeniem w najgłębszej treści: w tajnikach niemocy. A iż w sile Juranda nie było nic już nadto, przyszła i uderzyła w niego siła obca, zewnętrzna, katowska, i odjęła mu wzrok, i odjęła mu czyn, i odjęła mu słowo, i sprawiła, iż był, jakoby nie był.

A wtedy rozwinęła dusza Juranda dwoje jasnych skrzydeł, i poczęła wstępować z Golgoty swojej w niebo, coraz cięsza, coraz bielsza, coraz bardziej Chrystusowa, tak Chrystusowa, że to aż do przebaczenia swym katom.

I poruszyły się na to zaświatowe moce, a śmierć, dawna Pani Juranda, poszła mu służyć przy Zygfrydzie — sama.

Z tej śmierci Zygfrydowej tworzy Sienkiewicz obraz nastrojowo-ludowy, i właśnie przez tę ludowość swoją — mimo średniowiecznego grotesku — postaci dyabła i konno jadącej śmierci, — wstrząsający. Przypomina on słynny karton Dürerowski: „Der Ritter und der Todt“.

I tam jest krajobraz leśny, posępny; i tam w głębi, na wzgórzu, stoją wieżaste gmachy, przypominające „gniazdo zbrojnych mnichów“. Na pierwszym planie jedzie rycerz w pełnym rynsztunku, z kuszą u siodła i z brzeszczotem w ręku. Podniesiony u hełmu wizyr pokazuje twarz gorzką, zagasłą, beznadziejną, twarz człowieka, który się skończył.

W pobok rycerza, i także konno, jedzie śmierć, zwrócona ku niemu, jak gdyby w rozmowie. Nad czaszką jej zwily się w koronę zębatą gady, wypełzłe z tajnych gniazd rozpaczy. Wysypaną do ostatniego ziarna piasku klepsydrę wznosi ku oczom rycerza, jakby szeptała: „Już czas! Już ci pora!“.

Koń śmierci zwa wędzidła ze schyloną szyją; jakaś wyschła, niepogrzebana kość człowiecza pod kopytem dzwoni. Za rycerzem i śmiercią stąpa na kozich nogach dyabeł, ohydny giermek, śpieszący piekłu usłużyć w potrzebie. Całość niezmiernie podobna do śmiertelnej jazdy Zygfryda, którego nie zabił miecz Jurandów po to, aby go zabić mogło Jurandowe przebaczenie.

Tylko, że karton Dürerowski, choć ogromnie mówiący linią i wyrazem, nie ma, nie może mieć tych wstrząsających akcentów śmiertelnie nastrojowego języka, jakim Sienkiewicz z obrazu swego przemawia. A to od mrowia myśli Zygryda, do szeptu śmierci, i od głuchego warku dalekiej burzy, do trzasku piorunu, bijącego skroś wycia i chichotu piekła.

A kiedy przyszedł deszcz bujny, rześisty i uderzył w splamioną ziemię, i zmył z niej ostatni ślad zbrodniczej stopy Krzyżaka, Jurand wtedy ugasać poczyna, iż się dopełniła miara jego losów, a iż się zatoczyło w pełni już po sobie to okropne koło, które w nim zdruzgotało człowieka, a wycisnęło z niego w krwawych kroplach — ducha.

Ale jak Jurand jest słowem śmierci, tak słowem życia jest Maćko z Bogdańca. Jurand skończył się cały: rodem, osobą, człowieczeństwem nawet, bo z męki swojej wyszedł duchem tylko. Skończył się także i dziełem żywota, bo na mieczu jego położył się palec Boży i błysnął piorunem, i tak dokonał pomsty — sam.

Inaczej Maćko. Maćko rozpoczyna sobą przyszłość i dzieła, i rodu. Bo co zastanawia, to że z dwóch rycerzy Bogdanieckich nie Zbyszko o przyszłości tej przemyśliwa, choć młody, ale właśnie Maćko, choć stary. A przemyśliwa różnie, i mężnie, i chytrze, zawsze przecież w taki sposób, żeby coś dla jutra przysporzyć.

Pierwszym też rysem starego włodyki bogdanieckiego jest pilne garnienie pod siebie fali, która na wierzch niesie. Jest to jeden z tej szlachty, co to się wyrębywała szablą z pospólnej szarżyny na widnych w ojczyźnie komesów. Gdy idzie na wojnę, a chadza na nią ochotnie i o każdy czas, czyni to Maćko nietylko, iż „szkoda zanego królestwa“, ale i dla tego, że „wojna bogaci“.

Wiadomo, „wojna jak ucza“. Ciągną na nią wozy ładowne i kowane skrzynie, w których wszelakiego bogactwa dość. Więc tylko po tych co przedniejszych łbach poglądać, a płatać, a łup godny brać. Choć i jeniec ważny też dobry, bo za nim okup idzie. Nie wieje zasię wiatер wojenny od zachodniej strony, tylko od wschodniej, to choć „koniuchów tatarskich natroczyć“ można, i puszczyć nimi zaś trzebić, a „przyczyniać ziemi“.

Bo na ziemię jest Maćko chciwy po ludowemu, po chłopsku; w tem przecież od prostego gbura różny, że mu nie o byle zagon idzie, ale o ten, który do gniazda rodowego przyrasta. Stąd tak przedziwnie mu pachną owe przyległe Bogdańcowi nowizny, na których tymczasem Wilkowi owsy wschodzą. Dewizą jego jest: „Co ojcowie dzierżyli i nam też to dzierżyć“. Jakoż dziedzictwa, choć chudego, nie

puszcza z garści, gdy je spustoszyły domowe zamieszki, ale w zastaw daje, a sam, opasawszy się mieczem, w świat rusza, póki miła wojna wykupu nie przyniesie.

Wszakże nietylko męstwem, ale i chytrą przebija się Maćko przez życie: co tyleż właśnie znaczy, że mu na przebiegłości i sprycie nie zbywa. O mądrości też swojej ma duże rozumienie:

— Nie dziw, że mi się ludzie radzą, -- mówi w spokojnem uznaniu dla samego siebie.

„Chytrą“ Maćka oparta jest na przewidzeniu przyszłych konjunktur i na liczeniu się z ludzką słabością.

Kiedy w tę słabość ugodzić trzeba, podejmie Maćko pod nogi Opata raz, drugi i trzeci, i co rad jada, a pija, się dowie, by lżejsze warunki wykupu zjednać sobie. Ba, zaryzykuje nawet trzosa, choć mu on piszczy w rękę, obliczywszy, iż gotowość wypłacenia całej zastawnej sumy tak może zaskoczyć Opata, iż we wspaniałomyślność uderzy. Także i „godny puharek“ podaruje Maćko Krzyżakowi, miarkując, że gdy obóz w ręce polskie wpadnie, to i puharek zaś mu się powróci, a teraz przecie Krzyżaka mu zjedna. Ale najwyższym kunsztem Maćkowej chytrą jest owo wyprawienie się do gniazda Wilków w Brzozowej, które przeciw Zgorzelicom, po śmierci Zycha, na prawdę wilczym gniazdem okazać się mogło, i oddanie sierockiego dobra w opiekę staremu Wilkowi, choć się z nim zdawna o nowizny darł. No, i prawda! Wilk się najpierw zdumiał, potem zawstydził, potem ujętym się poczuł, i wszystko poszło jak z płatka.

Albo te sztuki mądrości, żeby Zbyszkowi Jagienkę naraić (ile, że za nią Moczydoły szły!), a obrzydzić mu, gdyby się dało, „kaczego kłapaka“, — czy to nie „chytrą“? Czego on tam ten stary Maćko nie próbuje na tych podjazdach o Zbyszkowe serce, i złością, i dobrocią z niem wojując, aż do przepysznego łgarstwa, że sam uderzy o dziewczynę, po której „aż w izbie pachnie“. Czasem jednakże chytrą Maćka chybia. Tak chybia jest cała podróż Jagienki w pacholikowym przebraniu, i całe to podwożenie jej Zbyszkowi, „czego, Boże, nie daj, ale jakby co...“. Otóż tę niedość jasną sytuację bardzo słusznie ocenia prostym swym rozumem Hława, gdy mówi, że „to... wszystko do niczego“.

Ale chytrą Maćkowa bywa także i pozorem tylko, pod którym jego rozmiłowane w ostatnim z rodu serce chce się ofiarować samo. W pozór ten wszakże Maćko radziej, niżeli w rzecz wierzy.

Tak gdy namawia Zbyszka do ucieczki z więzienia, gotów za niego sam zostać, a Zbyszko nie przyzwala:

— „Słuchaj, chłopie!“ — woła rozsierzdzony Maćko. — „Szkoda mi twojej głowy, ale rozumu nie szkoda, ile żeś głupi, jak cap!“.

Tak dalece sam w to wierzy, iż ta miana, to nie tyle ofiara własnej głowy za głowę bratanka, ile przedziwna sztuka „chytrości“, której Zbyszko, przez głupotę tylko, zrozumieć nie może.

Jest przecież sfera uczuć i czynów, w której „chytrość“ Maćkowa, jako broń niedostateczna, ustaje, a zaczyna się śmiertelna prostota rozcinającego zawikłanie — miecza. Do takiej sfery należy przede wszystkim zaprzysiężona odpłata pomsty na srogim i pysznym komturze. Na godzinę tej odpłaty czeka Maćko „do białego włosa“. Lecz gdy godzina uderzy, twarz starego włodyki ściągnie się, skurczy złowrogo i stanie się „zupełnie do paszczy wilczej podobna“. Wtedy Kunon Lichtensztejn, przygnieciony potężnem kolaniem Bogdanieckiego rycerza, napróżno zacharcze:

— „Daruj!“

— „Nie!“ — odpowie nieubłagany Maćko, i przyłoży mu miżerykordyę do szyi, i pełnie dwukrotnie, i nie powstanie mu z piersi, aż uczuje pod sobą śmiertelne wyprężenie się martwego ciała. Bo ten krzyżak, to nie przeciwnik wojenny, którego życiem darować i okup za niego wziąć można. To nawet w tej chwili nie Niemiec, następujący na „zacne królestwo“. To wróg przyszłości, wróg — rodu. To kat, co ostatniemu z rodu żywót chciał odjąć i zetrzeć na nim ród — z oblicza ziemi.

Więc tu się kończy wszystko i ustaje: i miłosierdzie, i chciwość, i „chytrość“ ona sławiona, a dusza Maćka wygląda z swych głębin przez tę twarz srogą, skurzoną, „do paszczy wilka zupełnie podobną“, do paszczy wilka, strzegącego gniazda. Bo jeśli w kim, to w Maćku czucie narodowości jest tak potężnem, jak sam płomień życia. Ród — to przyszłość. Nietylko przyszłość Gradów, lecz przyszłość „narodu“.

I oto słowo zagadki wszystkich spraw i żywota rycerza z Bogdańca. On i na ziemię chciwy nie dla siebie, lecz dla rodu; i dla rodu, nie dla siebie, błyski sławy mieczem krzesze. Dla rodu, nie dla siebie wznosi „kasztel“ i gromadzi dostatek; sam w starym domostwie trwając, a „dzierżąc, co dzierżyli ojcowie“. I Zbyszka też miłuje jak własną duszę, i drży o niego, i gotów głowę za niego położyć, iż się w nim ród przedłuża.

Nic to, że nie w prostej linii.

I owszem. Jest umyślny zamiar autora, w tym silnie położonym akcencie na samą naturę uczucia rodowości, które jest czemś innem zgoła, niż miłość ojcowska dla potomstwa. Jakoż Maćko przede wszystkim miłuje i hoduje Zbyszka dla przyszłości, dla rodu. Dał-by

on jemu, żeby się z Jagienką nie ożenił, a nie napłodził „Gradów“ jako gradu!

— „Hej, Grady! Grady!..“.—To jest i troska, i utęsknienie, i nadzieja, i najśłodsza wizya Bogdanieckiego włodyki. To jest ta „radość na starość“, o którą się Chrystusowi przymawia, i to jest owo ciche, złote mżenie zachodowej zorzy, w którym się stopi kiedyś dusza staroego rycerza. Jedno mu tylko miłsze nad te „Grady“ — cześć „Gradów“, rycerska cześć rodu.

A w tem nie ustępują sobie obaj włodykowie. Choćby też Zbyszko „dwie głowy miał, i choćby mu kat obiedwie miał uciąć, nie zdejmie hełmu przed krzyżakiem“ na tynieckiej drodze. A Maćko też „nie dopuści tego, choćby ten ostatni z rodu zczeznać miał!“.

Chce Zbyszko pełnać mieczem wziętego w jeństwo Zygryfda. Maćko nie daje, zмага się z nim prawie po nieprzyjacielsku i wykręca mu ramię:

— „Puśćcie!“ — woła Zbyszko, — „bo się dusza podrze we mnie“.

A Maćko:

— „Niech się podrze. nie puszczę! Wolej łeb rozbij sobie o drzewo, niżbyś miał pohańbić siebie i cały naród!“.

I oto złoty błysk, którym ta „Tępa Podkowa“, tak głęboko wbiła barkiem swoim w dziedziczny Bogdaniec, nagle obu jasnymi oczyma zwraca się w zwyż, i cała staje w słonecznym świetle „duszy powszechnej, niewstrzymanym pędem w wielkość idącej“.

W przeciwstawieniu do Maćka jest Zbyszko cały czuciem obecnej, dotkliwej terażniejszością swą, chwili. Zbyszko ma rzut, polot, nagłość, bezpośredniość w cel bijącej strzały. Dla niego życie to moment, który trwa, i który ani był, ani będzie, ale — jest.

O śmierci nawet, która od miecza katowskiego, „tak wszystko pomiarkowawszy“ na pewno czeka, iż mu nie stoi nogą na gardle, mówi obojętnie, ziewając: Przyjdzie, bo przyjdzie. Ale może jutro, a może — pojutrze. Więc — czegóż?.

Zaledwie ujrzał Danusię w tynieckiej gospodzie, już jej klęczy u czerwonych, śpiczastych trzewiczków i ślubuje nieszczęsne one prawie czuby.

Nie dla tego, iżby był gwałtownie kochliwy, ale dla tego, że najogólniejszym wyrazem jego młodej, rwącej z miejsca zaraz duszy, jest ruch i czyn natychmiastowy.

Zaledwie też z kolan po owem ślubowaniu wstał, wnet mu się ono, jako gdzieś w przyszłość sięgające, czekanie na „czuby“ wydaje nie do zniesienia. Więc i „ta radość, i duma, i szczęście“, które mu

rozpierają serce, wszystko to bucha w jeden okrzyk niecierpliwej żądzy natychmiastowości:

— „Bywajcie, psubraty, z pawiami czubami! Bywajcie!“.

Często Zbyszko sam nie wie, co mu jest, wie tylko, „że nie wytrzyma, że go palą ręce i pali się w nim dusza cała“. A to, że „nie wytrzyma“, to nic innego. Jak że mu niepodobna przenieść czucie i wolę w chwilę przyszlą — z obecnej, która, każda i ile ich jest w godzinie, w dniu, w życiu, — zabiera sama dla siebie całą energię jego i całą istotę. Jeżeli zaś wypadki tak się składają, że Zbyszko musi mieć zamiar i w cel przyszlą patrzeć, jak na przykład w poszukiwaniu porwanej Danusi, to cały ten zamiar i całe to patrenie w przyszłość zasada się u niego na doraźnej akcji. Jakoż żal za Danuską zmienia się przedewszystkiem w żądzę natychmiastowej walki, w żądzę gwałtownego czynu. Ratunek zaś Danusi przedstawia mu się „jako szereg bitew, w kupę, albo w pojedynek“.

Kiedy widzi po raz pierwszy królowę w kościele, zaraz mu serce jak płomień bucha żądzą jakiegoś doraźnego czynu. Zaraz chce „świętej Pani“ okazać czemś miłość, i cześć, i pokorę, „uczynić coś dla niej, gdzieś lecieć, kogoś popłatać, coś zdobyć i samemu przytem karkiem nałożyć“. Owszem, chce „po mszy zaraz na koń siąść i coś zacząć“.

Bo czyn i ruch, to w czuciu jego najwyższy wyraz życia i wartości życia.

Siedzi oto w kaźni i na śmierć pewną czeka; wtem wchodzi Maćko:

— „A co tam na świecie?“ — pyta Zbyszko.

— „Pogoda cudna, złota, słońce, aże całemu światu miło“.

A Zbyszko z ogromną żądzą:

— „Hej, mocny Boże! Konia pod sobą mieć i jeździć po polach po szerokich!“!

Na co Maćko:

— „Giną ludzie i z konia“.

A Zbyszko:

— „Ba! Ale ilu przedtem sami nabiją!“!

Kiedy się rozprzęgły kniazia Witoldowe wojska, a Zbyszko do dom wraca, chorzeje tyleż z niemocy, co i z bezczynu. Bo w tem sercu niema żadnych pól nieobsianych, martwych, żadnych pól inercyi, po których-by czas mógł iść, nie śpiesząc, i na których-by życie odpoczywać mogło. Jakoż Maćko, wielki psycholog, stawia trafną diagnozę owej choroby Zbyszkowej:

— „Tobie się jedno skończyło, a drugie jeszcze nie zaczęło“.



I prawda! Zbyszko nie może żyć ani wspomnieniem, ani też nadzieją. Wspomnienie, nawet wspomnienie Danusi, błękitnieje mu prędko w duszy z barw ziemskich w kolory niebieskie; bo i ziemia, jak życie, wyraża się u niego bijącą właśnie godziną i chwilą, a wszystko, co nią nie jest, przechodzi w polu jego widzenia z dotkliwej rzeczy wistości i żywego czucia w jakiś transparentowy obraz „na gotyckiej szybie“.

A to tak dalece, że w pojedynku z Rottgerem zapamiętywa się w samej walce, jako w ruchu i w czynie chwili, aż do utraty świadomości pobudek walki, jako już poza tą chwilą leżących, co ciosom jego wprost odbiera natchnienie śmierci. I dopiero głosy, wołające z krążanków dziedzińca:

— „Za Danuskę. Zbyszku! Za Danuskę!“ — pobudki te doraźnem wrażeniem przytomnemi mu czynią, i zamieniają miecz jego w piorun na głowę Rottgera.

Tyle co do wspomnień.

Co zaś do przyszłości, to gdy umierająca Danusia otwiera na chwilę oczy, a Zbyszkowi rzuca się z piersi ów złoty „rój słów prędkich, krótkich“, któremi ją chce przytrzymać na ziemi i wymalować jej jasną nadzieję, całą przyszłość zamyka w jednym obrazie „szczęśliwości, jako te wody nieprzepłynione“, więc takie, które w każdej chwili są obecnym żywym ruchem i płyną, płyną, płyną...

Gdy zaś już Danusi niema, a Jagienka pyta go: co z sobą pocznie po wykupieniu Maćka z niewoli, Zbyszko wybucha w jakimś niepomowanym wzburzeniu:

— „Nie wiem! Chryste miłosierny! Skądże mam wiedzieć“?

To przecież wie, że gdy go chwyci wielka, wielka wojna i sam się w niej straci, i żałości zbędzie, i duszy w niej zabaczy, właśnie jakby w wielkim wichrze, albo w wielkim świetle.

## IV.

Ale przeciw temu budowaniu życia i przeciw tym budownikom przyszłości, stawiała się moc, burząca i życie to, i wszelką jego budowę: stawiała się — potęgą Zakonu.

Potęgę tę maluje Sienkiewicz w krótkich, dosadnych słowach, które są więcej, niżli historią Zakonu: są aktem oskarżenia przeciwko samej zasadzie, na której ta historia urosła i stała: zasadzie krzywdy i fałszu.

Osiadłszy „w szczupłej okolicy, podarowanej mu przez niebacz nego księcia polskiego, nie miał zrazu Zakon ani piędzi ziemi poza nią“. Teraz zaś „władą obszerną, większą od wielu królestw, krainą, pełną ziem żyznych, potężnych miast i niezdobytych zamków“.

A władą nią tak, „jak pająk władą rozpiętą siecią, której wszystkie nici trzyma pod sobą“. Władą podstępem—przeciw silnym, kłamstwem—przeciw prostym, przemocą—przeciw słabym. Siedzi na cudzem, z cudzego wyciska pot i krew, i cudzem — rośnie.

Już „starł z oblicza ziemi lud“, który w onej krainie, przed nim, synem tej ziemi siedział. Już wznosił Marienburg, kamienne, zbrojne „gniazdo“, od którego biła moc niewyciężona, sroga. Już usypał z wymożonych gwałtem i chytrą danin i okupów „wieżę złotą“ w pysznej swojej twierdzy. Już poczuł, że „ani w sztuce rządzenia, ani w sztuce wojowania nie ma w Europie przed sobą nikogo“.

Wojuje zaś bronią różną, własną i zaciężną, ziemską i nieziemską, „mając na zawołanie swoje nietylko żelazo i złoto“, ale także „moce duchowne“. Tak się wzbil, tak wyniósł się wysoko w pychę ten parweniusz dziejów, że wszelka własna nieprawość—prawem mu się stała. Prawem, które popierał i mieczem, i krzyżem, które popierać musiał, gdyż innego — nie miał.

I tu się zaczynała tej potęgi słabość. Tu była owa „szpara“, którą w potęgę tej dostrzegło bystre oko Zyndrama z Maszkowic.

Władął Zakon, to prawda, „obszerną, bogatą krainą“, ale nie władał sercami. Owszem, musiał nią władać, „jak pająk“. Jak pająk, musiał trzymać pod sobą wszystkie nici swojej rozpiętej nad ludźmi sieci; wszystkie nici. z których każda dusiła — życie.

Nieźmiernie żywy i głęboko pomyślany obraz tego władania rozwija Sienkiewicz w chwili, kiedy Jurand jedzie po szczycieńskiej drodze, przez ziemie, pod panowaniem krzyżackim jęczące. Prowadzi go zrazu chłop, Mazur, krzyżacki poddany.

Chłop biegnie przy koniu rycerza, a co raz, to z za pazuchy dobywa garść żyta, i je—głodny. „Bo mlewo podatkami obłożone, a ubogi człowiek musi z plewą ziarno gryźć, jak bydłę. Znajdą żarna w chałupie, to chłopą skatują, dobytek zagarną, babom i dzieciom nie przepuszczą“ ...

I wzdycha:

— „Oj, ciężko pod Niemcem“.

Ale jeżeli jest ciężko,—a musi być ciężko, kiedy chłopu, do różnych ciężkości zwyczajonemu, jęk się ten wyrывa,—to jest przecież rzeczą wprost nieuniknioną, iż ten i ów ciężaru nie wytrzyma i rzuci go z siebie.

Jakoż spotyka Jurand nieco dalej czterech łuczników, wiodących na łańcuchu chłopą. Ręce z tyłu związane, na nogach kajdany. Oczywiście, spróbował nieborak ulżyć sobie w „ciężkości“, i teraz na sąd idzie. Może nie chciał „ziarna z plewą, jak bydłę, gryźć“, może miał żarna w chałupie, może nie było z czego ściągnąć opłaty za mlewo... Może. Ale gdy silny po to prawo stanowi, aby mu służyło, a słabego gniołło, rzecz prosta, iż każde usiłowanie ominięcia prawa tego poczytanem będzie przez prawodawcę, który sam oraz jest i sędzią sprawy, — za śmiertelną winę. Jakoż nie dojechał jeszcze Jurand zamku, kiedy, obok drogi, do bramy jego wiodącej, spostrzeżę szubienicę, na której się kołyszają cztery chłopskie trupy.

A tak mamy tu pełny w sobie i zamknięty cykl prawnego bezprawia: nieludzki nakaz, nieuchronne od niego przestępstwo, sąd, który jest wywarciem siły na słabszym, i kara — równie jak nakaz, nieludzka, która dech trąpi, dech rozkładu, w gniazdo nieprawości wnosi.

Może nie było tak wszędzie. Może tak było po dalszych komturach tylko, gdzie samowola, pycha i chciwość rosły bez żadnego hamulca. aż do granic bezmyślnej srogości. Może na tej szczycieńskiej drodze było tak właśnie, jak mniema Montalembert, gdy mówi: „Jest coś straszniejszego dla ludów podbitych — od samego kata: to jego — podkacik“.

Bądź co bądź, zasada krzywdy, zasada prawnego bezprawia istniała. Więc choć lud, pod mocą krzyżacką jęczący, cierpiał może tu, owdzie, nad literę prawa, nie cierpiał nigdy i nigdzie nad — sam zamiar prawa, co właśnie czyniło położenie jego bez ratunku nieznośnem i śmiertelnie ciężkiem.

Ale miało to, rzecz prosta, i następstwa swoje, a te się obracały przeciw Zakonowi.

Jakoż, jeżeli nici owej pajęczej, krzyżackiej sieci dusiły życie, Zakon musiał być lupem tego zduszonego życia, lupem śmierci.

Musiał pełnić nieprawość, bo „cały stał na nieprawości“.

„Musiał czynić krzywdy, bo zbudowany był na krzywdzie“.

„Musiał kłamać, bo kłamstwo było polityką jego“.

A ten mus, ta konieczność życia tem, co jest zaprzeczeniem życia, ta konieczność stania na zasadzie krzywdy, gwałtu, fałszu i podstępu, które się wsączyły w samą treść, w samą istotę politycznego bytu, — to nie tylko głęboki rys historyozofii krzyżackiego zaboru, to także tragiczna maska logiki dziejowej, w ślad za zaborem takim kroczącej, aby go otruć własnym jego jadem.

Ale teraz, oprócz może Zyndrama z Maszkowic, nie wiadano o tem. Teraz, gdy Zbyszko, jadąc do Spychowa z Jurandem „białą, zalaną światłem księżycowem, drogą“, podnosi ku niebu twarz młodą, na której odmalowało się zdumienie nad przeniecierstwem krzyżackiem, i pyta:

— „Ojcie! Toć-by im lepiej było na miłość ludzką, nie na postę zarabiać? Pocóż oni tyle krzywd ludziom i narodom czynią?“

Jurand rozłożył ręce, jakoby z rozpazą, i głuchym głosem odrzekł:

— „Nie wiem“!

Teraz, rycerze polscy, ujrawszy zdala potężne baszty Marienburga, rysujące się na niebie, i olbrzymie mury „wysokiego zamku“, których ogrom przewyższał wszystko, czują tylko, że od tego „olbrzymiego gniazda zbrojnych mnichów bije moc niezwyciężona“.

Wszakże nie ta „moc“, nie konieczność walki z potęgą Zakonu zagrażała budowie życia narodowego. Walka, jako taka, nie przeciwi się życiu sama przez się. Ona gasi tylko żywoty, ale nie życie samo. Te żywoty gasi, które sobą zastawiają — życie. A im śmiertelniej, im goręcej, im ofiarniej żywoty owe na wygaszenie gotowe są, albo idą, tem płomień życia jaśniej i silniej się pali.

Bo życie, to czucie się sobą, które walka zaostrza, pogłębia i powszechniejszem czyni. Czyni je tak powszechnem, jak dusza narodu, stojącego w walce.

Mówi walka:

— Uderzam w ciebie, więc cię uznaję.

A ci, którzy są i czują się żywi, mówią:

— Odpieram cię, bo jestem.

I to jest fizjologia walki w stosunku do życia — narodu.

Może być, że w owe czasy nie zdawano sobie z tego sprawy tak jasno; ale to pewna, że ogólny instynkt narodu właśnie ku walce parł, że on-to był owym „niewstrzymanym pędem“, którym dusza powszechna do wielkości szła.

Jakoż wojna w Polsce „nikomu nie była cudna“, jak mówi Maćko; a tak samo, jak Zbyszka, „hodowała wojna“ zapewne niejedno rycerskie pachole.

Owszem, była niejako stanem normalnym młodego a silnego państwa, które w niej ochotnie szukało ujścia dla „nadmiaru sił, rozpięających rody i społeczność całą“. Nie było „wojny wielkiej“, to była „wojna mała“, czy król z mistrzem piszą pergaminy, czy nie piszą, „nad granicą zawsze jest robota“.

Sam zaś już ten wyraz: „robota“, wyjawia nam najogólniejsze pojęcie wojny w ówczesnej Polsce, jako zwykłego zajęcia, zwykłej sprawy życia.

Więc Zakon w polu, więc wojna z Zakonem — to jeszcze nic.

— „Niemcy? E, kto-by się to Niemców bał? — mówi Zych ze Zgorzelic. — Póki cię nie zabiją, to czegoż? A jak cię zabiją, to i nie czas na strach“.

I ma rację.

Więc sama walka, to jakby nic jeszcze.

Ale co było straszne, i co budowie życia i jutra naprawdę groziło, to chytrość niemiecka. To ta powolna a systematyczna walka eksterminacyjna, którą Krzyżactwo prowadziło i bez wojny także, wypierając sobą żywioły plemienne, dusząc srogością i krzywdą życie to, na ziemiach, zagarniętych podstępem i fałszem, u samych podstaw tego życia.

I tu jest miejsce na ów krwawy dokument, na ów „list Żmudziców“, w którym ten lud, umęczony i już prawie że ginący, wołał do chrześcijańskich narodów o ratunek przeciw tym krzewicielom chrześcijaństwa, i z krzyża swego wzywał pomocy przeciw tym strasznym nosicielom „krzyża“, których „krzyżownikami“ raczej zwać-by trzeba.

„...Wolnym my byli ludem, — piszą Żmudzini w tym śmiertelnym liście, — a Zakon chce nas w niewolników przemienić. Nie dusz on naszych szuka, lecz ziemi i dóbr naszych. My chcemy chrztu, ale nie krwi i mieczem. Lecz oni rodziny nasze i domy nasze ogniem popalili. Ratujcie nas, bo ginieemy“!.

A kiedy ten jęk straszny bił przeciw katom na Żmudzi od ziemi do nieba, Krzyżacy „dzwonili w dzbańce“, i wznosząc je na ucztach, wołali:

— „Kto nam przyjaciel, temu pod nami dobrze. A kto nieprzyjaciel, na tego mamy dwa sposoby: złoto i żelazo“.

A iż żelazo godziło w lud nieobronny, słaby, a złoto szło do skarbnic królów za wojska zaciężne, przeto jęku owego nie słyszał w Europie nikt.

I to było naigrawanie się krzyżackie z praw ziemi.

Ale Krzyżacy wołali także:

— „Kto miłuje krzyż, ten i Zakon powinien miłować“.

I dawali szyć na białych płaszczach swoich wielkie, czarne krzyże, i na każdy czas zastawiali krzyżem piersi, pełne okrucieństwa i chciwości.

I stawali w tych szytych krzyżem płaszczach pod sztandarem swoim, który był ten: w białem, lodowatym polu, czerwona, krwawa, prawie że katowska, ręka.

I to było naigrawanie się krzyżackie — z praw nieba.

To była zarazem przepaść, dzieląca w życiu Zakonu dogmat od etyki, z których pierwszy uczynili Krzyżacy narzędziem męki i zguby dla innych, a z drugiej — uprawnienie srogości i rozpusty — dla siebie.

I oto Zygfryd modli się u krzyża: czoło oparł o przebite Chrystusowe stopy, i ślubuje, że nie wypuści Danusi, ani Juranda. Owszem: jak gdyby nagle poczul ostrze i zimno ćwieków, przebijających stopy Ukrzyżowanego, ślubuje, że Jurandowi oczy wykapie, język wyrwie i utnie prawicę.

Taka jest modlitwa krzyżacka u stóp Chrystusowych.

A kiedy od stóp tych wstanie, nadmie się pychą, jako zły żmij jadem, i rzecze:

— „My, Krzyżacy, nie boimy się nikogo, prócz Boga“.

Ale nieprawda będzie, gdyż ci się i Boga nie boją.

A teraz powróćmy na chwilę myślą do tego obrazu, kiedy Lich-tensztejn podnosi się u stołu królewskiego i mówi:

— „Królestwo powiada się krześcijańskie, ale obyczaje w niem pogańskie“.

Runęły na głos ten ławy. Zrywają się rycerze groźni, potężni, a twarze to bledną, to ogniem pałają, a ręce uderzyły w miecze, a usta krzyknęły:

— „Gorze“!

A jest to wybuch srogiej żalości, śmiertelnej obrazę i gwałtownego protestu przeciw zuchwalej zniewadze, którą każdy z tych wielmożów i sam za siebie, i za to „królestwo“ czuje. Roznieśli-by Krzyżaka na mieczach, by nie to, że poseł, i że do Majestatu przemawia.

Ale ci, co się tak umieją porwać w ogniach duszy na zarzut rozdwojenia pomiędzy wiarą a obyczajem, ci nie rozłączają dogmatu od etyki życia! Mają słabości ludzkie, to prawda, ale gdy który rękę na krzyżu położy, to nie będzie krzywoprzysięcą ni Bogu, ni sobie. I nie będzie krzywdzicielem, i gwałtownikiem, i katem — w imię Chrystusowe.

— „Tak i owak bywa w Polsce, jako wiecie, — powiada Maćko z Bogdańca, — ale na sieroty nikt ręki nie podniesie, gdyż za to miecz katowski i gorsza od miecza hańba“.

Więc nieprawda! Więc nie były tam w tem królestwie, swoją drogą „krześcijaństwo“, a swoją — „obyczaj pogański“, kiedy krzywdę sierocą nietylko miecz karał, ale kiedy hańba, z imieniem krzywdziciela związana, poczytaną być mogła za gorszą od miecza. Więc nieprawda! Bo gdzie prawo karze zło, tam społeczeństwo opowiada się przy dobrem w prawodawstwie swoim. Lecz gdzie nad karą stoi jeszcze hańba, tam społeczeństwo nietylko staje biernie po stronie dobra, ale zle czynnie na zewnątrz siebie wyklucza.

Wszak był czas, kiedy i majestat królewski uczuwał po złym czynie, że w „tem królestwie“ nic po nim, i szedł — z niego banitą, precz! Takie to było to królestwo i takie „krześcijaństwo“ jego.

Przepyszna antytezę tworzy Sienkiewicz, stawiając przeciw zbrodniczym mnichom i strasznyemu chrzcicielom Zakonu trzy typy księży, w których, z głęboką znajomością duszy ludzkiej, charakteru narodowego i dziejów, zogniskował naczelné cechy duchowieństwa polskiego, na całej przestrzeni wieków. A takie w typy owe życie, taką prawdę tchnął, że stoją one w dziele, mimo ogólności, mimo syntetyczności swojej, jako skończenie i doskonale żywe indywidualia.

Taki jest Opat z Tulczy, taki jest ksiądz Wyszoniak i taki jest ksiądz Kaleb.

Aby postawić każdego na właściwym miejscu, przedewszystkiem uczynił Sienkiewicz trzy silne zaciósy: pierwszy wprost w ziemię, drugi wyżej nieco, a trzeci aż w błękit niebieski.

Na pierwszym, oczywiście, stanął Opat z Tulczy.

Opat jest właściwie przebujnym szlacheccem, zawadyką i fantastą, który, choć w księżych sukniach chodzi, po rycersku, a nawet po warcholsku poczyna sobie, i radziej pozywa przeciwnika na udep-

taną ziemię, niżli na sąd boży. Nie stanie mu kto, jako osobie duchownej. wnet pięścią w stół trzasnąwszy, krzyczy:

— „Gdym we zbroi, to ja nie ksiądz, tylko szlachcic“!

Jakoż opasuje się „potężnym kordem“, a w zapasie ma niemniejszy od onego kordu brzeszczot.

Dziwuje się kto obyczajom takim, tedy Opat wnet się zaperzy i weźmie po łacinie gadać, tocząc gniewnemi oczyma po słuchaczach, którzy, iż nic nie rozumieją, z szacunkiem schylają głowy. Aż udo-bruchawszy się i wygadawszy, rzecze już uspokojony:

— „Kiedy ojciec święty mieczów księżom zabraniał, to pewni-kiem myślał o ludziach niskiego stanu; szlachcica bowiem Bóg stworzył do bronii. a kto-by mu ją chciał odjąć, ten-by się odwiecznym Jego wyrokom przeciwiał“.

I jeździ tak zbrojno i rojno, otoczony klerykami, rybaltami, wagantami, „szpylmanami“ i różnymi piwożłopami, a im weselej mu w duszy, aboli smutniej, tem głośniejszyłmanom grać, a klerykom hukac kaze, że aż bór się trzęsie, a chłopci wylatują patrzyć, gdzie się pali. Ma on jak gdyby „melankoliję“ jakowąś ukrytą, którą owym nieustannym brzękiem, śpiewem, krzykiem, hukaniem, tętentem zagłuszyć chce. Najpewniej jest mu w księżych szatach—ciasno. Wszelki też obyczaj jego jest obyczajem możnego szlachcica. Rad poluje, rad w kubki i kości brząka, rad tłusto a korzenno jada, rad, byle co godnego, pija. Nie nowina mu też „hełmem głowę nakryć“, a jest tak silny, że „o dziesięć kroków świece tchem w ołtarzu gasi“, a „jak huknie przy mszy, to aż jaskułki pod pułapem z gniazd wylatują“. Mądrości też z ksiąg posiadał niemało: gdy wypali Zbyszkowi oracyę o zacności małżeńskiego stanu, tedy namiesza w nią i ojców Kościoła, i filozofów pogańskich, i „proverbiów“, i mądrości świeckiej, aż skończy na żalonym przykładzie owę to przygody Sokrata z naczyniem Xantypy, na co „clerici“ jego, mniemając, iż rzecz jest duchowna, wrzasną chórem: Amen. „Rycerski człek“, jak o nim mówi Maćko, ale choleryk, impetyk niepohamowany, o lada przyczynę, o lada słowo jak siarka zapala się, wybucha i „w mig pełniuską izbę naklnie“. „Zaczem wywała nogą drzwi, okłada lagą swoich wagantów, lżąc, krzycząc: „Na koń, skomorochy! Na koń, psiawiary!“, i skoczywszy bez strzemia w siodło, klnie dom, ludzi, pola, i zapowiada, że noga tu jego więcej nie postanie. Lecz i to jest także ów siarczany płomień, który prędko gaśnie. Zobaczy łyzy sieroty, wnet ją i tuli, i cieszy, a dobro, o które na udeptaną ziemię pożywa sąsiada, oddaje też sierocie.



Ciekawy jest stosunek Opatu do nieba: Pana Boga czci, bo czci, najmocniej wszakże wierzy, iż przywileje szlacheckie sam Chrystus potwierdza. Pilnuje się też hierarchii na ziemi i w niebie.

— „Bacz, — mówi do Maćka, — by ci się nie przygodziło, jak Beyhardowi, co go spalili na stosie“.

— „Za co“? — on pyta.

A Opat:

— „Bo gadał, że świecki człek potrafi tak samo tajemnice boskie wyrozumieć, jako i osoba duchowna“.

A o klerykach swoich mówi:

— „Powsinogi, nicponie, ale trochę służby Bożej liznęli“.

I to ich w oczach jego ubezpiecza nieco od owej srogiej „lagi“, bez której się nie rusza.

Radzi go się Maćko, czy dobrze uczynił, iż się nie do inszych świętych jakowych, ale do królowej Jadwigi w chorobie swej udał:

— „Dobrzeście uczynili!“ — woła Opat zapaleczywie. — „Lepsza ona od innych i pewniejsza, bo swoja! A niech-by się który święty śmiał skrzywić! Dał-bym ja mu“!

Ale jeżeli tak sobie poczyną z niebem, to i na ziemi nie więcej ceregielów czyni. Śluby Zbyszkowe?

— „Co śluby!“ — woła ten przedziwny Opat. — „Ja go tu na poczekaniu z nich rozwiążę. Śluby plewa, a ja wiatr“.

Tu dmuchnie tak potężnie po otwartej dłoni, aże się wszystko wokół zakołysało w izbie.

Jestże to typ swego czasu tylko? Tego czasu, w którym taki Henryk, elekt plocki, co go trzeba było za rękawy odciągać od cudnej Ryngajły, gdy chodzi o poślubienie jej, woła:

— „Ja sam sobie dyspensę dam“!

Tego czasu, w którym i inni mawiali:

— „Nie rozgrzeszy papież rzymski, to rozgrzeszy awinioński“!

Czasu, w którym pustelnik „więcej zbójem, niżli pustelnikiem patrzył“, toporem kości niedźwiedzie w piątek łupa, a szpik z nich wysysa, iż po nim cudowne widzenia miewa i „aże do południa naza-jutrz prorokować może“. Czasu, w którym takich, co choć z „pogoloną głową“ „prasnęli księgi“, i jak owi „clerici scholares“ Opatu, włóczyli się z lutnią po świecie, też było dosyć?

Niezawodnie! Cała jaskrawość postaci Opatu, jego dworu, jego spraw i obyczajów, tkwi w barwie tego czasu. Ale treść typu, ta, poza indywidualnymi rysami, należy do wszystkich czasów w naszym kraju.

Gdy wieki przeminą, siądzie taki Opat senatorem w sejmowym kole, i nie dopuści biskupom ruskim w pobok siebie sięść. Będzie warcholil, będzie wichrzył, będzie wiązał polityczne partye. I odzieje się rzymską purpurą, a w głębi duszy, mimo tej purpury i mimo łaciny swojej, zawsze i przedewszystkiem będzie i zostanie szlachcicem polskim — z krwi, z ducha i z czynów.

A gdy znów przeminą czasy, pochowa butną głowę w kaptur i nazwie się Robakiem, ale burzliwy duch Jacka Wąsala nie przestanie mu pokutować w piersi.

I powali celnym strzałem niedźwiedzia w mateczniku „puszcz litewskich“, i zajędzie przed dwór Soplicowski z brzękiem dzwonek kwestarskich w ów ranek, kiedy to szlachta mokła pod ścianami w dybach. I będzie miał nawet przy oltarzu w ruchach i w głosie coś z „żołnierszczyzny“, a pod habitem będzie ukrywał starą ranę, której „pewno nie dostał przy czytaniu III Psalmu“.

Inaczej ksiądz Wyszoniak. Ten, lubo kapelanem na dworze księżym jest, ma wszystkie rysy zacnego wiejskiego proboszcza. W teologię niezbyt się zagłębia, łaciną słuchaczy nie praży, o to, kto „wyrrozumiewa rzeczy boskie“, „osoba duchowna“, czyli „świecki człek“, byle je wyrozumiewał ku pocziwemu żywotowi — nie pyta. Cały jest obrócony ku słuzeniu w potrzebie bliźniemu. Zna leki nietylko na niespokojności duszy, ale i na niemoc ciała. Sługą Boga najpierw jest, a sługą ludzi tuż zaraz. I ziół pomocnych uwarzy, i apteczkę w pogotowiu ma, i nad końmi jadących na wojnę rycerzy krzyża ruch uczyni. Pogodny, cichy, nie następujący na nikogo powagą swojego kapłaństwa, ale noszący ją w piersi jako wonną myrrę ku ludzkiej pociesze, jest oraz pokornym w sobie i oglądającym się na zwierzchność światową.

Jakoż waha się zrazu w sobie i srodze namyśla, czy dać ślub ów nocny, tajemny, choremu Zbyszkowi i Danusi, wbrew woli Juranda. Przecież gdy księżna, która zastępuje dziewczynie matkę, odpowie działalność na siebie za ów pośpiech bierze, dobry ksiądz Wyszoniak już tylko owe duszyczki młode roztrząsa, żeby zaś całkiem anielskie były i białe, a co tam nareszcie zbywa w formie, albo i w rzeczy, to już jakoś Bóg sam zdarzy, albo i przepuści.

Więc gdy znów czasy przeminą, taki ksiądz Wyszoniak siedział będzie plebanem w ubogiej gdzieś wiosce, i chadzał będzie w wytartej sutannie, i cały alkierz jego będzie pachniał macierzanką, szałwią i miętą. I osadzi roje pszczoł na miodowych lipach, i sam „pszczołą pożyteczności“ się stanie. I wyjdzie rankiem na biały ganek swego

cichego domu, i zlecą się do niego z całej wsi gołębie, wróble i dzieci, a on dla każdego znajdzie ziarno i w rękę, i w sercu.

I siedzie w sadzie swoim o zachodowej, o przelotej zorzy, i zasłucha się w kłaskaniu słowików, i będzie mu się mżyć, śnić, że to muzyczkowie rajscy tak grają Ojcu w niebiesiech.

A gdy uderzy dzwon na wieczne „Ave“, i skończy się dzień służby, dzień pracy, nad mogiłą jego stanie taki sam krzyż, jakie i nad wzgórkami chłopskich mogił stoją; tem tylko różny od nich, iż wyższy nieco i silniejszy, jako patrzący się temu, który braciom-ludziom krzyż życia dźwigać pomagał.

Więc na wysokości krzyża tego właśnie, nad którym skowronki śpiewają o wiosnie i który zeszlęmi wiankami kwiecica polnego pachnie, uczynił Sienkiewicz zacios drugi, wyższy, ten między niebem a ziemią, — na którym stoi jego ksiądz Wyszoniek.

Ale ksiądz Kaleb stoi cały w chmurach na błękitach. Gdzie! Wyżej jeszcze: On jest siedmioskrzydły serafin, do tronu Boga lata, i tam się o sprawy duchów, które bujają na ziemi — na jego ziemi — poradza. A gdy się od Boga wróci, oczy ma jakby olśnione od słońce, które przebył, i jakby nieprzytomne od widzenia nieskończoności. Pytają go: co? albo jak? A ów z prawdziwą prostotą: — „Zaraz, jeno odetchnę, bo się z inszego świata wracam“. „Inszy świat“ — ksiądzza Kaleba — to niebo; a ten tu świat, to Polska. A jest tym bujającym duchom nadmiar źle, ciężko, tedy idzie i do nóg Chrystusowych się rzuca, i o zmiłowanie woła. I o najmniejszą owieczkę woła u Chrystusa. I leży krzyżem codzień na intencję Danusi — od nieszporów aż do pierwszej gwiazdy.

— „Cudnieście prosili? Macieź tę moc“ — pytają ludzie.

A ów: — „Mocy nijakiej nie mam. Ale ją Zbawiciel ma“.

Bo jest ten duch tak prosty w sobie, że o tych swoich zachwyceniach w niebo — nic nie wie. A insi też mówią o nich tyle tylko, iż się „zapamiętał w modlitwie“. I nie dzieli ksiądz Kaleb ludzi na takich, którzy mają przystęp do Boga, bliższy, bezpośredni, i na takich, którzy tam u progu tylko, albo i za progiem stać muszą. W ten „inszy świat“, gdzie duch jego potrzeby ma tak często, na koniu nie zajędzie wprawdzie, ale na modlitwie zajędzie“. A toć przecież droga każdemu otwarta...

On tak pokorny, a raczej tak wysoki duchem, że przebył zgola te granice, które Opat z Tulczy pilno waruje przypomnieniem Beyhardowego stosu. Dla niego nie trzeba łaciny, „proverbiów“, ani „pogolonej głowy“, żeby „tajemnice spraw Bożych wyrozumieć“, — aboli,

jak mówi Maćko: „z Duchem świętym w pobliżności żyć“. Męka i ofiara daje tę moc—prawie że nadziemską.

— „Bywa tak—mówi o umęczonym Jurandzie ksiądz Kaleb—że gdy komu ziemskie oczy zagasną, ten właśnie widzi to, czego insi dojrzeć nie potrafią“.

I jeszcze o Jurandzie umęczonym mówi:—„Za życia on święty, anieli go pilnują“.

I mówi o nim: „Patrona i męczennika świętego będzie kraina mieć w niebie“.

Bo kto cierpi, ten u niego w świętość i moc rośnie; a poświęcenie męki jest nad wszelkie poświęcenie i światłokręgiem zapala się nad umęczoną głową za żywota jeszcze.

Jakoż stoi on przy najwyższej męce i przy najczystszej ofierze, na każdy czas—aż do ich spełnienia.

On ci jest, który przeciw polnym marom umarłej Danusi idzie, i niesie krzyż w blaskach ogromnej, jakoby wiecznej, zorzy, gdy w pobok niego kroczy Jurand, ów straszny „crucifixus“, ów biały, wyschły starzec z wykapanemi oczyma. On ci jest, który z Jurandem „testamenta“ pisze, i duszę tę męczeńską, do krwi zszarpaną, od ostatków ziemi i krzyża jej odwiązuje.

A gdy przeminą czasy, taki ksiądz Kaleb, będzie się księdzem Kordeckim zwał i weźmie krzyż w ręce, i na wałach Częstochowy stanie, i zapłomieni piersi rycerzy i rzuci garść płonących duchów na morze—bezducha, i sprawi, iż się rzeczy niebieskie ku ziemskim przybliżą, i że powieje nad murami ów płaszcz modry, gwieździsty, płaszcz Hetmanki rycerstwa polskiego...

Takie są trzy postacie, w których Sienkiewicz z genialną skończonością i z mistrzowskim stopniowaniem zamknął trzy wielkie typy księży polskich:

— Typ rubaszno - szlachecki, więcej sprawami tego świata, niż nieba zajęty, a niebo to samo traktujący potrosze, jak wielkie sejmowe koło, w którym—jakby co, zawsze dobrem szlacheckiem prawem—veto—huknąć można.

— Typ pogodny, dobru duszny, ku zbudowaniu, pożytkowi i pociesze ludzkiej będący, w garstkę owieczek swoich ojcowskim wzrokiem nad wszystko wpatrzony i krzynek nieba w najmizerniejszy najuboższy zakąt wnoszący z sobą.

— Typ ascetyczny, prorocki, płomienny, a wzniosły—aż do zupełnej prostoty.

Typ wodza duchów w wielkich dziejowych momentach narodu.

Typy te wyczerpują we wspaniałej Sienkiewiczowskiej syntezie wszystko, co w tej winnicy pańskiej jest nasze, swojskie, rodzime, z wieku na wiek idące i odradzające się z czasów na czasy—w coraz inszych kształtach żywota—lecz w tejże duchowej treści.

To zaś, co w typy te, w tę treść duchową nie godzi, co poza nią stoi, nie jest ani swojskie, ani rodzime, ani nasze: Jest — krzyżackie.

## V.

Tymczasem to, co krzyżackie i to co nasze,—nietylko w tej, ale i we wszystkich innych dziedzinach społecznego i politycznego bytu, stawalo przeciw sobie coraz groźniej i wyłączało się wzajem z nienawiścią potężniejszą coraz.

Poprostu walczył tu żywioł przeciw żywiołowi. Bo nienawiść była wyrazem i różnicą plemiennych, i związanego z różnicami temi rozłamu, który tworzył nieprzebytą przepaść pomiędzy dwiema ideami życia, dwiema zasadami dziejowego rozwoju.

Nienawiść plemienna wyrażała się rubasznie i była na ustach u wszystkich. Kiedy się choremu Maćkowi djabli śnią, to po „niemiecku szwargoczą“; i Jagienka, broniąc się od zapowiedzianego zwrotu darów przywiezionych do opuszczonego Bogdańca, powiada: — „Bogdajże was! Czy my to Niemce, żebyśmy odbierali, co raz damy?“ I to była wzgarda nienawiści potocznej, codziennej. Ta nienawiść wszakże, która wyrażała sobą przepaściste różnice dwóch idei, dwóch zasad życia, i która tkwiła głęboko w narodowym czuciu, jako instynkt powszechny, ta wyjawiała się już w pewnych trafnych uogólnieniach, na wiekowym doświadczeniu opartych, już w błyskach indywidualnego jasnowidztwa, które nagle światłem oblewały dalekie pola przyszłości.

Jakoż wie stary, doświadczony Maćko, że „jeśli cię Niemiec obłapi, i w gębę całuje, tedy z tyłu gotów cię tejże chwili nożem zgnąć“.

Wie i Mikołaj z Długolasu, że łgarstwa niemieckie są jakoby bór. Z brzegu jeszcze coś widać, a im głębiej, tem większa gęstwa, że się człek „zabłąka i całkiem drogę straci“.

Ale Zyndram z Maszkowie, ten widzi jasno, że „z wilkiem i z Niemcem nie może być spokoju, bo on musi cudzem żyć.“ Owszem: Jego bystre, jego dalekowiedne oko ma ogromne spojrzenie w przyszłość, gdy mądry mąż ten powiada:

— „Nam nie z Tatory wojować, ale z Niemcami na śmierć i na życie. Jeśli ich nie zetrzem, zguba nasza od nich przyjdzie“.

A gdy to powiadał Zyndram z Maszkowie, mówił przez niego wielki duch dziejów i dusza narodu przez niego mówiła.

Bo to: „wojować z Niemcami“, to było hasło, jakie w zaraniu narodowego bytu podał Duch-Wódz rycerce jasnej dziejów: duszy narodu naszego.

I znaczyło to więcej niżeli: „Bić w Niemca!“—Znaczyło to opowiedzieć się przy prawdzie i sprawiedliwości, i walczyć, i ginąć za nie, przeciw fałszowi, krzywdzie, okrucieństwu i obłudzie szczepu, który już wtedy chciał morzem rozlać się po słowiańskich ziemiach. Znaczyło to stanąć sercem i ramieniem przeciw zaborczej polityce Zakonu, który był „przednią teutońską strażą,“ a o którym wiedziano, że toczy wojny ku rozpostarceniu swojej chciwości.

Więc się tam burzyła dusza cała w tym narodzie, u którego i wojna etykę swą miała. Ba! Zbawiała nawet, jeśli ku pożytkowi „krześcijaństwa“ i ku sławie ojczyznej ziemi obróconą była.

— „Wojna z pohañcem?—wola Maćko—a to choćbyś miał najbezpieczniejszy grzech na duszy, odpust za taką wojnę i Zbawienie pewne! A sława po wieki wieków“.

A insi:

— „Matki zawdy będą rodziły. A krwi nie szkoda; byle nie szła na marne“.

Teraz wszakże przyszły takie czasy, że to, co się mówiło o pohañcu,—mówiło się o Zakonie także.

Tylko co przewiał nad łązną równiną, w kwieciu i w śpiewaniu, polny pogrzeb Danusi umęczonej. Tylko co wsiąknął w ogromne, jasne zachodowe zorze.

Tylko co padły na sądne szale krzywd dusz i ciał owe dwie lzy przeraźliwe, które się zwolna zbierały w pustych, krwawych jamach Jurandowych oczu.

Z Brodnicy, z Chelmy, z Grudziądzu, po wsiach i po miastach, skrzypiały szubienice pod chłopskimi trupami; a wieża złota w Marienburgu rosła, a uczyty w Szczycieńskim zamku grzmiały, a z chrzczonej krwią i ogniem Żmudzi bił straszny jęk: „Ratujecie, bo ginziemy!“

Więc poczęło się wszystko ważyć, przechylać, kipieć, ku odwetowi mieć, ku pomście, ku wojnie. Ku wielkiej, wielkiej wojnie. Ku

takiej wojnie, która-by wszystkie siły z Litwy i z Polski zebrała w jedność i razem uderzyła niemi w potęgę Zakonu.

A tak w całej krainie gorzały duchy, rosły serca i szczękały miecze.

Chwila jest taka właśnie, jak przed burzą bywa. Jakies głosy, jakies szepty zmagające się pomiędzy niebem a ziemią, jakiś głuchy wark w powietrzu znojnem, ciężkiem, jakies krótkie błyskawice dobytých tu i owdzie mieczów. Król wstrzymuje wydanie hasła wojennego; ale siły zdarzeń, ale naporu ich następstw nikt nie wstrzyma. Pierwej niżli gorejące wici, latały po tem królestwie gorejące duchy, i gdzie to we śnie, gdzie na jawie, gdzie od ściany, na której zbroja wisiała, gdzie w głębi piersi rycerzy 'słyszane były wołające głosy:

— „Na koń! Na koń! Na koń!“

Z głęboką psychologiczną bystrością i prawdą podkłada Sienkiewicz pod tę chwilę wrzenia serc i umysłów, jakąś hardą, młodzieńczą butę, jakąś ogromną otuchę zwycięstwa. Spadła z piersi rycerstwa polskiego zhora „nieprzemожonej i srogiej mocy,“ jaka biła „z olbrzymiego gniazda zbrojnych mnichów.“ Ten Marienburg „ex luto“ powstały, owionął dech rozkładu, z błota jego początków idący. Szeroko teraz, daleko szły głosy, że choć krzyżacka twierdza „sześć razy od Wawelu większa, Wawel ma przecież większe od niej serce“, a to w przenośni, użytej przez Zyndrama z Maszkowic, i bez przenośni także. Wiedziano i powtarzano sobie, że „każda twierdza zmienić może pana“. Że Zakon to taki wielki, taki okrutny chojar, co zda się wiecznie stać będzie, „a stuknij w niego godnie, to ci się odezwie pustką i próchnem posypie.“ Wiedziano, że to jest rycerz, olbrzymi postawą i straszny, „ale który ma poderżniętą poprzęgę u siodła i strzemion, więc musi się zwalić w szrankach przy pierwszym natarciu“. Przypominano też, że „Hundsfeld, to takie pole, gdzie nikt nie mógł nadażyć grzesz Niemców, aż ich psi grzebli“. A o potędze krzyżackiej mówiono:

— „Da Bog wojnę, to ich wyżeniem!“

Więc prysnął urok mocy niewyciężonej Zakonu, więc urosły na tych mowach serca w siłę i w nadzieję; a toć jest, co bije w pierw, niżli miecz uderzy. Urosły tak, że poprostu nie mogły się w piersiach pomieścić. I kipiły w mowach cichych i w mowach głośnych, jedną niecierpliwą żądzą. I uwierzył naród w siebie i w zwycięstwo, a to mu dało moc nadludzką prawie. I zapaliła się nad czołem narodu górna i jasna gwiazda jego losów, porwała się „ku wielkości swojej dusza powszechna niestrzymanym pędem“, i uderzyła jak wichr

i jak płomień we wszystkie zręby życia. I uczyniło się życie gorejącem i wicherzącym burzą, a tak nie już „wielkiej wojny“ powstrzymać nie mogło.

I tu jest najwyższy konflikt, i najwyższy moment dzieła. Tu bije puls dzieła, tu tełnie dusza jego.

Bo nie Danusia i Zbyszko, i nie Jagienka, i nie Maćko Stary, i nie Jurand także są bohaterami tej Sienkiewiczowskiej księgi. Bohaterem jej jest „król-duch“, król-wódz ludu, rzucony w walkę prawie że śmiertelną, a zaś wychodzący z niej—silniejszym jeszcze. Wychodzący z niej tak silnym, jak samo życie ludu.

Bo dotąd i najbliżej nam do oczu kwieciła się wdzięczna młodość z miłowaniem swoim, ze swoją dołą i niedołą, a w dali tylko pogrzmiewała burza, mająca kwiecie to znieść i połamać. Bo dotąd i najbliżej nam do oczu błyskały miecze w szrankach rycerskich, a w dali tylko huczały echa bojów, w których śmierć kośćbę czyni. Bo dotąd i najbliżej czerwieniła się męka pojedynczych głów, a w dali tylko bił jęk ludów całych. Ale teraz jęk ten buchnął tuż i zmienił się w krzyk przeraźliwy i nie do zniesienia. Teraz śmierć zamachła się kosą tak blisko, że słycać świst przeciętego nią powietrza i chrzęst padających pokosów. Teraz nad samą głową stanęła nam czarna chmura, nawałnica, z której piorun bije.

Więc, gdzie na kartach księgi były skry, tam jest pożar, a gdzie były łzy, tam jest krew, a gdzie były słowa, tam jest chrapliwy dech mocowania się śmierci i żywota.

A tak zaczyna bić nam pod ręką wielkie serce dzieła.

— „Nastają czasy, jakich dotychczas nie bywało“ — mówi uroczyście stary Maćko z Bogdańca.

A każdy z nas czuje dreszcz i war. Każdy czuje, że istotnie nastaje coś, czego jeszcze nie bywało.

— Jako—nie bywało? Po oblężeniu Zbaraża, po szturmie Częstochowy, po śmiertelnych bojach Podbięty, Skrzetuskiego, „Pana Michałowych“?

Tak jest. Po nich wszystkich. Bo jeśli tamte boje były śmiertelne, ten jest nieśmiertelny.

Nieśmiertelny przez swój ogrom, przez moc swego natchnienia, przez prostotę swoją.

I tam grały „chorągwiiane tęcze“, i tam „serca były jak młoty“, i tam cięży miecze, bodły i kruszyły kości włócznie i tratowały kopyta końskie.

I tam szli rycerze „w zgiełku i w ciasnocie, jak ogień idzie suchym stepem.“ I tam ciskały się w paszczę śmierci watahy coraz nowe. I tam była pogarda śmierci, upor męstwa i rzeki krwi.



Ale tu „dwadzieścia dwa narodów“—walczy przeciw Polsce na bojowisku, które „wyznaczył Bóg“. Tu nie działa i nie harmaty biją, ale żelazne piersi i ramiona zwierają się z sobą i kruszą. Tu stanęły przeciw sobie wieczne wrogi, od zarania dziejów, aż po dziś, tu wieczne siły poszły w bój na śmierć i na życie.

Straszna jest ta milcząca, złowroga równina bojowa, kiedy ją wiatr umiata pod trupy, co tutaj paść mają. Jeszcze na ziemi spokój, a w powietrzu toczy się walka między światłem a ciemnością, między słońcem a pędzonemi przez wichry chmurami, które wloką po ziemi mroczne swe całuny. „Straszna jest ta równina sądu, to pole puste, szare, przeraźliwe, do obumarłego stepu podobne!“ I cisza ta jest straszna. Ta chwila groźnej ciszy, w którą wpada dech przyśpieszony stu tysięcy polskich piersi, i hamowany pęd i rwanie się w bój koni, sere, mieczów, iż się już wszystko zrastało, zbłyскиwało w jeden grom i cios. Jeszcze nie widać nic. Jeszcze wichr po równinie chodzi i umiata bojowisko narodów. A takie jest napięcie duchów, takie ogromne widzenie zwycięstwa w polskich zastępach, że kiedy wpada Ostojczyk na koniu kipiącym pianą i woła do króla:—Niemce idą!—Ów, jakoby długim upragnieniem ludu całego stawało się zażość, i jakby dawne jakoweś przymierze z Bogiem się pełniło, odrzeka: „Pochwalony Jezus Chrystus“. A ów cisawczyk „wybrany z tysięcy“ rwie się pod nim ptakiem. Lecz poseł ściga posła, a krzyk gromszy coraz: „Niemce! Niemce idą!“ I wyrósł, zaczerniał nieprzesieczony bór Krzyżactwa na równinie sądu, a co było czekania, co krzywdy, co łez, co nienawiści i pomsty, co mocy rozpierającej piersi, to wszystko buchnęło w jeden war i płomień.

Blask. Pęd, zawierucha, szczęk, wrzask trąb, piszczałek, rogów. Porwała się, poniosła Litwa, jako białozorów stado, cała w bojowym wichrze i błyskaniach tulie.

Lecz czarny bór Niemców ruszył przeciw, w żelaznej potędze karności i zbroi.

I uderzyło się o bór czarny białozorów stado, i zawichrzyło krwawem pierzem, i w rozsypkę poszło. A bór Niemców posuwał się mroczny, zwarty, groźny.

— „Ludy—wszakże—tak samo jak człowiek, mają chwile natechnienia!“

I oto, przeciw tej strasznej czarniawie krzyżackiej wyszła natechniona dusza narodu.

Wyszła w wielkiej, prostej, pierwotnej sile modlitwy i pieśni. I uderzył w niebo głos potężny, „grzmotowi niebieskiemu podobny“,

ze stu tysięcy piersi rycerstwa polskiego dobyty. głos prastarej, praojcowej pieśni:

Boga Rodzica-Dziewica.

Bogiem sławiona Marya <sup>1)</sup>).

Pieśni, „od której moc wstąpiła w kości, a serca stały się na śmierć gotowe“. I to właśnie była owa chwila natchnienia ludu.

I tu uderza w nas jakiś niebywały ogrom dziejowego momentu. Bo na tej równinie sądu, nietylko rzucone są na siebie dwa wojska, dwa ludy. Tu walczą przeciw sobie, tu się potykają w płomieniach krwi i w błyskawicach mieczów, dwa ludów tych Duchy, każdy w piorunie swej idei, swej wiary, swej siły.

Idzie Duch teutoński, ciężki, srogi, straszliwy, tratujący śmiertelnie wszystko, przez co mu droga. A droga mu prosto przez pierś, przez serce, przez życie — polskiego narodu. Idzie milczący, groźny, zwarty, potężny i nieublagany! A imię jego „Exterminans“, a podpierają go Narodowie świata, którzy wierzyli w moc jego, w moc żelaznej, wszystko druzgocącej piersi. A przeciw niemu rwie się duch lotny, skrzydlaty, ognisty, natchniony śmiercią i niepowstrzymany. Duch, który woła: „Szabla moja, Jezus i Marya!“ A nad nim wieje pieśń wiary jego, wiary w jakieś wielkie ziszczenie „Bożego Wiecu“ nad światem, w jakiś wielki „Spust“ wszechmiru, w jakąś wieczną powszechną „radość“, w jakąś wieczną powszechną „miłość“, w jakieś anielskie bez końca widzenie królestwa bożego. A jeden idzie cały w żelazie, a drugi leci cały w płomieniach, a obaj widni w „tęczach chorągiewnych“, idących przeciw sobie nad zastępami.

Już „Mistrz skierowaniem prawicy ruszył czternaście chorągwi żelaznego rycerstwa.“

Już w czelnym hufcu polskim pochylili się rycerze na karki końskie, a groty wyciągniętych włóczni błysnęły piorunowym węzem.

— W nich! Bij!

Już lecą...

A nad nimi, pod niebem gdzieś wysoko, targa się jeszcze grzmotowi podobne echo:

...Kyrie Elejson...

---

<sup>1)</sup> Michelet.

I od tej chwili całe to wielkie bojowisko staje w natchnieniu, śmierci.

Ten bój ogromny i ogromem swoim przytłaczający wszelki opis, ukazał nam wielki Twórca „Krzyżaków“ tak, aby sam mógł grzmieć nam w słuch, i błyskać w oczy.

Zaczem rzuciwszy na siebie z potężnym epickim rozmachem dwa wrogie zastępy, rozbija ogrom boju na epizody, i ukazuje nam śmiertelne męstwo rycerzy walczących w pojedynku, lub w pomniejszych kupach. I tu Sienkiewicz wznosi się do homerycznej prostoty.

Opada kwiecie słowa, milkną muzyki jego, a bogactwo szat jego i ozdoba jego—ustawa. I staje przed nami słowo nagie, proste, wielkie, w pierworodnej mocy swojej, słowo „nie językiem mówione, lecz błyskane z ducha“<sup>1)</sup>.

Tutaj widzimy, jak się zwarł „Lis z Targowiska“, w męznym komturem z Osterody i jak go pokonawszy, lud jego rozproszył. Jak Paszko z Biskupic zbił sławnego męstwem brata Kunca Odelsbacha, i jak mu pobok stojących siedmiu ugasił.

Widzimy, jak Jędrzej z Brochowic, „gończąc chorągwią“ przywodząc, złamał miecz na helmie rycerza, chwycił go prawicą za ramię i skruszył w nim kości. Widzimy, jak olbrzymi Pował z Taczewa nadludzką siłą obalał ludzi i konie, jak bił sam w całe gromady Niemców, niby orzeł w kanie. I widzimy jak walczył Leszko z Goraja, i Ciołek z Żelichowa, i Dobko Oksza, i Mściśław ze Skrzyszewa, i Nałęcz, i Skarbek, i Jelitczyk z Korytnicy.

Widzimy nadewszystko straszny pochód Zawiszy Czarnego, który szedł „jak czarna chmura, z której co chwila piorun wypada.“ I prowadzi nas tak wielki piewca Grunwaldu przez szereg walk śmiertelnych, i ukazuje, jak walna chorągiew Królestwa pada, ugasa, i jak znów zakwita. Lecz kiedy większość białych płaszców legła już na ziemi, a tu i owdzie wypadał ze skrzytu jakiś zagraniczny rycerz, twarzą zbiegającą ze strachu i zdziwienia, gdy już zaczynało brakować mężnych przeciw mężnym,—zbiera piewca Grunwaldu rozproszony tony owych walk pojedynkowych, i uderza w pełny epicki akord powszechnego boju. W akord wspaniały, prosty i—śmiertelnej mocy.

I oto powraca Litwa, a bojowisko przelatuje ów rycerz w świetnej zbroi, z obnażoną z hełmu głową, ów Matejkowski Witold, podobny „do złowrogiej gwiazdy, lub do niesionego wichrem płomie-

<sup>1)</sup> Słowacki.

nia“. A gdy Litwa wróciła, a Mistrz ruszył odwodowe hufce krzyżackie, jak wichur rusza czarną pełną gradów chmurę, przez szeregi kmiecych piechot leci gromowe hasło:

— „Gotuj się! Gotuj się!“

Więc kmiecie, zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, pospierali drągi od cepów i kos o ziemię, i przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite ogromne dłonie. I dało się słyszeć przez całe linie to złowrogie popluwanie, po czem chwycił każdy broń i nabrał tchu.

— Naprzód! Ławaj!..

„Ruszyli.“ By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać.

— „Zdro-waś-Ma-ry-ja-łas-kiś-peł-na-Pan-z to-bą“,

„I szli jak powódź, a całe pole rozblysło, zajaśniało od grotów.“

MARYA KONOPNICKA.

---

# Zwrot w modernizmie niemieckim.<sup>1)</sup>

---

## II. D r a m a t.

---

### I.

Dramat jest w Niemczech od kilku lat niejako polem doświadczalnem przeróżnych nowych prądów i teorii. Z końcem szesnastego wieku przybywają „angielscy komedyanci“, przynosząc z sobą Szekspira i Marlowe'a, dając początek jaskrawym „Haupt-und Staatsaktionen“, których brutalny styl staje się potem jedną z najcharakterystyczniejszych cech całej niemieckiej literatury koło roku 1700. A gdy zdziczenie i zbrutalizowanie dochodzi do szczytu, znowu w dramacie ujawnia się myśl zwrotu i reformy: to ośmieszany dziś, lecz nie mniej wybitnych zasług nie pozbawiony, Gottsched, wnosi poprawny styl francuskiego pseudo-klasycznego dramatu, na współkę z dyrektorką wędrowniej trupy aktorskiej, Karoliną Neuber, wygania

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt lipcowy.

ordynarnego Hanswursta, przyzwyczajają i sztukę teatralną do miary, spokoju. Panowanie nad sobą, poprawność, przechodzi zbyt prędko w bezduszną rutynę, oschłość i martwość. A choć tak jest nie tylko w dramacie, to jednak w tej właśnie dziedzinie pojawiają się pierwsze brzaski nowej doby. Mało znany J. E. Schlegel, ojciec obu romantyków, toruje drogę Lessingowi, wielkiemu chociaż nie nieomylnemu. Detronizuje się Gottscheda do reszty, odmawiając mu w sławnym 17 Liście literackim wszelkiej zasługi nawet na polu dramatu, pisze się „Hamburską dramaturgię“ walcząc namiętnie i z przesadą przeciw Francuzom, podaje się, jako prawdziwą poezję dramatyczną, Szekspira, tworzy się w „Minnie von Barnhelm“ pierwszą niemiecką komedię narodową, a w „Emilii Galotti“ przekazuje się przyszłym pokoleniom wielki wzór „dramatycznej algebry“. Gdy wiek „Oświecenia“ przechyla się a ludzkość rwie się do ognistszego, barwniejszego, namiętniejszego życia, to „Sturm-und Drangperiode“ bierze nazwę od dramatu i w dwóch dramatach dochodzi także do szczytu: raz w „Götzu“ do wyrazu artyzmu i absolutnej, trwałej piękności, potem w „Zbójcach“ do szczytu swych antyspołecznych tendencji, swego pustego, deklamacyjnego tonu i do swego kresu także. Goethe wraca z Włoch zmieniony, nie podobny ani do siebie z owych sztrasburskich i frankfureckich czasów, ani do swego społeczeństwa, rozmiłowanego w namiętnych ruchach Karola Moora. Chce sztukę całą na nowe zwrócić tory, zbliżyć do spokojnej i pogodnej wielkości antyku i powstają znowu dramaty „Iphigenie“, „Tasso...“ Dalszy zaś rozwój niemieckiej literatury, to przedewszystkiem historia dramatu; u Goethego w późniejszych latach kaprys uparty starcia ze sztuki wszelkich indywidualnych cech, zrobienia z niej szablonu: w tym duchu kieruje weimarskim teatrem, tłumaczy „Mahometa“ i „Tankreda“ Voltaire'a, pisze bezduszną „Naturalną córkę“, w której niema już indywidualnych osób, są tylko typowe patrony: książkę, minister, pan, książdz itd.; u Schillera zaś w „Carlosie“ przejście od burzliwej młodzieńczej patetyczności do spokojniejszego uczuciowego idealizmu, potem ciąglej postęp aż do fragmentu „Demetriusa“ z wyjątkiem dziwacznej „Oblubienicy z Messyny“, spóźnionej próby wskrzeszenia chórów tragedji greckich.

Poezya Goethego i Schillera, choć wielka i piękna, nie była i być nie mogła trwałym stanem, niezmienną drogą. Romantycy walczą w imię niespożytej siły ludzkiej wyobraźni i ludzkiego uczucia, w imię swobody w treści i formie, w imię bezwarunkowego indywidualizmu. Po raz setny z dziedziny dramatu wytryska ożywe zródło: Szekspir jest bożyszczem Schległów i Tiecka, Szekspira tłumaczy, komentują, a wszystkie ich tęsknoty za wiekami średniemi,

wszystkie estetyczno-uczuciowe upodobania w katolicyzmie krystalizują się w zamiłowaniu do Calderona i całego dramatu hiszpańskiego. Lecz w dalszym rozwoju poezji romantycznej rwie się nić, która nas dotychczas prowadziła. Już w pierwszej części niniejszego studium wskazało się na lirykę i nowellę, jako główne zbiorniki charakterystycznych cech romantyzmu niemieckiego. Dziś, w zastosowaniu do dramatu, nie trudno dojść do wyjaśnienia faktu, czemu koło r. 1810 dramat przestaje być tą areną nowatorstwa, którą był dotychczas. Dramat ma w naturze swojej dwa wybitne znamiona: od poety wymaga zawsze i wszędzie skupienia się władzy, nad sobą, nieledwie matematycznego obliczania, tak w nim wszystko musi się z sobą łączyć, do siebie stosować, wypełniać wyznaczone sobie w ogólnym organizmie miejsce, a jednak nie przekraczać tego organizmu granic. Powtóre zaś, dramat ma, bądź co bądź, najwięcej związku z życiem społeczeństwa i jednostek, najsilniej musi się opierać na tym gruncie, lecz i najrealniej, najplastyczniej na zewnątrz występuje. A więc, aby dramat był właśnie środkiem całej współczesnej literatury pięknej, musi ona wyrastać ściśle z realnego gruntu, musi być i chcieć być czynnikiem społecznym; tam natomiast, gdzie, poeta porzucając realny grunt tworzy wyłącznie z własnej wyobraźni, gdzie celów społecznych bynajmniej na oku nie ma, gdzie na masy wpływać nie chce — tam nie dramat będzie ogniskiem dążeń i twórczości, lecz liryka. Powyższe spostrzeżenie przyda się i na przyszłość, na teraz zaś tłómaczy nam przerwanie się naczelniczej roli dramatu w epoce romantyzmu. Luzująca go niebawem częściowo szkoła „Młodych Niemiec“ pozornie obala nasze twierdzenie. Wszak ci ludzie byli, przynajmniej w programach wygłaszanych i pisanych, takimi realistami, wszak byli tak społecznymi (a czasem i anty-społecznymi), chcieli pozyskać cały ogół; więc czemuż nie używali formy dramatycznej? Bo oni wogóle — z wyjątkiem Heinego, idącego zresztą odrębną, swoją własną drogą — poetami nie byli: ani Laube, ani Börne, ani Gutzkow, ani wszyscy inni. Kiedy zaś na chwilę powiew poezji i ich musnął i chcieli poezji, jako trybuny, użyć, wtedy przemówili do mas z desek scenicznych: Gutzkow w „Urielu Acoście“, Laube w „Dziennikarzach“.

Epoka od połowy tego wieku, aż gdzieś poza r. 1880 i w dramacie przedstawia się smutno. Cechuje ją martwość, zastój epigonów, tu i owdzie tylko występują jako samodzielne indywidualności potężne talenty, odrębne od otaczającego ich świata, nawet od współczesnej poezji. Z nich jednego z szeregu wysuńmy, bo będzie on łącznikiem wprowadzającym nas w świat dzisiejszego dramatu niemieckiego. To znakomity twórca „Maryi Magdaleny“ i „Heroda i Maryamny“, Fryderyk Hebbel, za życia nie uznany, dziś wszędzie grywany i przez

krytyków oceniany. Ibsen wyraził raz w rozmowie zdumienie, że jego dramaty w Niemczech wywarły tak silne wrażenie, kiedy przecież przed nim był tam Hebbel. Jan Chrzciciel prostował drogi Messyaszowi, tu zaś dopiero wielki następca uitorował drogę swemu znakomitemu poprzednikowi. Hebbel poruszył w dramatach cały szereg zagadnień, które właśnie współczesną literaturę najbardziej zajmują; jak ta ostatnia, jak Ibsen i wszyscy inni, krytykuje jego „Marya Magdalena“ obecny ustrój społeczeństwa; jest ona poprzedniczką „Honoru“ Sudermana; „Tragedya w Sycylii“ Hebbła ma ten sam temat, co Hauptmanna „Futro bobrowe“, a „Julia“ to samo traktuje, co Ibsena „Widma“; „Herod i Maryamna“ przypominają się w „Norze“. Jest ogromna różnica między indywidualnością artystyczną Hebbła, a dzisiejszych poetów, jest u niego mniej rozpaczliwej negacji, więcej wiary w przyszłość ludzkości, lecz grunt ten sam: z jednej strony społeczna treść, z drugiej realistyczny styl.

Te dwa pierwiastki łączą go z wczorajszym dramatem niemieckim. Nie zabraknie i pokrewieństwa z dzisiejszym.

Jak się to stało, że w poezji zapanował realizm, jako programowy kierunek, tego tu rozważać nie będziemy, bo naszym zadaniem przedstawienie obecnego stanu niemieckiego dramatu, prądów krążących wśród niego, a przeszłość wchodzi tylko, jako gotowa podstawa w zakres tego obrazu. Dość, że nawet tak nieprzychylnie względem naturalizmu usposobiony krytyk, jak Henryk Bulthaupt, przyznaje, że istotnie niemieckiej poezji groziło niebezpieczeństwo skostnienia w formalizmie, zapomnienia o tem, że nasze duchowe życie tkwi w fizycznym („Dramaturgie des Schauspiels“). Naturalizm, czy konsekwentny realizm, oparty na literaturze rosyjskiej (Dostojewski, Tołstoj), skandynawskiej (Ibsen, Björnson), francuskiej (Flaubert, Becque), ogarnął całą poezję niemiecką, w treści i w formie, lecz najsilniej zawładnął dramatem. Bo, wracając do podniesionej raz już myśli, powtarzamy, że dramat zawsze jest głównym polem realistyczno - społecznej literatury. Mogło powieściopisarstwo realistyczne zdobywać jedną twierdzę za drugą; naturalizm, żądny wszechwładzy i jej zewnętrznych oznak, musiał wdzierać się na deski sceniczne i tu staczać walkę z tradycją. Historia nie zapomni nigdy burzliwych wieczorów „Honoru“ Sudermana i „Przed wschodem słońca“ Hauptmanna, chociaż już pamiętać nie będzie o najważniejszych nawet szczegółach z rozwoju romansu realistycznego. Naturalizm jest już, na ogół biorąc, „ein überwundener Standpunkt“, lecz w dramacie, i to zarówno w literaturze, jak i w sztuce aktorskiej, trwa dotąd i wyparty nawet jako program, faktycznie żyje i długo jeszcze żyć będzie. Gdy w liryce



trzeba było odróżnić od wczorajszej dzisiejszą, od naturalistycznej symbolistyczną, w dramacie tego tak apodyktycznie uczynić nie można, i najbardziej typowy symboliczny dramat w poczęciu, motywie, nastroju, technice wreszcie, ma w żyłach krew naturalistyczną, a tak jest nietylko w Niemczech.

Hebbel (przed nim w części Henryk Kleist, również dziś dopiero należycie oceniony), był już dzieckiem wieku nauk przyrodniczych, mikroskopu, psychologii, na fizyologii opartej. Już on z passą bezsilną i szamoczącą się z więzami niedoskonałości ludzkiej duszy i osobistego talentu, pragnął ujawnić najtajniejsze głębiny ludzkiego „ja“, odsłonić tę okrzyczaną dziś „nagą duszę“. Szamotał się w wiecznej rozterce między pragnieniem, a jego spełnieniem, dawał charaktery skomplikowane, jakieś dziwne i dziwaczne, harmonijnej sztuki nie stworzył. Poszli za nim naturaliści i także nie zdążyli do celu: za nadto trzymali się zewnętrznej powłoki człowieka, a i tę powłokę jednostronnie badali, w człowieku widzieli raczej istotę społeczną, skrzypiące kółko ogólnego mechanizmu, niż głębię osobistego indywidualnego „ja“. Symbolizm przejął od nich ostateczny cel i w tym sensie jest potomkiem naturalizmu, i bez niego nie byłby powstał. Tylko idąc do wspólnego celu, do odsłonięcia „nagiej duszy“, idzie drogą inną i w inne środki uzbrojony. Nie jest to przypadek, że w dramacie związek symbolizmu z naturalizmem jest ściślejszy, niż w innym rodzaju poezyi, że—dokładniej mówiąc—dramat niemiecki najnowszej doby jest zlanieciem się, przeniknięciem obu. Scena ma swoje prawa, a ich władza sięga nawet do t. zw. „Buchdramen“. Dramat jest sztuką najbardziej zmysłową, słowa poety, ruch, maska aktora są środkami technicznymi, bez których poezya dramatyczna pomyśleć się nie da, najbardziej niepochwytny nastrój musi się tu zmysłowo wyrażać. Prawidłom, organicznym wynaganiom sceny ulega poeta dramatyczny nawet bezwiednie, nawet mimo woli.

Chcąc mówić w dalszym ciągu o modernizmie w dramacie niemieckim, musi się wyłączyć jeden rodzaj dramatu, z natury swojej nieprzystępny ani naturalizmowi, ani symbolizmowi. Mowa tu oczywiście o dramacie historycznym. Prócz Anglików, żaden naród nie ma tu tak świetnych tradycyi, jak Niemcy: „Götz“ i „Egmont“, „Wallenstein“ i „Demetrius“ pozostaną na zawsze arcydziełami historycznej tragedyi w wielkim stylu. Jest to po części nawet szkodliwym dla rozwoju tej poezyi: wielkie wzory wprost przygniatają swoim ogromem; zwłaszcza Schiller miał i ma epigonów, coraz bardziej niewolniczych, banalnych w motywach, niemożliwie patetycznych i drewnianych w wykonaniu. Może i tak—na dziś przynajmniej—być musi. Wielka tragedia historyczna w Szekspirze, a potem w bardzo

odmiennej postaci w Schillerze doszła wspaniałego szczytu. Dzisiejsi poeci muszą już tylko naśladować. Chcemy wierzyć, że dla tragedji historycznej nie nadeszła jeszcze ostatnia godzina, chociaż zaprzeczyc się nie da, że dzisiejszy, anty-historyczny smak ogółu jej rozwojowi nie sprzyja. Może zobaczymy jeszcze renesans dramatu historycznego, może jaki nowy Szekspir lub Schiller, nie podobny ani do pierwszego, ani do drugiego, tchnie w starą formę nową treść, a potem i zewnętrzny kształt odpowiednio zmieni. Wszak Gervinus i Brandes przepowiadali zgon powieści historycznej, a tu ona zmartwychwstała tak pięknie i z takim zdrowiem. Na teraz jednak dramat historyczny niemiecki nie daje sposobności do zachwyków.

Pod historyczną flagą przechodzi przez scenę Ernest Wildenbruch (ur. 1856 przebywa w Berlinie), w Polsce, albo zupełnie nie znany, lub też wymieniany jako autor „Skowronka“, nieudanej próby odtworzenia realnego życia, bez wszelkich wrodzonych do tego warunków. Wildenbruch pisze dużo i niewątpliwie z dużym talentem. Ma ambicję stać się względem historii Prus i domu Hohenzollernów tem, czem Szekspir był wobec Anglii i Tudorów, Yorków i Lancastrow. Stąd żwie się go pogardliwie „Królewsko-pruskim nadwornym poetą“ i za artystę nie uważa. Bardzo niesprawiedliwie. Wildenbruch tworzy jako patriota, ale i jako artysta, a jego „Karolinger“, „Quitzones“, zwłaszcza zaś jeden z ostatnich dramatów „Heinrich und Heinrichs Geschlecht“ ma wiele siły i napięcia dramatycznego, szczerego patosu i piękności w formie. Że mimo wszystko nie wydaje się to właściwą poezją dramatyczną, nie autor temu winien, lecz nowoczesny pogląd na dramat historyczny. Podobnie tłómaczy się niepowodzenie Karola Bleibtreu (ur. 1859, mieszka w Berlinie), pisarza niezmiernie płodnego i w kierunku realistycznym bardzo czynnego. Hauptmann poznał tę dysproporcję pomiędzy dotychczasową formą wielkiej dziejowej tragedji a obecnem pojęciem sztuki i zamierzał ją znieść, stosując dramat historyczny do tych zmienionych warunków. Próba wypadła jak można najniepomyślniej; „Floryan Geyer“ mimo usilnej i upartej obrony Pawła Schleuthera, jest dziełem poronionem, repertorium wypadków z czasów osławionej wojny chłopskiej z 1525, lecz nie dramatem. Po tej klęsce genialnego poety mniejszym już brak odwagi marnowania sił na rozwiązanie zadania, nie dającego się, na razie przynajmniej, rozwikłać; wolą iść utartym szlakiem schillerowskim. Historia i estetyka literatury może o nich przemilczeć.

## II.

W r. 1890 Niemcy zyskały nagle nową znakomitość. Namiętnie oklaskiwany i namiętnie zwalczany „Honor“ różnił szeroko poza rogatki Berlina sławę Hermana Sudermanna (ur. 1857, przebywa w Berlinie). „Teatr Lessinga“ był kolebką sławy tego pisarza, któremu poprzednio napisane powieści i nowelle (pomiędzy niemi bardzo dobra „Frau Sorge“), powodzenia zapewnić nie zdołały; Sudermann ogłoszony został za pierwszego zwycięskiego naturalistę na scenie publicznej (premiera Hauptmanna odbyła się rok przedtem w ścisłym kółku); odtąd poprzez wszystkie swe dzieła, aż do ostatniego, do „Trzech czaplich piór“<sup>1)</sup>, Sudermann uchodzi za najwybitniejszego obok Hauptmanna modernistę w sferze dramatu. Mniemanie zupełnie fałszywe i czas już z niem się uporać. Autor „Johannesa“ chyba tylko w pośrodku pomiędzy starym stylem a nowym może być ustawionym. Sudermann jest w gruncie rzeczy dramaturgiem ze szkoły Dumasa syna i Sardou z młodych lat. Dramat „à thèse“ jest jego dziedziną, krytyka społeczeństwa—zwłaszcza berlińskiego, a i tutaj specjalnie sfer zamożnej burżuazji—jest jego ulubionym konikiem, którego dosiada, ostrożnie jednak bacząc, aby go też za daleko nie uniósł. Autor jest wybornym typem spotykanych często w salonach światowców, którzy dla rozruszania towarzystwa, dla ugrupowania około siebie rozmowy, krytykują śmiało i jaskrawo tę lub ową stronę współczesnego ustroju społecznego, wygłaszają bez wahania olśniewające paradoksy, z ferworem walczą przeciw zastarzalym i rozpowszechnionym przesądom, a jednak... a jednak w tem wszystkim, co mówią, czuć brak szczerego, głębokiego przekonania, widać nie dość ukryty zamiar popisywania się, przeczuć można skłonność do zgody z potępianym stanem społeczno - moralnym ludzkości, gdy tego wymagać będzie bądź uprzejmość towarzyska, bądź interes buńczucznych oskarżycieli. Sudermann jest pisarzem w tym stylu, chociaż się maskuje. Technika zresztą pomaga sobie wybornie; po-

---

<sup>1)</sup> Studium pisane przed ukazaniem się sztuki „Johannisfeuer“ (Przypisek Redakeyi).

trzeba było dopiero kilku lat, aby świat poznał się na genealogii jego teatralnych sztuczek, pochodzących wprost od Francuzów. Wszystkie jego sztuki od „Honoru“ do „Szczęścia w zakątku“, są dziełami nie sztuki, lecz zręczności („Kunstfertigkeit“), dwie ostatnie zaś: „Johannes“ i „Trzy czaple pióra“ odarły autora do reszty z aureoli geniusza i pokazały, że Sudermann, trawiony gorączką rywalizacji i zakłopotany o tentyemy, naginać będzie talent do każdorazowego popularnego i popłacającego kierunku dramatu.

Obok niego jest miejsce dla Jerzego Hirschfelda (ur. 1873 roku, mieszka w Berlinie). Nie jakoby rodzaj talentu był całkiem ten sam. Łączy go z Sudermannem przejściowy charakter usposobień i zdolności artystycznych, udawania „modernistów“, chociaż w istocie rzeczy są to pisarze „dobrych starych czasów“, ubrani tylko w kostiumy w stylu „modern“. Hirschfeld może i z razu, w pierwszym rozgłosnem dziele dramatycznym, „Matki“ (1896), nie chciał udawać, jak na dłoni widniał tu płacziwy sentymentalizm, tak miły dla Niemców, przed stu laty roztkliwiających się nad „Wertherem“, a przed dziesięcioma nad czułymi romansami pani Marlitt. Zrobiono z niego gwałtem modernistę, trochę w chęci pokazania naddunajskiej stolicy, że jej Schnitzlerowi Berlin może przeciwstawić pana Hirschfelda. Autorowi było z tem dobrze i wierzył w to. A tymczasem natura wrodzona nie dała się zgwałcić i w „Agnieszce Jordan“ ujrział świat dramat, obejmujący w akcji coś trzydzieści czy czterdzieści lat; mistrzem byłby, ktoby w takich warunkach zdołał dać nie tylko modernistyczną, ale wogóle uczuciową sztukę. Ostatnia komedia „Paulina“, daje przynajmniej ciekawy wykravek z życia berlińskiej służby, lecz to trochę za mało. Hirschfeld nigdy nie jest samodzielny, zawsze naśladuje kogoś innego i słusznie dano mu przezwisko „małego Hauptmanna“.

Z Hauptmannem dopiero wchodzimy w państwo istotnego talentu <sup>1)</sup>. Gerharda Hauptmanna (ur. 1862, mieszka bądź w Berlinie, bądź w Schreiberhau na Szląsku pruskim), pierwszy dramat „Przed wschodem“ przedstawiony na berlińskiej „Niezależnej scenie“ w 1899 wśród wycia radości i uwielbienia u zwolenników, a złości i oburzenia

<sup>1)</sup> Podpisany, ogłosiwszy w r. 1898 książkę o G. Hauptmannie, w ni-niejszym ogólnym obrazie współczesnego dramatu niemieckiego rysuje tylko zasadnicze kontury tego poety, zresztą pragniemy wogóle załatwić się krócej z pisarzami powszechniej znanymi, żeby zyskać miejsce dla obszerniejszego omówienia mniej u nas znanych, a przecież bardzo wybitnych poetów (Przypisek autora).

u przeciwników, zwiastował jutrzeńkę naturalizmu w teatrze. Bliżej obznajomieni z dramatem najnowszym wiedzieli, że Hauptmannowi właściwie ten zaszczyt nie przynależy. Już przed nim bowiem dwaj śmieli nowatorzy: Arno Holz, z którym spotkaliśmy się we wstępie, o liryce, i Jan Schlaf (ur. 1862, przebywa w Magdeburgu), stali się pionierami naturalizmu: naprzód w nowellach „Papa Hamlet“ potem w niedopuszczonym na scenę dramacie „Rodzina Selicke“, klasycznym przykładzie ściśle przeprowadzonego naturalistycznego stylu. Opór cenzury i publiczności przeciw tego rodzaju sztukom powołał do życia stowarzyszenie „Niezależnej sceny“ i tu dopiero mógł debiutować Hauptmann; zdając sobie sprawę z wpływu od owych obydwóch pisarzy, im dedykował książkowe wydanie dramatu, jako przedstawicielom „konsekwentnego realizmu.“ „Przed wschodem słońca“, również jak i następna sztuka, „Święto pojednania“, są dziełem bardzo młodzieńczego, bardzo niedojrzałego talentu; co w nich najwięcej uderza to widoczna doktryneryja: poeta nie jest naturalistą z popędu i przekonania, lecz jakby z zewnętrznego przymusu i trwożliwego trzymania się przepisów naturalistycznej poetyki mistrzów swych. Ten absolutny brak samodzielności zaciera się oczywiście w następnych jego utworach, lecz nigdy nie ginie zupełnie; zawsze można wskazać autora, czy dzieło, które nad danym dramatem Hauptmanna zaciążyło, zazwyczaj szkodliwie. W „Samotnych ludziach“ jest nim Ibsen, we „Floryanie Geyerze“, „Götz“ Goethego (mimo widocznej chęci stworzenia właśnie czegoś odrębnego), w „Schluckn i Janie“ wreszcie Szekspirowskie fantastyczne komedye. Obok tego niepodobna nie widzieć wahania się pomiędzy rozmaitemi rodzajami poezyi dramatycznej—co bynajmniej nie jest wadą—oraz pomiędzy wprost przeciwnymi stylami, co już wytwarza niejednolitość całości, brak harmonijnego nastroju. Doznaje się wrażenia, jakby poeta nie przebył jeszcze lat nauki i próbowania, a krytyk, który-by na podstawie dotychczasowej twórczości dramatycznej Hauptmanna chciał dać jego literacką sylwetkę, stanowczą i ścisłą, zobaczyć może w rok potem, przy dalszem dziele poety, cały gmach swoich dedukcyi i wniosków w gruzach. To też, chcąc mówić o najwybitniejszych dramatach, trzeba je wyrwać ze związku i każdy z osobna ustawić. Więc staną na uboczu „Tkacze“, dramat potężny plastyką efektowną przedstawionej akcji, wywołujący ogromne wrażenie, żwawą dyskusyę, często schodzącą z pola estetycznych kwestyi.

Osobno też stoi „Hanusia“, u nas znana, piękna stylistycznie, w treści i nastroju znowu owoc wahania się pomiędzy dziecięcą tkliwą uczuciowością, a rozmaitemi przyzwyczajeniami naturalizmu, w ostatecznym wyniku raczej objaw współczesnej tęsknoty za

światem naiwnych baśni i halucynacyi dziwacznych, niż wytwór jednolitej, harmonijnej sztuki. Tę niejednolitość posiada w jeszcze silniejszym stopniu „Zatopiony dzwon“, celując, co prawda, bardziej w niezrównanej piękności formy; całość jednak zależna od wzorów („Faust“, „Manfred“, Böcklin), zasadniczej idei nie przeprowadza konsekwentnie; za to jest niesłychanie cennym dokumentem do psychologii Hauptmanna, jako artysty i człowieka. A tak pozostaje tylko jedno dzieło, największe i najdoskonalsze ze wszystkich, „chef d'oeuvre“ nie tylko hauptmannowskiej sztuki, lecz realistycznego dramatu w ogólności: „Woznica Henschel“, ze swoją akcją prostą i jasną, ze skończeniem doskonałym jej dramatycznym przeprowadzeniem, który z zadziwiająco realistycznym rysunkiem postaci, ze zwykłym u Hauptmanna obliczeniem teatralnych efektów, nie ma we współczesnej sztuce dramatycznej sobie równego dzieła i na długo ostoi się i w repertuarze i w literaturze.

Pisarz tej miary talentu i popularności przygniata zazwyczaj współczesną literaturę. Tymczasem o jakiejś „szkole Hauptmanna“ mówić nie można, chociaż ten i ów w danej chwili może z nim współzawodniczy (Sudermann), inny chce być drugim Hauptmannem (Hirschfeld). Niewątpliwie jest w tem trochę zasługi tych mniejszych talentów, bo chyba ślepy nie widzi, że, bądź co bądź, mają ci pisarze ambicję pozostania sobą, nie wydeptywania modnych śladów. Lecz momentu tego przeceniać nie wolno; „szkoły Hauptmanna“ niema, bo niema jednolitego stylu Hauptmanna, bo może być mowa o naśladowaniu „Tkaczów“, „Hanusi“, „Woznicy“ i t. d., ale trudno wyobrazić sobie naśladowanie Hauptmanna, który tak kameleonowo się zmienia.

Z większą słusnością dadzą się wyodrębnić wśród autorów, u których przemawia „konkretny realizm“, dwie miejscowe grupy: berlińska i wiedeńska. Charakter obu stolic jest odmienny: Berlin, niedawno pasowany na „Weltstadt“, ma znaczenie jako siedziba niemieckiego militarysty i najpotężniejszych firm bankierskich; rozwijając się w ostatnich czasach z błyskawiczną szybkością, stracił równowagę i waha się pomiędzy tradycyjnym patryarchalnym obyczajem, na zewnątrz ostrym i oschłym, a rozwiązłością moralną, brutalną i natrętnie występującą. Wiedeń, to stare miasto Feaków, enotą nigdy nie błyszczał, lecz za to, przeszedłszy przez długie lata stołecznego życia, jest zmysłowym, wesołym z jakąś ujmującą serdecznością, smakiem estetycznym, a lekkomyślność jego, bez zamiaru pozowania, jest niekiedy tak pocziwą i sentymentalną, że budzi przynajmniej chwilową sympatię. Rozszerzywszy granice tych grup i pojawiając pierwszą,

jako północno-niemiecką, drugą zaś jako południowo-niemiecką, otrzymamy niewymuszony, owszem całkiem naturalny, podział.

Taki Sudermann, lub Hirschfeld na przykład, musiał się urodzić i żyć, i pisać gdzieś na Północy Niemiec, wśród pastorów i sztywnych emerytów wojskowych, wśród zmysłowych żon bankierów i brutalno hulaszczego życia junkrów. Z Północy pochodzi także Maks Halbe (ur. 1865 roku), chociaż losy zagnały go dzisiaj do Monachium. Wymówiwszy nazwisko jego, widzi się natychmiast tytuł dramatu: „Młodość“, o którym nasza publiczność zwyczajnie to wie tylko, że jest to sztuka, niedopuszczana przez niemiecką policję na scenę. W ogólnym północno-niemieckim typie przedstawia on odmianę wschodnio-pruską i wiejską, w przeciwieństwie do stołecznej. Maks Halbe związany jest ściśle z rodzinnym gruntem, a kolebka jego stała tam, gdzie ludność germańska mieszała się ze słowiańską. Echa tych stosunków odzywają się i w dramatach: jak Sudermann, tak i Halbe, jest wrogiem Polaków i z pasją poniża ich, gdzie może. Pomijając już „Die Jugend“, gdzie polonofobia łączy się z nienawiścią do katolicyzmu, wystarczy wskazać na „Mutter Erde“: za kulisami trap niepochowany, na scenie hulaszczą stypa, a w niej, jako punkt środkowy, dwaj śpiący zupełnie Polacy, śpiewający w tym stanie ulubioną pieśń polską, wśród dzikich krzyków szyderstwa osób na scenie i w widowni. Losy Halbego były istotnie dotychczas bardzo dramatyczne: raz odnosił entuzyastyczny sukces, to znowu spotykał się z dotkliwą chłostą od publiczności i krytyki. Zachował jednak zawsze wrodzony widocznie upór, który, w połączeniu z lekkim technieniem słowiańskiego marzycielstwa, jest także jego cechą, jako poety. Tego marzycielstwa jest zwłaszcza dużo w „Młodości“, i wielbiciele tego zakazanego dramatu chwalą ogromnie wiosenny nastrój, pełny słońca wczesnego i woni rozwijających się kwiatów. My natomiast nie znosimy tego utworu — (etycznych i społeczno - narodowościowych elementów teraz nie uwzględniamy) — dla nieznośnego kontrastu niby to dziewczęcej niewinności i naiwności z duszną atmosferą całej akcji, przepełnionej tłumionymi namiętnościami. Z reszty dramatów godzi się pamiętać „Zdobywcę“, jako niezwykły dziś, a nadewszystko u „konsekwentnych realistów“, zwrot wyobraźni poetyckiej w czasy renesansu. Przedsięwzięcie nie udało się. Poeta pragnął dać tryumfatora, świetnego zdobywcę na polu sławy, a pokazał tylko jego zwycięstwa w zakresie erotycznych stosunków. Może to jest symboliczne.

W jednym ze swych pierwszych dramatów, w „Wolnej miłości“, Halbe każe bohaterowi opuścić Niemcy, gdzie nie można żyć bez ślubu z kochanką, nie będąc narażonym na prześladowania policji. Maks

Dreyer (urodzony w 1832 roku w Rostocku, mieszka w Berlinie) ma lepsze wyobrażenie o wolności w Niemczech, a przynajmniej w Prusiech. Suplent gimnazjalny, pociągnięty do odpowiedzialności przez protestanckiego praeposita i dyrektora za wypowiedzianie teorii Darwina wobec uczniów podczas wykładu przyrodniczego, z razu, zmuszony troską o materialny byt, przyrzeka tego zaniechać, lecz stanąwszy wobec ukochanych uczniów, odzyskuje hart ducha i z naciskiem wzywa ich, aby zachowali na zawsze niezależność zdania; zrobiwszy to, opuszcza rodzinne miasto, przenosząc się do Prus, „gdzie każdy ma konstytucyjne prawo wyrażania swobodnie myśli słowem, piśmem i drukiem”. Ten końcowy frazes, bezczelnie Prusom pochlebiający, podobał się w Berlinie tak bardzo, że sztuka „Der Probekandidat” została uznana za arcydzieło, a autor ogłoszony za wielkiego poetę. Inne miasta i teatry wyroku tego nie potwierdziły, a trzeźwy sąd widzi w sztuce: w intrydze banalność, w idei gonienie za tanią popularnością. Nie pierwsze to jest dzieło Dreyera; wszak i polska publiczność poznała jego dramaty; „We troje”, niestety, zanadto Echegaraya i jego „Galeotta” przypominający.

Na pograniczu pomiędzy północno-niemiecką a wiedeńską grupą pisarzy dramatycznych stoi Otto Erich Hartleben (urodzony w roku 1864, przebywa w Berlinie), bardzo sympatyczny typ wesołego bursza w mniej znanym, szlachetniejszym kierunku. Niema dziś w Niemczech miłszego przedstawiciela humoru, szorstkiego nieraz, lecz nigdy brutalnego, nigdy bezmyślnego, czasem będącego ostatnią ucieczką bystrego obserwatora, który, na widok nędzy i podłości tego świata nie chce popaść w rozpaczliwy pesymizm. Ten północno-niemiecki kuzyn wiedeńskiego Bahra rozpoczął karierę doskonałą parodią Ibsena i jego ślepych naśladowców, aby w dalszym ciągu realistycznym odtwarzaniem wielkomiejskiego życia w swobodnym tonie poufałej pogadanki rzucić snop promieni na wiele współczesnych etycznych i towarzyskich objawów. Niema u niego ani jednej tyrady, ani śladu patetycznego oburzenia, mentorskiego tonu, są zawsze raczej—jak Bahr mówi—„psztyczki w nos”, dawane tradycyjnej hypokryzji etyczno-społecznej. Jakkolwiek się to nazywa, czy „Die Erziehung zur Ehe”, czy „Ein Ehrenwort”, czy „Die sittliche Forderung”, jest to zawsze pogawędka dramatyczna, tak bystra i dowcipna, że autora można-by raczej za Francuza poczytywać. Jego najnowsza: „Ein wahrhaft guter Mensch” jest niezrównanie dowcipnem przedstawieniem charakteru i niedoli takich „pocziwców”, którzy po niewczasie przekonują się, jak świat z nich drwi i korzysta bezczelnie.



Od tego wesołego reprezentanta literackiej cyganeryi, wiecznie młodej i wesołej, krok tylko jeden do literackiego Wiednia. Hartlebenowi podaje tu rękę jego krewniak, Herman Bahr (urodzony w roku 1863, mieszka w Wiedniu). Kto go nie zna, i kto go zna? Kto nie zna tej rozwichrzanej czupryny i tej kapryśnej głowy, tego pióra pracowitego a niedbalego, zjadliwego dowcipu, wypowiedanego z najpoważniejszą, najniewinniejszą miną, ogromnej nerwowości i wielkich planów, bezwzględnego realizmu z leciutkiem tchnieniem wiedeńskiego sentymentalizmu? A kto zna istotnie ten labirynt sprzeczności, tego Proteusza literackiego, dziwaczne połączenie szczerości, pozy jawnej i pozy bezwiednej? Kto znalazł klucz do tej zagadki? Edgar Steiger mówi o nim, że „co najwięcej, można go pogłaskać, ale, broń Boże, uchwycić. Bo gdy go się chce przytrzymać, wymyka się z rąk”. Na wszystkich polach literatury objawił się ten dziwny talent: w krytyce literackiej i socjologicznej, w dramacie i powieści, w liryce i nowelli; wszędzie jest ten sam, to jest zmienny, niepochwytny. Wprowadził i uprawia z powodzeniem tak zwany „Wiener Stück“, dając niezrównane satyryczne, lub karykaturalne obrazki z życia naddunajskiej stolicy, dzierży swawolnie bicz satyry, lecz nim nie krwawi, raczej drażni dla swojej własnej przyjemności. Typową jest „Józefina“, bo Bahr pokazał tu, jak po tysiącu opracowań pewnego motywu można wynaleźć tysiączne i pierwsze, zupełnie niespodziewane. Napoleona przedstawiano rozmaicie, z nienawiścią i miłością, z uwielbieniem i pogardą; Bahr drwi sobie z niego i czytelników, robiąc z niego czulego seladona, nerwowego zazdrośnika, zawdzięczającego karierę pięknej, a niezbyt cnotliwej Józefinie. Najpociesznijszą jest przedmowa, w której autor powiada, że to ma być pierwsza część wielkiej trylogii ludzkiego życia w ogólności. Zdumiony czytelnik nie odgadnie nigdy, gdzie w tym pisarzu jest szczerość, a gdzie poza.

Wiedeńczykiem par excellence jest Artur Schnitzler (urodzony w roku 1862, przebywa w Wiedniu), Wiedeńczykiem w każdym wierszu, który napisze. Wesołe życie stolicy, bez troski o jutro, zmysłowe, ale nie brutalne, przetkane jakimś miłym, sympatycznym, estetycznym elementem — oto świat, z którego poeta wyszedł, i świat, który w sztukach odtwarza. Jest w tem mistrzem, mając na swe usługi niezwykłą zręczność w prowadzeniu dyalogu i zdolność wywoływania pożądanego nastroju, która stanowi dumę najmłodszych z młodych. Znana i polskim scenom „Liebele“, równie jak i grywana w Krakowie „Spuścizna“, tkwią motywowym w sferze, przez poetę do głębi przeniknionej i ulubionej: to studenci i inni młodzi ludzie, upra-

wiający miłości z chęci przyozdobienia niemi szarości życia codziennego, lekkomyślni, bo nie zastanawiający się nad tem, jak się taki stosunek skończyć może i musi, kochający nawet szczerze i bez woli robienia krzywdy, ludzie słabi i bez energii, słowem, przedmiot oburzenia dla surowego moralisty, lub praktycznego „społecznika“, ale mili i od pierwszego wyglądu zyskujący pobjaźnienie. Z drugiej zaś strony modystki, panny sklepowe i inne dziewczęta, twardą pracą znękane, z pragnieniami słońca, i tego, co na niebie świeci, i tego, które daje miłość, i tego wreszcie, które jest skutkiem i przywilejem dobrobytu; więc łatwo dadzą się zbalamacić, zejda z prostej drogi, nie mogąc mieć męża, lub narzeczonego, kochają kochanka, jemu się oddają bezgranicznie, pragną mieć w życiu choć jedną chwilę upojenia, bo zaraz potem przecucie smutnego końca rzuca cień melancholijny. W oddaniu nastroju, złożonego z lekkomyślnego używania świata i niepochwytniej, nieświadomej melancholii, Schnitzler jest chyba pierwszym pomiędzy współczesnymi poetami niemieckimi, a chlubne świadectwo wydaje o sobie publiczność, która go za to ceni, uwielbia, niemal kocha.

Schnitzler prowadzi czytelnika nieznacznie ze sztuki wybitnie realistycznej ku temu dramatowi, który prawdę i wierne odbicie rzeczywistości poświęca dla wywołania odpowiedniego nastroju. Jest bowiem realistą, lecz nie z programu, z zasady, jak wszyscy poprzednicy — z jednym wyjątkiem Bahra, który ma tylko tę zasadę: być codziennie Bahrem, a zawsze innym Bahrem. Schnitzler jest realistą, o ile mu to jest potrzebne do osiągnięcia owego wyższego celu, i jest realistą, bo sądzi, że ta droga właśnie jest najlepszą z wiodących do celu. Inni, których wnet poznamy, realizm odtrącają jako środek i jako cel, a postulat wywołania lotnego, przenikającego do głębi nastroju postawią jako absolutne zadanie wszelkiej sztuki, więc i poezji dramatycznej. Śpieszno nam do nich, bo są to poeci, w Polsce przeważnie nieznanymi, a bez wyjątku nie grywani na scenie, lecz, zanim się o nich mówić zacznie, konieczne są dwie uwagi, dotyczące się jeszcze poprzedniego ustępu. Naprzód pytanie: czy wymienieni pisarze dramatyczni są jedynymi godnymi wzmianki przedstawicielami realizmu w niemieckim dramacie? Oczywiście nie; wśród tego zalewu autorów i dramatów niepodobienstwo wyliczyć wszystkich, istotnie utalentowanych, dość, że się omówi bądź najrozgłośniejszych, bądź najznakomitszych. Pominąć więc musiało się zupełnie: Burekhardta, Dörmanna, Henzla, Karlweissa, Lothara, Langmanna, Skowronka, Stratza, Vossa, Wawrocha i wielu, wielu innych. Uprzedzając zaś interpelację czytelnika, usprawiedliwić się należy, czemu nie wspomnia-

to się tu o Ludwiku Fuldzie? Wszak to chyba jeden z głośniejszych, wszak jego „Utracony raj“, „Niewolnica“, „Koledzy szkolni“, „Talizman“, dostały się nawet na polskie sceny, a „Syn Kalifa“ i „Herodstrat“ i u nas mają zwolenników? Istotnie, tak jest, przeczyć niepodobna, Fulda jest popularnym w Niemczech i za granicą. Śmiesznem byłoby uważać go za zbrodniarza w zakresie sztuki, jak to czynią gwałtowni jego nieprzyjaciele, sprawiedliwszem jest przyznać mu zgrabny talent formalny, miejscami szczęśliwą rękę w wymyśleniu i prowadzeniu fabuły, zdolność podchwytywania w lot popularnych haseł i motywów i sztukę podobania się średnio wykształconemu ogółowi. Lecz poza tem nic więcej; Fulda nie ma ani wyraźnej samodzielności, ani głębokości obserwacji, ani powagi idei—a to posiadać trzeba, chcąc przejść do literatury. Zresztą Fuldzie nie dzieje się i tak krzywdą: historia nie zapomni mu nigdy zasług, jakie ma, przetłómaczywszy Rostanda, a zwłaszcza Beaumarchais'go i Molière'a. Przekład jest wzorowy i nawet w bogatej i szczęśliwej niemieckiej „Uebersetzungslitteratur“ ma miejsce między najlepszymi.

### III.

Poeci dramatyczni, wyraźnie przedstawiający zwrot w modernizmie niemieckim, przejście od „konsekwentnego realizmu“ do mniej lub więcej czystego symbolizmu, podobni są do znanych nam już modernistycznych liryków. Wszystko, co się powiedziało wtedy o treści i formie poezji George'a, tu należało-by powtórzyć. Z dodatkiem tego, że w dramacie występują oni o tyle zmienieni, o ile wymaga tego zmysłowo-plastyczna natura tej poezji, przeciw której zasadniczym warunkom wszelka walka jest a priori beznadziejną. Co stanowi jądro teatru, to pozostać musi; odrzucić, lub zmienić można tylko przypadkowe właściwości. I w tym zakresie teatr w Niemczech ulega istotnie wielu przeobrażeniom. Zmienia się sztuka aktorska, wymagając od wykonawców nie tylko wyuczenia się roli i władania pewnym tradycyjnym repertuarem gestów, min, modulacji, głosu i t. p., lecz przede wszystkim przejścia się do głębi odtwarzaną postacią, akcentowania najtajniejszych, nawpół świadomych odruchów duszy, targnięcia duszą widza i rozkołysania jej w takt duszy poety i jego two-

rów. Zmienia się sam zewnętrzny wygląd teatrów: zamiast wielkich zbiorowisk tłumu, gdzie głos aktora wysiła się, by przygłuszyć gwar flirtujących w łóżach pań i panów, zamiast świecących tanim przepychem aren, budowanych tak, aby na ich tle najlepiej występowały naturalne i sztuczne wdzięki żadnej popisu gawiedzi—stawia się „sceny secesyjne“, przeznaczone dla ograniczonej liczby słuchaczy, nie olśniewając złotem, lub marmurami, lecz przenikające nawet profana wrażeniem odrębnego świata, świata nadzmysłowych nastrojów; dekoracye nie są celem, nie istnieją same przez się, lecz i one, i kostiumy, i muzyka między aktami, i wszystko, co razem tworzy teatr modernistyczny, to posłuszne struny jednego instrumentu, lekko dźwięczącego pod ręką wszechartysty. Krytyka jest wobec tego teatru łatwą, bezstronnemu przystoi raczej patrzeć i — czekać. Może to i dobrze, że i w zewnętrznym wyglądzie teatrów i scen zaczyna się jakiś prąd reformy; jeżeli się treść zmienia, musi się i forma zmienić.

Znajomość tego kierunku dramatu utrudnioną jest naprzód dla tego, że utwory te grane są tylko wobec szczupłego zazwyczaj grona widzów, powtórę zaś z tego powodu, że ogłaszane są drukiem bądź w mało dostępnych, wyłącznych czasopismach literackich, bądź też w wydaniach książkowych, umyślnie w nieznacznej liczbie egzemplarzy odbijanych. Jest w tem metoda: w przeciwieństwie do dramatu realistycznego, który porusza motywa, obchodzące żywo szerokie koła, i do mas przemawia; dramat modernistyczny, w ściślejszem tego słowa znaczeniu, odzywa się do niewielu, którzy przeszli pewną wyższą kulturę umysłową. Naszym czasem demokratycznym nie bardzo to się podoba, i niewątpliwie taka wyłączność kryje w sobie wiele niebezpieczeństw. Pamiętać jednak należy i o tem, że jest to zwrot w sztuce, do którego jeszcze nie wszyscy są przygotowani dostatecznie, a modernistyczny dramat, choćby chciał, dziś jeszcze nie mógł-by mas koło siebie ugrupować. Jest to niemożliwe i z tego powodu, że w zasadzie wyłącza wszelką agitatorsko-społeczną tendencyę; jej zawdzięcza dramat naturalistyczny w przeważnej części popularność, jej brak jest nie najpodrzedniejszą przyczyną obojętności wobec sztuki modernistycznej dzisiejszej doby.

Przykład najlepiej pouczy o charakterze tego dramatu. Jak George w liryce, tak w dramacie doskonałym typem jest Hugo von Hofmannsthal (urodzony w 1874 roku). Znany od kilku lat zaufanemu gronu wtajemniczonych, niedawno dopiero wystąpił publicznie. Jest jeszcze młody, a stąd, mimo wielkiej samodzielności poety, można wskazać pisarzy, na których się kształcił i którymi się przejął. Takim jest przedewszystkiem Maeterlinck, w Niemczech dziś ogromnie

popularny, przez Oppeln-Bronikowskiego wybornie tłómaczony, stały współpracownik berlińskiego miesięcznika: „Die Insel”, jednego z nieoficyjalnych organów tego grona literatów. Z belgijskim poetą podziela niemiecki dramaturg zwrot do naiwnych baśni i bajek, które mają właśnie swą prostotą najbezpośredniej oddziałać na duszę słuchacza, czy też czytelnika; od niego wziął także nastrojowość, lubującą się w półtonach, w oddawaniu uczuć nawpół świadomych, w osnuwaniu dramatycznych nerwów akcji lekką gazą mistycyzmu, symbolizmu, świata niejasnych przeczuć; każde słowo ma tu wywołać nie jedno, ale tysiące wrażeń nieokreślonych i złożonych. Obok tego kształcił się Hofmannsthal także na d'Annunzio. Tu jest źródło jego bogatej, pełnej barw i zapachów sceneryi, jego upodobania w krainie południowego słońca, pomarańczowych drzew i demonicznych namiętności, stąd wziął także skłonność do przedstawiania chwil najtragiczniejszych pod maską małomówności i tragicznie nastrojowej tajemniczości. Obu tym poetom, a może i Swinburne'owi, zawdzięcza przepyszną obrazowość i barwność stylu tak niezrównaną, że nawet najwięksi jego przeciwnicy uznają w nim rozrzutnie hojnego artystę języka i stylu, niekiedy, co prawda, zbytnio szafującego skarbami rozbijałej wyobraźni.

Z dostępnych nam utworów poety wyliczamy: „Der Thor und der Tod”, ogłoszone potem w monachijskiej „Jugend”, wydrukowane w książkowym wydaniu: „Theater in Versen”, składajacem się z trzech sztuk, i wreszcie „Der Kaiser und die Hexe” niedawno zamieszczone w „Insel”. Za najcharakterystyczniejsze uważamy „Die Frau im Fenster” i „Die Hochzeit der Sobeïde”, które to oba utwory wchodzą w skład owych trzech wierszowanych dramatów razem zebranych <sup>1)</sup>).

W pierwszym utworze jest dramat małżeński, oczywiście w obrębie owego osławionego trójkątu: mąż, żona i kochanek. Tego ostatniego na scenie niema, występują tylko dwie pierwsze osoby i mamka niewiernej. Donna Dianora czeka na kochanka. Jej niepokój, jej trwoga i oczekiwanie oddane są cudownie z odtworzeniem najdelikatniejszych przemian w usposobieniu, najłżejszych tchnień zmiennych uczuć. Obrazowość niesłychanie plastyczna, nawskroś oryginalna i niesłychanie hojna. Z tysiąca wybieramy jeden obraz, przypominając, że prozaiczny przekład nie zdoła oddać piękności oryginału:

---

<sup>1)</sup> Podpisany pisał już o nich w „Przeglądzie Polskim” za grudzień 1899 roku (Przyp. aut.).

„Więc nie masz końca, jasny dniu? Ach, ileż ja godzin już z twych nawpół otworzonych dłoni wyjmowałam, w kawałki kruszyłam, i potem te cząsteczki drobne rzucałam w wir wody, jak teraz rzucam te podarte kwiaty“.

W czasach, kiedy słowa i zwroty stały się liczmanami, wytartymi wskutek przechodzenia z rąk do rąk, taka oryginalność i pomysłowość, choćby tylko formalna, jest stwierdzeniem niezwykłego talentu. Albo to miejsce, gdzie pijaka, przechodzącego koło ogrodu, wzywa w myśli, by poszedł precz, bo przecież dziś nie świeci księżyc, tylko słabe gwiazdy migocą. Gdyby było jasno, nie miała-by odważyć czekać na balkonie lubego, pijanego także, ale nie lichem winem, nie ciężko zataczającego się, lecz lekko, jak wiatr, lecącego w jej objęcia. Rozmowa z mamką, obojętna i prosta, dramatycznie kontrastuje z duszną, pełną przecucia blizkiej katastrofy, atmosferą. Zamiast kochanka wraca niespodziewanie mąż, świadomy zdrady niewiernej. Nie robi jej wyrzutów i ona się nie usprawiedliwia; on powziął silne postanowienie ukarania wiarołomnej, ona przeczuwa to i gotuje się na śmierć: oboje są ślepem narzędziem przeznaczenia. Do szczytu tragizmu dochodzi autor w przedśmiertnych słowach donny Dianory, sięgającej w tej chwili pamięcią wstecz, w czasy dzieciństwa. A potem milczenie i kara.

W „Małżeństwie Sobeidy“ tragizm był-by równie wzruszającym, gdyby nie egzotyczność i dziwaczność sytuacji zasadniczej, objaw chorobliwej pasji oryginalności i niezwykłości za jakąbądź cenę. Sobeida, córka ubogich rodziców, zmuszona jest do małżeństwa ze starym kupcem. Zaraz jednak w nocy poślubnej prosi męża, aby ją puścił do kochanka. Uwolniona, idzie wśród trwogi (prześlicznie przedstawionej) do Ganema, syna Szalnassara, hundlarza dywanów, rzuca mu się do stóp i oddaje pod władzę. Czeka ją wzdarda i wstyd, bo Ganem bawił się nią tylko, a zmysłami jest w sieciach wyuzdanej Gullistawy, kochanki jego starego, lubieżnego ojca. Sobeida skarży się więc cicho: „Więc to wszystko było niczem? niczem? Już ja się z tego nie oczyszcze... Czuję, jakby mi włożono na ciało suknię szpetną i wstrętną śladami zarazy, pijackiego brudu, a jam jej zdjąć nie mogła“. Śmierć tylko zmaże jej hańbę i winę. Jej powrót do domu męża i samobójstwo skończą konsekwentnie i z zachowaniem tragicznej etyki ten wstrząsający dramat.

W trzeciej sztuce: „Awanturnik i śpiewaczka“, nęci przede-wszystkiem doskonale odtworzenie bujnego życia bohatera, przypominającego Cagliostro, lub Casanowę; chaotyczna akcja nie może się

jednak zmieścić w ramach teatralnych utworu. W najnowszej sztuce: „Cesarz i czarownica“, poeta uderza znów w ton średniowiecznych baśni, mitycznych i mistycznych.

Maeterlinck ma i obok Hofmannsthala wielu zapalonych apostołów i uczniów dzisiejszego Parnasu niemieckiego. Podobnie jak ich mistrz, chcą oni oddać to, co leży poza sferą świadomości, wypowiedzieć to, co się wypowiedzieć nie da. Słowa muszą się z konieczności stawać muzyką, bo tylko muzyka zdolna jest wyrażać najłżejsze drgania duszy. Stąd owe niejasności i zawilości, niedomówienia, to znów sypiące się, jak z rogu obfitości, porównania, metafory. Świat realny idzie precz, fantazyja poety tworzy baśnie w charakterze narodowych, a każda postać, każda sytuacja, każde słowo nabiera tu głębszego, symbolicznego znaczenia. A jednak to wszystko nie pomaga: poeta sam czuje swą niemoc, wie, że tego, co chce, wypowiedzieć nie zdoła i apelować musi do refleksyjnych i kombinacyjnych zdolności widza. Wilhelm von Scholz (urodzony 1874 roku, przebywa w Monachium), obok Hofmannsthala najwybitniejszy symbolistycznych dramatów poeta, apostrofuje naprzód publiczność z chwilą, gdy kurtyna podnosi się nad jego „mistycznym dramatem“, pod tytułem: „Zwyciężony“: „Nie szukajcie słowa, które-by rozwiązało wszystkie zagadki sennych tych marzeń. Czasem, gdy dzień się tajemniczo ku wieczorowi chyli, lekki, trwożliwy szmer liści dotyka waszej duszy, aż się zagłębicie w samotności, a żadne słowo nie ma mocy wyrazić, co czujecie“. A potem mistyczne dźwięki harfy, zielonawy blask miesiąca i czerwoną lunę rozsiewające pochodnie, blade świece grobowe, tajemnicze szmery, nocne strachy, duszna rozkosz i trwożliwa bojaźń śmierci... Zmartwychwstaje cudowny świat romantycznej baśni. Wśród romańskiej architektury, w jesienny wieczór, przy blasku zorzy wieczornej, dama i jej pokojowa czekają w komnacie wieści o wyniku pojedynku, który gdzieś w lesie stacza kochanek pani z obcym rycerzem. Obcy rycerz uległ Wolf, kochanek damy, wprowadza go sztydlerem do komnaty i zdaje na łaskę i niełaskę swej bogdancy. I teraz, w cudownych scenach, pełnych najdelikatniejszego lirycznego nastroju, obcy rycerz zyskuje serce damy demoniczną grą słów, myśli i ruchów. Zwyciężony rycerz jest symbolem cudowności, zagadkowości, mistyki życia; jest demoniczną siłą miłości i namiętności, jest najwyższym szczęściem i najgłębszą rozpaczą, jest wszystkim, co życie ma głębokiego i wzniosłego. Zwyciężony przez brutalny Dzień ten Wieczór czarownicy ulega śmierci z rąk Nocy: dama, oddawszy się obcemu rycerzowi, ponosi śmierć z rąk zazdrosnego męża. Obcy człowiek zjawia się teraz jako mnich, jako nosobienie mistyki śmierci.

Może to nie teatralne, może zanadto zawile i niejasne, za mistyczne, za fatalistyczne, i panteistyczne — może to wszystko prawda, a jednak, jeżeli i to, oczywiście, sztuką prawdziwą nie jest, to chyba odmówić temu trudno prawa współrzednego obok naturalizmu istnienia. Wilhelm von Scholz wprowadza w zadumę smętną, dobroczynną, a nam, doprawdy, tej zadumy potrzeba niekiedy w brutalnej walce życiowej.

Chcąc się rozkoszować Hofmannsthalem i Scholzem, nie powinno się znać podobnych im poetów „minorum gentium“. Wtedy bowiem nie jeden czar pryśnie, nie jeden poetyczny pomysł wyda się zreczną sztuczką dekoratora, nie jedna głęboka mistyczna idea okaże się modnym komunalem. Zawsze marni karyerowicze literacy byli przekleństwem szczerzej poezji. Maeterlinck w „Intruzie“ potrafił wstrząsające wrażenie wywołać wprowadzeniem na scenę niewidzialnego gościa, śmierci. I zaraz o jego laury pokusiło się wielu, a postać śmierci stała się w niemieckim dramacie modernistycznym nieledwie powszechną.

Eberhard König (urodzony w roku 1871, mieszka w Berlinie) zatytułował swój dramat, „Gevatter Tod“, w wielkiej skromności tylko „Baśnią ludzkości“. Młody chłopak, Janek, serdecznie naiwny i dziecinny, idzie w świat, jako umiłowany sługa Kумы Śmierci. Wesoły, pełen bohaterskiego ducha, swobodny i odważny, ma mieć władzę cudownego uzdrawiania. Wołają go do chorej córy królewskiej. Śmierć po nią już wyciąga ramiona, lecz Janek wypowiada jej posłuszeństwo i leczy dziewczę, pojawiając ją za żonę. Odtąd nieszczęście go ściga, bo pożądlivość sławy i złota nie daje mu chwili spokoju. Los zabiera mu żonę, dziecko i wszystko, co ma. Złamany, skruszony, wraca do lasu i do dawnego stanu. Baśń skończona. Pełno w niej reminiscencyi z Hauptmanna (Rautendelein z „Zatopionego dzwonu“), nawet z Grillparzera (Rustan) i Wilbrandta („Mistrz z Palmyry“). Albo Maksa Möllera (urodzony w roku 1868, mieszka w Berlinie) „Taniec szkieletów“, nowa waryacya na stary, co prawda, wspaniały temat ze Śmiercią, jako demonicznym kawalerem, który w czasie zabawy prosi królowę do tańca; obraca ją w szalonym wirze, całuje, i pocałunkiem śmierć zadaje. Pseudogłębokie frazesy i banalna piękność stylistyczna, oto znamiona tego dramatu. Motyw śmierci jest dziś w symbolistycznej poezji dramatycznej niemieckiej tak modnym, że używa się go jako reklamy; jakiś pan Hans Erdmann, pisząc najzwyczajniejszy w świecie dramat o Henryku VI z rodu Hohenstaufów, daje mu tytuł: „Król Śmierci“. Od wzniosłości doszliśmy do swawoli i śmieszności.



Śmieszności jest, niestety, łość i gdzieindziej. Czasem aż żal, że tyle talentu marnuje się na wyścigi, kto kogo przegoni w dziwaczności. Poetyczna idea symbolów wyradza się tak łatwo w dziwaczność; będąc chaotycznym, bezładnym, nawet—brzydkie słowo, ale konieczne—bezrozumnym, pozuje się na głębokość myśli, wzniosłość idei, olbrzymiość symbolów. Odrzuca się wprost słowo, jako niewystarczające a kępujące, i przenosi się punkt ciężkości na element baletu i teatru maryonetek. Amatorom dziwacznej lektury polecamy książkę pod tytułem: „Fürstin Rusalka“ Franka Wedekinda. Wśród pseudogłębokich, a w rzeczywistości pornograficznych wierszy, znajdzie się tam i fantastyczny balet, którego głównymi osobami są królowa „Leczcińska“ i... pewne zwierzątka, niektórych ludzi we dnie i w noey niepokojące. A przecież ten pan ma talent niezaprzeczalny, zwłaszcza w zakresie karykatury scenicznej, równie jak i Otto Juliusz Bierbaum, zapelniający całe arkusze egzotycznych miesięczników niemieckich bezładnymi luźnymi scenami, bez związku, a z ostatecznym wyuzdaniem wyobraźni. Ba, nawet sam Delmeł, znany nam już jako liryk, pisze „poemat taneczny“ (!) „Lucifer“, produkt groźnej obserwacji poetyckiej. Profanuje tu wzniosłą myśl konfliktu świata pogańskiego i chrześcijańskiego, oraz ostatecznego ich zharmonizowania się, że czytelnik wreszcie nie wie, co ma przed sobą: balet, czy jakąś dziwaczną poezję „przyszłości“. Stary Lessing błędził, ustanawiając zbyt ścisłe granice pomiędzy poezją a plastycznymi sztukami; obalając tę doktrynę, nie potrzeba koniecznie dochodzić aż do szalonych egzageracji.

Przeszło się długą drogę od naturalizmu do symbolizmu. Że się skończyło na śmieszności, to po prostu dzieło wypadku. Symbolizm, jako reakcja, ma swoje uprawnienie. Symboliści pragną nas z nizin wyprowadzić na szczyt góry, i tu, jak ibsenowski Rubek, pokazać świetną wspaniałość świata. Kilku wybrańcom choć w części to się udało. Może lepiej nawet, niż dziś osądzić możemy. Jeżeli trudno wogóle wydać wyrównany i spokojny sąd o zwrocie w ogólnej modernistycznej literaturze niemieckiej, to prawie niepodobieństwem staje się to w zakresie dramatu. Każdorazowy dramat wymaga swego osobnego teatru. Jak dziś inaczej patrzymy na przykład na Ibsena, niż lat temu choćby dziesięć jeszcze, kiedy go nigdzie nie umiano

grać, tak i nasz sąd o modernistycznym dramacie wypadnie inaczej kiedyś, w przyszłości, gdy ogromna przepaść pomiędzy charakterem tej poezji dramatycznej, a dzisiejszym całokształtem teatru choć w części się wyrówna. Poezja wpływać będzie—początek już zrobiony—na instytucję teatru, a scena znowu wywrze nacisk na charakter dramatu. Po której stronie presya będzie silniejsza, któż to odgadnie? Ale to pewna, że rozwój tą drogą pójdzie, i że dobrze z tem będzie i poezji, i teatrowi. W żywym organizmie wszechświata nic nie może pozostać nieruchome.

DR JÓZEF FLACH.

---

# Wśród stepów i jarów.<sup>1)</sup>

---

## Kultura przeddziejowa.

---

### VI.

Rozpoczynamy od europejskich brzegów oceanu Atlantyckiego od Francyi, gdzie, ze względu na wielką różnaitość grobów przedhistorycznych, skrzynkowe są stosunkowo rzadkie. Najwięcej znaleziono ich w kilku departamentach Bretanii, gdzie wraz z dolmenami przedstawiają one okres nowokamienny<sup>2)</sup>. Są przeważnie rozmiarów niewielkich<sup>3)</sup>, jak na przykład na półwyspie Quiberon, na Finisterze i w dolinie rzeki Vienny<sup>4)</sup>. W należących do okresu kamien-

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt listopadowy „Biblioteki.“

<sup>2)</sup> M. Hörnes: „Die Urgeschichte des Menschen“, 415; Closmadeuc: „La question des dolmens et des coffres de pierre“, 3, 24, 25 – 6; Carthailac: „La France préhistorique“, 203.

<sup>3)</sup> Carthailac, 203.

<sup>4)</sup> Ibid., 212

nego, sposób chowania rozmaity, gdyż jedne są najpierwotniejszym typem grobów familijnych, gdzie po kilka na raz znajduje się szkieletów, drugie zawierają po jednym, a trzecie — obok szkieletów — ciałopalenie, czyli urny z popiołami ludzkimi <sup>1)</sup>. We Francyi skrzynki musiały wejść w użycie, poczynając od tej doby okresu kamienia, kiedy jaskinie służyły również do celów pogrzebowych, ponieważ w Solutrée, w pobliżu jednej, znaleziono szkielety, ułożone w tenże sam sposób, jak i w niej samej, to jest między płytami kamiennymi, tworzącymi prawdziwe skrzynki (cercueils). Należały do okresu kamienia <sup>2)</sup>. Zresztą, pomimo względną, a wyżej cytowaną rzadkość, groby skrzynkowe bywają nie tylko na północno-zachodnim wybrzeżu Francyi, lecz mniej więcej wszędzie po trochu; tak na przykład w okolicach miasta Nimes, pomiędzy licznymi zabytkami neolitycznymi, trafiają się dolmeny w grupach, a zarazem ciste kamienne ciałopalne i szkieletowe, zrobione z płyt nieciosanych <sup>3)</sup>; coś podobnego do skrzynek znajduje się i w Wogezach <sup>4)</sup>; wreszcie kongresowi paryskiemu w 1889 roku Reber komunikuje, że pewne groby sabaudzkie składają się z czterech płyt gnejsowych po bokach, przykryte dwiema wierzchniemi, zawierają szkielety skurczone, przedmiotów zaś żadnych, prócz muszli. Między niemi bywają jednak i takie, w których trafiają się przedmioty z brązu <sup>5)</sup>. Ogólnie więc, we Francyi, sposób grzebania całkowitego, lub składania popiołów ciałopalnych do skrzynek, aczkolwiek należy do okresu kamienia, trwał wszakże jeszcze i w początkach brązu.

Półwysep Pyrenejski, o ile wiemy, do tej pory nie dość zbędany; wszakże dane, które stamtąd posiadamy, pozwalają wnioskować, że przynajmniej na wschodnim jego wybrzeżu znajdują się skrzynki kamienne, mniej starożytne od miejscowych dolmenów, a chociaż nie brak między niemi sięgających okresu kamienia, jednak biorą one tu przewagę dopiero wraz z ukazaniem się, a następnie świetnym rozwojem miedzi i brązu. W okresie żelaza brak ich zupełnie. Ciałopalenie trafia się oraz w skrzynkach półwyspu Pyrenejskiego, bez względu na obecność metalu, który jest zwiastunem zupełnie nowej, już nie kamiennej kultury; prócz tego nader często zdarzają się tam i skrzynki z dwoma szkieletami sku czzone-

<sup>1)</sup> Ibid., 277, 278.

<sup>2)</sup> Nadaillac: „Les premiers hommes“, II, 238.

<sup>3)</sup> „Revue d'Anthropologie“, 1894, 757.

<sup>4)</sup> Carthailiac, 232.

<sup>5)</sup> „Matériaux pour l'histoire de l'homme“, 1890, 365.

mi, męskim i kobiecym. Ozdoby, które się w nich widuje, zawdzięczyć należy, jak się zdaje, wpływowi fenickim <sup>1)</sup>

Przy badaniu tak zwanych „barrows“, czyli kurhanów angielskich, okazało się, że w niektórych składano ciała wprost na powierzchni ziemi, i obstawiano je płytami kamiennymi w ten sposób, by ułożyć skrzynię, a dopiero nad niemi wznoszono usypisko. Większa część takich „barrows“ należy jeszcze do okresu kamienia, lecz bywa też i kruszec <sup>2)</sup>. Otóż w Anglii przeważa zdanie, że kulturę, odpowiadającą czasowi budowania tamtejszych skrzynek kamiennych, odnieść należy do okresu brązu. W Anglii i Francji, a jak widzieliśmy, i na półwyspie Pyrenejjskim, okres kultury tej jeśli nie był równoczesnym, to przypadał w jednym i tym samym stanie cywilizacyjnym narodów, tu zamieszkałych; w Hiszpanii mógł on wystąpić znacznie wcześniej, ze względu na jej bardzo dawne stosunki ze Wschodem, podczas gdy bretońskie i angielskie wybrzeża, prawdopodobnie czekały jeszcze na tę chwilę bardzo długie lata, jeśli nie stulecia całe. To też pomimo skrzynki neolityczne w pewnych miejscowościach Hiszpanii, okres kamienny jest wyraźniejszy we Francji, niż za Pyrenejami; tak samo w Anglii, okres ten, reprezentowany bardzo wyraźnie i długo pod postacią pomników megalitycznych, nie zostawił grobów skrzynkowych, ustępując je okresowi brązu. Tłómaczyć się to daje tem tylko, że Anglia była pierwiej wystawioną na stosunki handlowe, wcześniej zawitali tu Fenicyanie w poszukiwaniu cyny, która się właśnie u wysp Wielko-brytańskich znajduje, aniżeli brzegi niedalekiej nawet Bretanii francuskiej, i że zatem, gdy Francja rozwijała dalej swą kulturę kamienną, a w trakcie jej przechodziła od budów megalitycznych do skromniejszych skrzynek, angielski okres kamienia kończył się wśród pełni rozwoju megalitów, zmiana zaś formy tej na zmniejszoną nastąpiła już tu wówczas, gdy metale zostały wprowadzone.

Porównanie takie dwa blisko siebie położonych krajów w dobie jednakowej kultury dowodzi tylko, że użycie skrzynek kamiennych było wynikiem zmiany w pojęciach, może nawet wynikiem ewolucyjnym wyobrażeń o duchowej stronie człowieka, lecz nie jakimś przyniesionym tu obyczajem, gdyż inaczej, gdyby wprowadzenie skrzynek nastąpiło wraz z kulturą obcą, to jedyną możliwą chwilą dla nie-

---

<sup>1)</sup> „Zeitschrift für Ethnologie“, 1887, 415. Hörnes: „Die Urgeschichte des Menschen“.

<sup>2)</sup> Nadaillac: „Les premiers hommes. tom II, 232.

go we Francyi była-by ta sama, która zaprowadzała użytek metalu. Wszakże widzieliśmy, że było inaczej.

Z kolei, rozpatrzywszy Zachód europejski, przypatrzmy się Szwecyi. Tu, według M. Hörnesa, najstarszym typem grobów są niewielkie dolmeny, tak zwane „dysse“, składające się co najwyżej z pięciu płyt prostopadłych; następnie idą dolmeny wielkie, „Riesenkammer“, o licznych płytach bocznych i wierzchnich, a dopiero po nich, jeszcze wszakże w okresie neolitu, następują skrzynki<sup>1)</sup>. Montelius okres ten cały przedstawia w sposób następujący: w miarę postępu czasu, prócz dolmenów i tak zwanych grobów korytarzowych, „Ganggräber“, czyli wielkich izb podziemnych, mających ściany wyłożone płytami i nakrytych głazami płaskimi, z którymi są połączone i korytarze wchodowe, w tenże sposób budowane, znajdujemy w Szwecyi groby skrzynkowe siedmiometrowej długości, więc bardzo wielkie, które faktycznie różnią się od typu poprzedniego tem tylko, że owych korytarzy nie mają; przytem często, jak obecnie, są one bez płyt wierzchnich i żadnych usypisk. Stanowią formę przejściową od grobów korytarzowych do skrzynek mniejszych, przysypanych mogiłami, które należą do okresu przejściowego od kamienia do brązu najstarszego<sup>2)</sup>. Ostatni typ ten przechował się i w okresie czysto brązowym<sup>3)</sup>. W okresie kamienia ciało nie palono w Szwecyi, lecz i później nie zawsze. Spotykamy więc tu skrzynki najstarsze, zawierające po kilka naraz szkieletów; po nich dopiero w miarę starszeństwa idą takie, w których mieści się po jednym. Z postępowaniem czasu ukazują się w nich ciałopalenie, wszakże u zawiązków zwyczajnie tego skrzynki zachowują ten sam rozmiar, jakiego używano przy składaniu ciał niepalonych, tak dalece, że tylko głęboko wkorzenionym rytuałem można tłómaczyć przykłady tego rodzaju, w których spora budowa zawiera zaledwo mały stożek kości spalonych<sup>4)</sup>. Zamienia się on wszakże z czasem na bardziej racjonalny, i najnowszą formą skrzynek przedstawia się już w rozmiarach, zastosowanych do zawartości. Różne okresy grobów skrzynkowych bywają tu pomieszane pod jednym nasypem, co dowodzi, że go nie wznoszono jednorazowo, lecz dosypywano w miarę potrzeby. Tak na przykład w południowym Halandzie, pod Dömmerstorp, na samym spodzie usypiska znaleziono dwie wielkie skrzynie ze szkieletami, a szpila brązowa wskazywała,

1) „Urgeschichte des Menschen“, 282.

2) „Die Kultur Schwedens“ i t. d., 32.

3) Ibid., 34.

4) Ibid., 79.

do jakiego należą okresu; w górnych zaś częściach tegoż kurhanu były już tylko małe skrzynki z kośćmi spalonymi <sup>1)</sup>. Im bardziej rozwija się okres brązu, tem mniej w Skandynawii znajdujemy skrzynek, które ustępują urnom, nakrytym płytami, a podczas przejścia do okresu żelaza, już dołom zwyczajnym z ciałopaleniem <sup>2)</sup>. Dawne skrzynki szkieletowe nie przestają wszakże zupełnie być w użyciu obok ciałopalnych i innych typów grzebalnych, nawet w okresie żelaza, w tych miejscowościach zapewne, gdzie ludność była bardziej zachowawczą, jak np. w Gotlandzie <sup>3)</sup>. Tak samo dzieje się później, za Wikin-gów, a zatem w czasach, względnie bardzo niedawnych <sup>4)</sup>. Nie jest to nawet okres, zwany „La Tène“, rozpoczynający się w Szwecyi około 400 roku ery chrześcijańskiej, okres wpływów gallicko - rzymskich, który pozostawił również, obok urn ciałopalnych, groby skrzynkowe ze szkieletami, zawsze prawie nakryte mogiłą <sup>5)</sup>. Z powyższego wynika, że Szwecya, jeszcze głęboko w okresie kamienia, zaczęła zamieniać megalityczne budowy na skrzynki, z początku wielkie, później, w miarę rozpowszechnienia się ciałopalenia, na mniejsze. Postęp taki uskutečnił się przez ewolucję stopniową, pod wpływem warunków miejscowych i bez żadnego udziału naleciałości obcych; dowodzi tego broń i klejnoty, znajdowane w najstarszych skrzynkach ciałopalnych z bronzami takimi, jak te, które się znajdują w szkieletowych, czyli z prototypem wyrobów nowszych, zawartych w skrzynkach końcowego okresu brązu <sup>6)</sup>. Rozpatrując w ciągu lat paru obfite źródła, dostarczane przez niemieckie wydawnictwa archeologiczne, odnieśliśmy wrażenie, jak gdyby południowe części półwyspu duńskiego, i te kraje niemieckie, które najbliżej morza są położone, albo wcale skrzynek neolitycznych nie posiadają, lub też bardzo niewiele; za to okresy późniejsze reprezentowane są tam prawie wszędzie przez skrzynkowy typ grzebalny. W znacznej mierze pozostaliśmy w tem przekonaniu do chwili obecnej. Co do Szlezwig - Holsztynu, stwierdza je dziełko specjalne pani Mesdorf, z którego widać, że okres neolityczny przedstawia się tu pod postacią wielkich pomników megalitycznych, i że dopiero w okresie brązu spotykamy najprzód spore groby skrzynkowe,

<sup>1)</sup> Ibid., 81.

<sup>2)</sup> Ibid., 93.

<sup>3)</sup> Ibid., 118.

<sup>4)</sup> Ibid., 192.

<sup>5)</sup> Niederle: „Lidstvo v dobe predhistoricke“, tłóm. ros., 487.

<sup>6)</sup> „Mitteilungen der Anthropolog. Gesellschaft in Wien“, tom XXIII; Penka: „Die Heimat der Germanen“, 46.

szkieletowe, które, w miarę, jak się rozpowszechnia ciałopalenie, zmniejszają się stosownie do celu <sup>1)</sup>. W Meklemburgu, o którym szczegóły, zebrane z pism rozmaitych, porównaliśmy z doskonałą rozprawą Beltza <sup>2)</sup>, widzimy również, jak wiele z okresu kamienia pozostało tu dolmenów. O skrzynkach neolitycznych w tej-że rozprawie żadnej nie znaleźliśmy wzmianki. Dopiero w rozdziale o czasach zupełnego rozwoju bronzu trafiają się wzmianki o skrzynkach z urnami ciałopalnemi, w kurhanach, układanych z kamieni polnych, co się powtarza do końca tegoż okresu z niewielką zmianą kształtu nasypów <sup>3)</sup>. Nie mniej jednak, tenże autor w dziele, wydanem bardzo niedawno, stwierdza w Meklemburgu obecność formy skrzynkowej przy końcu okresu neolitycznego, wyrażając się o niej w ten sposób: „Trzecią grupę (w porządku typów grzebalnych neolitycznych) stanowią skrzynki, których użytek wskazuje, że (dotychczasowe) pojęcie o grobie, jako o mieszkaniu zmarłego, już się zmieniło; ciała są tu złożone w pozycji leżącej. Zresztą w Meklemburgu skrzynek zauważono nie wiele“ <sup>4)</sup>.

O Hannoverze z zupełną stanowczością powiedzieć nie możemy, czy większa część jego, tak zwana „lüneburger - Heide“, czyli niska płaszczyna lüneburska, posiada, lub nie, skrzynki neolityczne; prędzej wszakże sądzimy, że jeśli tak jest, to w bardzo rzadkich wypadkach, za to część południowa, zbliżona do lasu Tentoburskiego i Harzu, posiadać je musi stanowczo. Przypuszczenie pierwsze opieramy na poszukiwaniach J. H. Müllera i jego poprzedników. W poważnem, pełnem szczegółów, a obszernem dziele <sup>5)</sup>, w którym całe królestwo hannowerskie, podzielone na okręgi, rozpatrywanem jest iście po benedyktyńsku, spotkaliśmy tak małą, w stosunku do innych typów grzebalnych, liczbę grobów skrzynkowych w ogólności, z nich zaś tak wiele zawiera wyroby z kruszców, że wyjątkowe przykłady skrzynek neolitycznych są tu miarodajne, ponieważ dowodzą, jak dalece słabo w okresie kamienia typ ten grzebalny w Hannoverze był rozwinięty.

O Brandenburgii, wraz jej Marchiami, środkową i starą, można było długo przypuszczać, że skrzynek neolitycznych wcale nie posia-

<sup>1)</sup> „Vorgeschichtliche Alterthümer aus Schleswig-Holstein“, 8 — 9.

<sup>2)</sup> „Die Vorgeschichtliche Zeit Meklenburgs“.

<sup>3)</sup> Ibid., 4, 12, 13.

<sup>4)</sup> Beltz: „Die Vorgeschichte Meklenburgs“, 1899, str. 13.

<sup>5)</sup> J. H. Müller: „Vor und frühgeschichtliche Alterthümer der Prov. Hannover“.



da, tak dalece, że gdy w roku 1872 dobyto pod Tempelbergiem jedną wielką, z kilku zabarwionemi na brunatno szkieletami w położeniu siedzącym, a tak bardzo długogłowemi, że wskaźnik szerokości jednej czaszki, nie wynosił 70, przyczem żadnych przedmiotów metalowych nie znaleziono, sam Virchow wykopalisko to uznał za nader ważne, ze względu, jak mówi, że do chwili odkrycia tego, w Marchii środkowej o grobach kamiennych wcale nie wiadziiano <sup>1)</sup>). Znajdowane następnie w tych-że stronach skrzynki pod Poczdamem są ciałopalne, z ceramiką prawdopodobnie okresu metalowego <sup>2)</sup>), a nawet takie, w których bardzo dokładnie rozwinięty okres żelaza <sup>3)</sup>).

W Nowej Marchii, z powodu jej sąsiedztwa z Pomorzem, gdzie, jak zobaczymy, typ grobów skrzynkowych zaczął być w użyciu jeszcze w okresie neolitycznym, można-by się spodziewać go również. Wszakże Götze w pracy swej o Marchii przedhistorycznej, wyliczając typy grobów neolitycznych, nie używa zwykłego terminu niemieckiego: „Steinkisten“, lecz wyraża się: „Kammern, die aus Steinplatten gebaut sind“. Opisuje jeden wielki grób skrzynkowy, bezwarunkowo nowokamienny, a zawierający aż pięć skurczonych szkieletów <sup>4)</sup>), czyli, należący do takich, które w Skandynawii na przykład stanowią typ przejściowy od grobów megalitycznych do zwykłych cist ze szkieletami pojedynczemi, lub popiołami, o które, w dzisiejszej rozprawie, głównie nam chodzi. O drugim takim grobie, zawierającym aż sześć szkieletów, znajdujemy wiadomość w katalogu wystawy berlińskiej z 1880 roku <sup>5)</sup>). Dopiero w okresie ciałopalnym brązu, a nawet żelaza, znajdujemy w Brandenburgii groby skrzynkowe w ilości dość poważnej <sup>6)</sup>). Wszystkie te dane każą przypuszczać, że Brandenburgia w groby skrzynkowe wcale bogatą nie jest, i że wypadki zaledwo pojedyncze, a wśród wielkiej ilości wykopalisk zaledwo gdzieniegdzie napotykanne, miarodajnymi nie są. To też w specjalnem, obszernem dziele Vosa, z brandenburskim grobem skrzynkowym spotykamy się dopiero w okresie dobrze rozwinię-

1) Zeitschrift für Ethnologie“, 1872, 212 — 214.

2) Ibid., 1875, 13, 14.

3) „Nachricht über deutsche Altersthumbfunde“, 1890, 62.

4) Götze: „Die Vorgeschichte der Neumark“, str. 16.

5) „Katalog der Ausstellung Prähistorischer und Anthropologischer Funde Deutschlands zu Berlin, v 5 — 21 August 1888“.

6) Ibid., str. 117.

tym żelaza, zwanym „La Tène“ <sup>1)</sup>, i choć autor opisuje inne rodzaje grobów okresu nowokamiennego, zaliczając je do rzędu takich, jakie są w Meklemburgu, Starej Marchii i Anhalcie, nie zaś o skrzynkach nie wspomina. Dopiero opisując okres początkowy żelaza, powiada, że groby ówczesne składają się z kamieni polnych, kopulasto ułożonych, z urnami ciałopalnemi; taki zaś sposób grzebania już na Pomorzu przechodzi w tak zwany „Kistengräber, czyli po naszymu, w groby skrzynkowe“ <sup>2)</sup>.

W ten sposób rozpatrzywszy kraje północne z dzisiejszą ludnością niemiecką, a mianowicie: południową część Danii, Meklemburg, Brandenburgię i Hannover, wraz z Brunświkiem, przypuszczamy, że ich mieszkańcy z okresu neolitycznego grobów skrzynkowych nie używali bądź wcale, bądź tylko wyjątkowo. Musimy jednak przyznać, że w Księstwie Lawenburskiem, nad dolną Elbą, trafiają się niewielkie kurhany ciałopalne, zawierające małe skrzynki z popiołami, lecz bez urn, w których śladów żadnego metalu niema, zaledwo tylko krzemień <sup>3)</sup>; mogą więc należeć do okresu kamienia. Uwzględniając nawet tę ostatnią ewentualność, nie mniej otrzymujemy znaczną przestrzeń, prawie całe Niemcy północno-zachodnie, gdzie w okresie kamienia użytek grobów skrzynkowych nie był rozwinięty. Skądinąd jest to rzecz naturalna; kraje te bowiem posiadają wiele gładów eratycznych, nadających się do budowy grobów innego rodzaju, do dolmenów większych i mniejszych. Wszakże, czy w tym wypadku działały tylko przyczyny natury technicznej? Pytanie to już podnieśli Krause i Schötenschack z powodu różnicy, zachodzącej w zawartości północno-niemieckich pomników megalitycznych, a grobów skrzynkowych w dorzeczu Saali <sup>4)</sup>, gdzie na tę różnicę mogły wprawdzie wpłynąć warunki fizyczne, lecz prędzej kulturalne. Inwentarz ceramiczny jednych jest zupełnie odmienny od inwentarza drugich, aczkolwiek tu i tam okres neolityczny niezawodny, a sąsiadują z sobą bezpośrednio. Widzimy również, jak w niektórych krajach, na przykład w Württembergii, nie brak wielkich gładów eratycznych, a jednak budów megalitycznych tam nie spotykamy. Niema tam wprawdzie i grobów skrzynkowych, lecz zarówno jedno, jak

<sup>1)</sup> „Alterthümer aus der March, Brandenburg“, III, Abteilung, 3 Taf.

<sup>2)</sup> Ibid., str. 2, 11.

<sup>3)</sup> „Verhandlungen d. Ber. Gesellschaft f. Antrop. Ethol. und Urgeschichte“, 1887, 168 — 169.

<sup>4)</sup> „Gräber und Steinkammergräber Deutschlands“; „Zeitschrift für Ethnologie“, 1893, 106 i 107.

drugie, dowodziło-by tylko, że zwyczajem tamtejszych mieszkańców okresu nowokamiennego, budowanie grobów olbrzymich, lub skrzynek mniejszych, nie było wcale. Przypuścić można przeto, że, jak w danym wypadku, ta kultura, którą od północy niosły z sobą ludy skandynawskie, a której objawem były budowy megalityczne, do Württembergii w swoim czasie nie doszła, jak również, że nie doszła tam i ta kultura, której obecnie widzialnymi przedstawicielami są skrzynki. Nie na braku więc materiału rzecz cała polega, lecz na zwyczaju, a może i na pojęciach.

Północno - niemiecką równinę, na której się rozpościera Hannover i ziemie sąsiednie, uprawia półkole wielkie, nieco od niej wynioślejsze, którego część wschodnią i południową stanowią: Pomorze, Prusy zachodnie, Poznańskie, Szląsk, Morawy z Czechami, prowincye Saskie i Turyngia, czyli, te przeważnie kraje, w których, z wyjątkiem zachodnich, mieszka obecnie ludność słowiańska, lub inne, gdzie pierwiastek słowiański ustąpił germańskiemu już za czasów historycznych. Co się przedtem działo, który ze szczepów aryjskich tam i owdzie przeważał, nie widzimy potrzeby zapytywać obecnie. Otóż w większości krajów tylko co wymienionych, groby skrzynkowe stanowią jedną z cech wybitnych okresu neolitycznego, wszakże nie w stopniu jednakowym. Na Pomorzu skrzynki ciałopalne okresów późniejszych, z mnóstwem wyrobów słowiańskich i odpowiednią ceramiką, wciąż wzbogacają muzea; neolitycznych jest, naturalnie, daleko mniej. Wszakże o tyle więcej aniżeli wśród sąsiedniej równiny niemieckiej, że gdy autorzy, stawiający syntezę wykopalisk archeologicznych, nie wspominają o nich prawie, mówiąc o Holsztynie, Meklemburgu, lub Brandenburgii, to dla Pomorza spotykamy u Schumanna podział następujący: Groby najstarsze, tak zwane „Riesengräber“, składają się z szeregów kamieni, wystających nad powierzchnię ziemi, pod którymi dopiero znajduje się właściwy grób, skrzynia jedna, lub więcej, gdzie są szkielety w postawie zgiętej. Następnie mniej dawne od pierwszych, wszakże do okresu kamienia jeszcze należące, idą płaskie kurhanki z okoleniem kamiennem, pod którymi bywa skrzynia, osadzona niżej powierzchni ziemi, ze szkieletami, odpowiadającemi okresowi neolitycznemu, i z dodatkami do nich. Czasami skrzynie te bywają tak wysokie, że na przykład na wyspie Rui mogą zmieścić 4—6 osób stojących. Najmłodszą formę okresu kamienia na Pomorzu stanowią skrzynki małe z czerwonego kwarcytu, znajdujące się pod kurhankami, zaledwie widocznymi. Przeważnie składają się z czterech płyt bocznych i jednej wierzchniej; zawierają po jednym szkielecie i naczyńia baniaste niezbyt ozdobne, typu napotykanego w okresie na-

stępnym <sup>1)</sup>. O grupie dolno-odrzańskiej, wprowadzie uważanej za nowo-marchijską, powiada Brunner, że się starszy okres neolitu charakteryzuje kamerami (skrzynkami) kamiennymi wielkości średniej, które, bądź pod kurhanami, bądź bez żadnego przykrycia, zawierają naczynia kuliste z ornamentacją sznurową, czyli typowo kamienną <sup>2)</sup>.

Przechodzimy do Prus zachodnich. W jednej z ostatnich prac Niederlego spotykamy wprowadzie wzmiankę, że tu charakterystycznymi grobami z okresu kamienia są szkieletowe, złożone z płyt, na kształt skrzynek <sup>3)</sup>, które bardzo wczesnie zamieniają się na ciałopalne i zaczynają zawierać bronz. W istocie, poszukiwania wśród bogatego materiału archeologicznego, jakie czyniliśmy, wykazały, że jest ich tam nadzwyczaj mało. Lissauer naprzykład, rozwodząc się nad tutejszą dobą kamienną, wcale o skrzynkach nie wspomina, podczas gdy poznańskie podkreśla bardzo wybitnie. Na jego też mapie wśród mnóstwa wykopalisk z okresu kamienia skrzynkowych niema. Napotykanie niemal w każdym zeszytce berlińskiego czasopisma „Zeitschrift für Ethnologie“ szczegóły o wykopaliskach tutejszych odnoszą się wyłącznie prawie do okresów późniejszych, bez względu na to, że się tu trafiają groby, budowane według typu dolmenowego, więc jeszcze dawniejszego od skrzynek, zawierające jednak nie tylko bronz, lecz i żelazo, a nawet, jak w pewnym wypadku, monety ze stulecia IV ery chrześcijańskiej <sup>4)</sup>. Wszystko to udowadnia, że w Prusiech Zachodnich grzebalna forma skrzynkowa w okresie kamienia nie była używana często, a jak się zdaje, dopiero u samego końca okresu tego nastąpił jej rozwój.

Wręcz przeciwnie działo się w okolicach Gopła, czyli w dzisiejszem Poznańskiem, zwłaszcza na Kujawach. Śledząc wraz Lissau-rem w jego dziele „Die prähistorische Denkmäler der Prov. West preussen und der angränzenden Gebiete“, naprzód na mapie przedstawiającej obszar lodowców w Europie środkowej, a następnie w tekście, widzimy, że w pierwszym swym okresie sięgały dzisiejszych źródeł Wisły i Odry, wszakże lodowce miejscowości skąd rzeki te dziś wypływają zostały poza granicami wielkiego skandynawskiego lodowca. Elba wraz z Moldawą, w górnym swym biegu przepływa obecnie przez kraje, które w owym czasie również od lodowca tego wolnymi były—tak samo jak i dzisiejsze źródło Saali, Werry i Ful-

<sup>1)</sup> Die kultur Pommerns in vorgeschichtlicher Zeit“, 18 i nast.

<sup>2)</sup> „Die Steinzeitliche Keramik in der Mare Brandenburg“, 45.

<sup>3)</sup> „Lidstvo v dobe przedhistorické“ w tóm. ros. 323.

<sup>4)</sup> Kirkor „Zbiór wiad. do Antr. Krajowej“, T. I, 22.

dy. Lecz od tej linii łamanej na północ, wszystko było pokryte powłoką lodową. W ten sposób i Kraków dzisiejszy leży na miejscu zajętem ongi przez masy lodowe, które zapełniały i sąsiednie jaskinie. Gdy więc dzisiejsze Poznańskie, Śląsk i Saksonia były lodowcem pokryte, w Czechach i na Morawach, zupełnie odeń wolnych, mógł się najpierwotniejszy Europejczyk utrzymać, równie jak w miejscowościach, położonych nad górnym i średnim Dunajem, Renem, Menem i Mozą. To też przypuszczać można, że paleolityczny mieszkaniec Czech i Moraw był współczesnym człowiekowi z Kannstadt lub Eguisheimu i t. d.

Na początku okresu tajania lodów uwalniają się od nich na znacznej przestrzeni kraje, nad dzisiejszą górną Wisłą i Odrą położone, a zatem jaskinie krakowskie <sup>1)</sup>, za niemi zaś Ojcowskie <sup>2)</sup>. Człowiek paleolityczny osiada z początku w jaskini Wierzchowskiej, przenosi się wkrótce w okolice dzisiejszego Ojcowa, i tu mieszkając bardzo długo, rozwija kulturę nowokamienną. Lody jednak, po pewnym przeciągu czasu topnieć przestają i następuje drugi ich okres, ale pokrowiec lodowy do dawnych granic południowych lodowca pierwszego nie dochodzi, dzięki czemu kultura neolityczna pod Ojcowem zniszczoną nie zostaje. Z końcem tego drugiego okresu następuje znowu gwałtowne tym razem tajanie i tworzą się olbrzymie prądy wodne, dążące w kierunku zachodnim. Całe dzisiejsze Niemcy północne, ziemie polskie, Litwa i jeszcze dalej nieco na wschód leżące, uwalniają się wprawdzie od lodów, lecz na razie nie mogą być zamieszkane, tak, że człowiek ojcowski, zanim będzie mógł przenieść się bardziej na północ, musi czekać aż ląd obeschnie i pokryje się z czasem roślinnością. Gdy się wreszcie to stało, gdy roślinność po wielu stuleciach zaczęła te kraje pokrywać, człowiek z jaskiń Ojcowskich posuwa się ku północy—jak dowodzi Lissauer—trzema drogami, a idąc jedną z nich, zajmuje między innymi dzisiejsze dorzecze Warty, przenosząc tam swoją neolityczną kulturę.

Na Kujawach i w Poznańskim spotykamy się więc z kamieniem daleko wcześniej gładzonym, aniżeli naprzykład w Prusiech Zachodnich, które nie są jeszcze gotowe do zamieszkania, a zarazem widzimy rzecz następującą. W okresie neolitu grzebanie ciał istnieje już nad Wartą, i nieco wyżej. Najdawniejsze groby tej epoki na Kujawach składają się zwykle z wysokich usypisk piasz-

---

<sup>1)</sup> Lissauer, dzieło j. w., str. 3.

<sup>2)</sup> L. c. str. 6.

czystych, nakształt wydłużonego trójkąta, obstawionego wielkimi bryłami kamiennymi <sup>1)</sup>. U podstawy trójkątów tych znajduje się właściwa komora grobowa (Grabkammer)—rodzaj skrzyni, złożonej z płyt kamiennych, lecz nie czworogranna, której ściany, z surowych płaskich kamieni zbudowane, z wierzchu cienkimi, dobrze wyglądzonemi, o kantach ostrych, płytami nakryte <sup>2)</sup>.

Rysunki brane na miejscu wskazują wszakże, że nie wszystkie ściany budowy tej są ustawione z kamieni płaskich; część ich stanowią bryły nieforemne i dla tego grobów tego rodzaju do właściwych skrzynkowych zaliczyć nie możemy. Początek wszakże już dany na Kujawach; obstawienie ciała, choć częściowo, płytami prostopadłemi i przykrycie płytą, stało się faktem dokonanym. Pod tem wszystkim leżą szkielety obstawione urnami, narzędziami kamiennymi, kościanymi i wyrobami z bursztynu. Drugi rodzaj grobów kamiennych neolitycznych w Poznańskiem i na Kujawach, prawdopodobnie jeśli nie jednoczesny, to niewiele od tamtego późniejszy, są to już skrzynie prawdziwe, około 6 kroków długie i 3 szerokie, obrobione bardzo starannie i przykryte ostro-kończastym nasypem kamiennym. Grobów takich znaleziono tam ilość względnie znaczną, zwłaszcza w okolicach Gopła. Najobszerniejsze cmentarzyska tego rodzaju były w Wierzbinku, Janiszewku, pod Lubranicą, Swierczynkiem koło Paliżewa, u Pęcinna. Najznakomitsze, koło Murzina pod Inowrocławiem. Neolityczne groby skrzynkowe poznańskie i kujawskie wysuwają się w stronę Nowego Szczecina <sup>3)</sup> w jednym kierunku, Piotrkowa i Krakowa w drugim; chociaż w granice Małopolski nie zdają się wchodzić. Ze szczegółów opisanych w literaturze archeologicznej przytaczamy, że pod Kawęczynem, w Poznańskiem, odkopano długą, złożoną z trzech przedziałów cistę, w pobliżu której było miejsce zdaje się ofiarne, a także kamień, nakrywający pierścień brązowy, kawałek żelaza i szkielet. W jednym przedziale końcowym cisty był szkielet i garnek roboty grubej, w sąsiednim—aż pięć szkieletów; trzeci był całkowicie pusty. Pomimo, że w pobliżu, jak widzimy, znaleziono przedmioty metalowe, archeologowie sądzą, że sama cista pozostała z okresu nowokamienego, i że ona z owym kamieniem nakrywającym pierścień, nic wspólnego niema. Szkielety częścią długogłowe, częścią krótkogłowe. Ostatni ten szczegół, zdaniem referenta, który to wy-

<sup>1)</sup> L. c., 22.

<sup>2)</sup> L. c., 23.

<sup>3)</sup> Niederle „Lidstvo“ str. 143.

kopalisko opisał, neolitowi nie przeczy, gdyż np. w Pomerelli lub koło Torunia, znajdowano szkielety krótkogłowe wraz z niechybnymi dowodami ich neolityzmu. W danym wypadku czaszki bardzo zbliżone do fińskich <sup>1)</sup>.

Kujawy są jednym z tych krajów, gdzie stosunek liczbowy grobów skrzynkowych neolitycznych do innych, bądź również skrzynkowych, lecz okresu późniejszego, bądź tylko innego typu neolitycznego, wydaje się być większym niż gdziekolwiek. Z rozpatrzonych do tej pory przez nas krajów, o ile sądzić możemy, gruntując się na materyale niedostatecznym zwłaszcza przy braku map archeologicznych, odczuwanym nawet w pracowitych Niemczech, w Poznańskim, na Kujawach, w Szwecyi, w niektórych prowincjach Niemiec środkowych, wybitniej niż we Francyi, Anglii i w Niemczech Północnych, kulturę neolityczną przedstawiają groby kamienne skrzynkowe. Lecz nie ze względu, by one gdziekolwiek miały być cechą li tylko okresu nowokamiennego, lub wyłączały inne jego cechy, ale dlatego, że w okresie tym rozpoczyna się u nas i w Szwecyi używanie grobów skrzynkowych, gdy gdzieindziej zapoczątkowanie to nastąpiło dopiero w okresie metalów. Wprawdzie metale mogły się tam dostać wcześniej, niż do nas.

Sąsiedni z Poznańskim Szląsk, a dalej Morawy i Czechy nie są krajami, o których rzecz można, że wybitną cechą ich okresu neolitycznego są skrzynki. Trafiają się one i tu, lecz znacznie rzadziej, niżeli w Poznańskim; częstokroć nawet nie dają się stwierdzić istotne ich cechy. Co do Szląska, opis Voigta, powtórzony przez Tyszkiewicza, nie stwierdza dostatecznie, czy między nimi bywają neolityczne <sup>2)</sup>, a częste opisy wykopalisk w berlińskim czasopiśmie etnograficznem, bądź tylko uwiadamiają o znalezieniu skrzynki, bądź tylko zaznaczają jej wielkie rozmiary, bez względu, czy nie jest ciałopalną, innym razem opisują podobne do małych górno-lużyckich <sup>3)</sup>, itd., lecz z opisów tych trudno wnioskować, do którego należą okresu. Specyjalna praca Martinsa, poświęcona Szląskowi, powiada tylko, że tu, w okresie neolitu, sądząc po niewielkiej ilości grobów znalezionych do tej pory, grzebano bezpośrednio w jamach <sup>4)</sup>, lecz w okresie znacznie późniejszym, gdyż dopiero pod wpływem kultury

1) „Zeitschrift für Ethnologie“, r. 1887, 354—360.

2) Tyszkiewicz „O kurhanach na Litwie i Rusi“, 147.

3) „Zeitschrift für Ethnologie“ 1890, 259, 260.

halsztadzka zwanej, trafiają się po części skrzynki <sup>1)</sup>. Na Morawach, ogólnie biorąc, groby neolityczne, zdaniem Niederlego, są rzadkością; zwykle, nawet najstarsze, sięgają zaledwo okresu przejściowego od kamienia do bronzu <sup>2)</sup>. Z opisu specjalnego Moraw przedhistorycznych przez d-ra Cerwinkę widać, że chociaż tu znaleziono wiele siedlisk neolitycznych, lecz grobów z tej epoki niewiele. Dopiero w dobie bronzu spotykamy w tym-że opisie pierwszą wzmiankę o ułożeniu kamienia nakształt skrzyni w około szkieletów skórczonych, co trwa przez cały okres bronzu i wpływów kultury halstadzkiej <sup>3)</sup>. Neolit grobów w Czechach, nie tylko skrzynkowych, lecz i wszystkich innych, podlega poważnym wątpliwościom; niemniej ma też i swych obrońców. Spotykamy naprzykład zarzuty tego rodzaju. „Na ogół biorąc, grobów neolitycznych w Czechach znaleziono do tej pory bardzo mało, za to daleko więcej z doby następnej, czyli bronzu starszego, a skrzynki tutejsze ze szkieletami ułożonemi na bok, a skurczonemi, wydają się wszystkie należeć do tejże doby <sup>4)</sup>. Inne należą nawet do halsztadzkiej, której już nie sam tylko materiał użyty do wyrobów, lecz rodzaj ornamentacyi i kształty, zarówno bronzu jak i żelaza, znamionami są wskazówkami <sup>5)</sup>. Dalszy okres, La-Tène, w Czechach ma również swoje skrzynki kamienne.“ Oto są twierdzenia jednych, którzy neolit skrzynek czeskich podają w wątpliwość. Przeciwnie, taki np. Niederle zalicza stanowczo do grobów neolitycznych pewne skrzynki massywne, znajduwane w dorzeczu Uslawy, pod Pragą itp. <sup>6)</sup>, objaśniając, że do Czech w okresie neolitu przybył z północy jakiś lud, przynoszący kulturę neolityczną, a z nią i zwyczaj budowania skrzynek. Ceramika ludu tego ma pokrewieństwo z turyngijską i saską tejże epoki, a zobaczymy zaraz, że w Saksonii groby skrzynkowe neolityczne występują bardzo wybitnie.

Pod nazwą Saksonii nie rozumiemy samego tylko dzisiejszego królestwa Saskiego: zaliczamy do niej naturalnie całą prowincję wraz z miejscowościami, których nazwy z nazwą „Sachsen“ są nieodłączne, a zatem znajdujące się na północnym stoku gór, gdzie biorą źródło

<sup>1)</sup> Martins „Die haupsächlichen prähistorischen Denkmäler Schlesiens“, 13.

<sup>2)</sup> „Lidstvo“, 143 i „Mittheilungen“ 1894 (5).

<sup>3)</sup> „Dieiny Moravy a prehistorycka archeologia“, str. 19, 24, 28, 40, 62.

<sup>4)</sup> Piez „Bojove, Marcomani a Czesi dle svedectvi historického a archeologickeho“ (Pamatki archeologicke a mistopisne, 1891, str. 269).

<sup>5)</sup> Smolik „Kamenny hrob u Velvar“ (Pamatki 1891, 210—218).

<sup>6)</sup> „Mittheilungen“ 1894 (5).



Elstra, Saala i Werra. Prowincya obejmująca środkowy bieg Elby i większą połowę biegu tych rzek, graniczy od północy z wielką zachodnio-północną równiną niemiecką, dochodzącą aż do brzegów morza Północnego. Na tej to równinie w okresie kamienia rozwinęło się potężnie budownictwo olbrzymich pomników megalitycznych, lecz w miarę zbliżania się ku południowi, megality tamtejsze maleją, tak że już u stoków lasu Turyngijskiego i gór Kruszcowych (Erzgebirge), ni-  
kną zupełnie; natomiast występuje forma inna grobów neolitycznych: skrzynki kamienne wielkie i mniejsze <sup>1)</sup>. Zawartość ceramiczna skrzyń tych i skrzynek różni się tak zasadniczo od znalezionej pod megalitami, że należy przypuścić pojawienie się w swoim czasie nad Saalą kultury zupełnie innej, daleko wyższej od dolmenowej, wszak-  
że zawsze jeszcze neolitycznej. W Saksonii więc mamy, w liczbie grobów typu rozmaitego, mogiły z cistami, zawierającemi amfory szy-  
jasto-brzuchate, kubki i miski, oraz groby płaskie również z cistami, których zawartość odpowiada zawartości pierwszych. Naczynia te zdo-  
bione są według wzorów poczytywanych za neolityczne, to też groby, w których się znajdują, kruszczu nie zawierają wcale <sup>2)</sup>. Jak dalece była wyższą od dolmenowej ta nowa kultura, która zawitała do dzi-  
siejszej Saksonii, świadczą nie tylko ornamentacye na płytach grobu skrzynkowego pod Merseburgiem—o czem mówiliśmy wyżej—lecz wiele innych szczegółów, opowiedzianych w niesłychanie ważnej pra-  
cy Klopffleischa p. t. „Vorgeschichtliche Alterthümer der Provinz Sachsen“. Prawie całe to dzieło poświęcone jest dowodzeniu, że saska kultura przyszła od dalekiego Południa i Wschodu, z Egiptu i Fe-  
nicyi, prawdopodobnie drogą wodną przez morze Północne i w górę biegu rzek do niego wpadających. Znajdujemy ją tu w grobach różnego rodzaju, a między innemi i w skrzyniach kamiennych; nawet pewien szczegół zauważony w jednej pod Allstedt, a mianowicie otwór okrągły w ścianie bocznej, przypomina właściwości dolmenów indyjskich <sup>3)</sup>.

---

1) Krause i Schötenschak „Megalit, Gräber und Steinkammergräber Deutschlands“, „Zeitschrift für Ethnologie“, rok 1893, 106, 107.

2) Götze „Die Gefässformen u. Ornam. der neolithischen Keramik itd.“

3) Klopffleisch, str. 72, 73.

## VII.

Pragnąc śledzić dokładniej rozmieszczenie zabytków archeologicznych, zwłaszcza grobów skrzynkowych, wokresie kamienia, podzieliliśmy mapę Europy środkowej na strefy, właściwie na koncentryczne półkola, czemu za punkt wyjścia posłużyła wielka równina północno-niemiecka. Rozpatrzywszy strefę najbliższą położoną, przystępujemy z kolei do półkola następującego, więc do Prus Wschodnich, do ziem położonych w dorzeczu Wisły, przeważnie z jej strony prawej, czyli Królestwa i Galicyi zachodniej, potem do prowincyi niemiecko-austriackich, wreszcie do Bawaryi i reszty południowych Niemiec, Szwajcaryi i Sabaudyi.

Co do pierwszych, to posiłkując się rozmaitemi źródłami, zarówno w czasopiśmie berlińskiego Towarzystwa archeologicznego <sup>1)</sup>, jak i w opracowaniach, oraz mapą archeologiczną w dziele Lissauera, nabyliśmy przekonania, iż groby skrzynkowe z okresu kamienia trafiają się tu rzadko, co się ujawnia tem wybitniej, że grobów innego typu z tegoż okresu, oraz skrzynek z okresów późniejszych, znaleziono tu ilość poważną.

Na mapie Lissauera, do której weszło wprawdzie zaledwie parę miejscowości, oznaczonych jako zawierające skrzynki neolityczne, są one ciałopalne, czyli, jak przypuszczać należy, późniejsze od szkieletowych, które, jak widzieliśmy, na Kujawach i w Poznańskim występują w znacznej stosunkowo liczbie. Tischler, ułożywszy tablicę okresów archeologicznych w Prusiech, nie zaznacza nawet na niej skrzynek neolitycznych <sup>2)</sup>. Jedno i drugie doprowadza do przekonania, że typ ten archeologiczny doby nowokamiennej Prus Wschodnich nie charakteryzuje, a parę znanych przykładów uważać należy za wyjątkowe. Śledząc dalej, w górę dorzecza Wisły z pra-

---

<sup>1)</sup> „Zeitschrift für Ethnologie“.

<sup>2)</sup> „Mittheilungen der Anthrop. Gesellsch. in Wien“ T. XXII, str. 65, patrz tablicę porównawczą, z której nie widać, by Tischler nawet w okresie kruszczów pożytywał skrzynki za charakterystyczne dla Prus Wschodnich.

wej strony, a od połowy jej ze stron obu, musimy podkreślić, że groby skrzynkowe w ogólności, to jest należące do okresów rozmaitych, dochodzą tu tylko do linii Kielc <sup>1)</sup>, że zatem na południu Królestwa i w całej Galicyi, z wyjątkiem wschodnio południowego jej skrawka, o którym obszerniej powiemy niżej, nie spotykają się wcale. Wszczęgólności zaś skrzynki neolityczne w Królestwie Polskiem znajdujemy w tej tylko jego części, lecz zato obficie, która sąsiaduje z Poznańskiem i właściwie Kujawy stanowi<sup>2)</sup>. Przyznać wszakże należy, że Królestwo i Galicya należą do krajów najmniej do tej pory zbadanych; niemniej przeto poszukiwania Przyborowskiego i Pawińskiego podane w „Wiadomościach archeologicznych“, a następnie Glogera, Majewskiego, Samokwasowa i wielu innych, nie wykryły w Królestwie Polskiem (z wyjątkiem wyżej przytoczonych Kujaw), neolitycznych grobów skrzynkowych, zaś poszukiwania Ossowskiego, Demetrykiewicza i innych w Galicyi, dowiodły, że jej zachodnia i większa połowa wschodniej, bliżej Sanu leżąca, chociaż zawierają rozmaite typy grzebalne z okresu kamienia, do tej pory jednak skrzynek wcale nie dostarczyły <sup>3)</sup>.

Dla badań dotyczących ziem państwa Austriackiego posilkowaliśmy się przedewszystkiem czasopismem wiedeńskiego Towarzystwa archeologicznego <sup>4)</sup>, dziełem Hörnesa, opracowaniami Szombatiego, wreszcie pomnikiem wydawnictwem „Die Oesterreichisch Ungarische Monarchie im Wort und Bild.“ Przy braku map odpowiednich, które z dniem każdym stają się coraz potrzebniejsze, musieliśmy się ograniczyć wyżej przytoczonym materiałem. Niemniej, uważając go za nader poważny, wynieśliśmy przekonanie, że chociaż ziemie austriackie posiadają całe cmentarzyska skrzynkowe, to jednak te ostatnie, z wyjątkiem Podola Galicyjskiego i może Czech z Morawami, należą do okresów późniejszych, aniżeli doba neolityczna. To samo da się powiedzieć o zachodnio-południowych krajach niemieckich, jak Bawarya, Królestwo Wirtembergskie, księstwo Badeńskie, częścią Westfalia, oraz inne do tej pory przez nas nie

<sup>1)</sup> „Światowit“ T. II, str. 165.

<sup>2)</sup> „Mapa Archeologiczna Lissauera jak wyżej w tekście.

<sup>3)</sup> Czytelnik łatwo to sprawdzi w roczniku II „Światowita“, tam, gdzie na stronie 165 są streszczone odnośne poszukiwania Ossowskiego i Demetrykiewicza.

<sup>4)</sup> „Mittheilungen der Arch. Ges. in Wien.“

wzmiankowane, a więc księstwo Darmsztadzkie, Kassel i tam dalej.

Rozpatrzenie katalogu naukowego wystawy berlińskiej z 1888 r., która zebrała wszystko, co tylko związek państw niemieckich przedstawił najciekawszego z dziedziny archeologii przeddziejowej, potwierdziło nasze przypuszczenia w tej mierze i umocniło w przekonaniu, że Niemcy, z wyjątkiem tych prowincyi, które zaznaczyliśmy wyżej jako posiadające neolityczne groby skrzynkowe, zwłaszcza w zachodniej swej części, typem tym pochwalić się nie mogą bądź wcale, bądź w razach bardzo wyjątkowych. Dopiero w Szwajcaryi, czyli w kraju sąsiadującym z Francją, gdzie, jak widzieliśmy, jest on uważany przez niektórych archeologów za jednego z przedstawicieli doby kamiennej, spotykamy go znowu. Tak np. nad jeziorem Neufchatelskiem w pewnej miejscowości odkryto mieszkania nawodne, należące częścią do okresu kamienia, częścią do późniejszych, i znaleziono wielką skrzynię z resztkami 12 naraz szkieletów z okresu kamienia<sup>1)</sup>. Do tegoż okresu należą groby skrzynkowe w Pierre-Portay, Châtelard i Chamblades<sup>2)</sup>.

Co do Bawaryi, posiłkowaliśmy się znakomitą i bardzo szczegółową mapą Oelenschlägera, wraz z komentarzami do niej. Znaleźliśmy tam wskazówek zaledwie kilka o grobach skrzynkowych, częścią pod kurhanami, częścią w innej formie, lecz w każdym był metal. Ten brak samego już typu grzebalnego, nawet w okresie takim, w którym gdzieindziej, jak np. w Poznańskim, Prusiech zachodnich, Turyngii i w innych wyżej przytoczonych krajach, stanowi on charakterystyczną cechę archeologiczną, dowodzi, że w okresie kamienia nie musiał być wcale znany w dzisiejszej Bawaryi.

Jeśli zajrzemy do niesłychanie obfitych wykopalisk włoskich, to się przekonamy, że chociaż na półwyspie Apenińskim i w Sycylii skrzynki kamienne były w użyciu bardzo szerokiemi i należą do typów nadzwyczaj dawnych, to pozostały one z okresów wyraźnego rozpowszechnienia się kruszców<sup>1)</sup>. Wątpliwości pod tym względem przedstawiają niektóre groby skrzynkowe we Włoszech środkowych, pod Romedello, Fontanella i Cantalupo, o których Niederle wzmiankuje w dziale neolitu<sup>2)</sup>, jak również te, które należą do okresu przejściowego pod Camarola i Sgurgola<sup>3)</sup>. Wątpliwości te polegają na tem, że skrzynki tamtejsze mogą należeć do okresu kamienia.

<sup>1)</sup> Hörnes, 291.

<sup>2)</sup> Niederle, 105; 140.

Półwysep Bałkański zbyt mało do tej pory zbadany, by o znaczeniu jego wykopalisk archeologicznych można wyrokować bezpiecznie. Wszakże tajmejsze groby skrzynkowe, odkryte w cmentarzyskach typu iliryskiego, zwanego inaczej halsztadzkiem, odnieść należy do okresu brązu i żelaza. Taki brak skrzynek neolitycznych zarówno we Włoszech, jak i na półwyspie Bałkańskim, dziwić nie powinien, ponieważ kraje te znacznie wcześniej, aniżeli Europa środkowa, uległy wpływowi wysoce już rozwiniętej kultury egipskiej i fenickiej. Środek Europy drzemał jeszcze w prostym okresie kamienia, gdy ona przenikała wszędzie, wzdłuż brzegów północnych morza Śródziemnego. Od nich dopiero stopniowo posuwała się ku północy, niosąc użytek metali, aż do spotkania z inną, niosącą również kruszce, lecz całkiem różną — z kulturą skandynawską. Miejscem tego spotkania był, jak się zdaje, pas pomiędzy równiną północno-niemiecką, a ostatnimi północnymi odnogami Alp, gdzieśgdzie górzyste, gdzieśgdzie płaski. Była to więc Turynia, prowincje saskie z Łużycami, może Czechy, Morawy i Śląsk, wreszcie nasze Poznańskie i Kujawy. Jest to ten sam pas, o którym myślał zapewne Warsaae, gdy mówiąc o dwu potężnych prądach kulturalnych, zalewających Europę pod koniec okresu kamienia — jeden od południa i brzegów Atlantyku, drugi od Azji środkowej przez północ lapońsko-fińską — zaznaczał, że przez środek Europy aż do ziem polskich, a nawet do wnętrza rosyjskich, posuwał się trzeci, słabszy wprawdzie lecz taki, który tu pozostawił ślady zachodniej kultury nowo-kamiennej<sup>1)</sup>. Nam się zdaje, że do tej uwagi słynnego archeologa można bezpiecznie dodać, iż jednym z tych śladów są neolityczne groby skrzynkowe, na tym mianowicie pasie w Europie środkowej najbardziej rozpowszechnione.

Od niego na południo-wschód, oddzielona znaczną przestrzenią, odskakuje duża połać, całe Podole, Wołyń i Polesie kijowskie, w której archeolog znajduje znowu neolityczne groby skrzynkowe. Skąd się one tu wzięły, jaka ludność zostawiła ten objaw odrębnej kultury, w jakim stosunku zostawała ona do ludności krajów sąsied-

1) Revue d'Antropologie, r. 1894, 708; „Fouilles dans la nécropole de Vulci“ w „Mittheil. d. Anthrop. Ges. in Wien“, t. XXII, 183; Höernes 550, 577; Niederle, 345, 361, 363.

2) „Lidstwo“, w tłóm. ros., str. 140.

3) Ibid., 141.

4) Warsaae „La Colonisation de la Russie et du Nord scandinave“ 38.

nich, gdzie ta kultura przedstawicieli swych nie posiada, a w jakim do owego pasa Europy środkowej, w którym się rozwinęła? Są to pytania ważne, niestety, jednak do tej pory nierozstrzygnięte, przy obecnym zaś stanie nauki jeszcze niepozwalają nie wnosić, czy prędko rozstrzygniętymi być mogą. Zanim tę kulturę rozpatrzymy, — a przedstawia ona dla nas interes najważniejszy, ponieważ grobów skrzynkowych Kijowszczyzny, — musimy rozejrzeć się wśród ogromnej równiny państwa rosyjskiego i niektórych jej rubieży. O ile państwa tego, na ogół biorąc, nie można uważać za obszar, którego bogactwo archeologiczne charakteryzują dolmeny, lub groby skrzynkowe, o tyle pewne nadgraniczne jego prowincye zaliczyć należy do rzędu tych, w których użytek skrzynek kamiennych był rozpowszechniony bardzo wybitnie. Między temi uprzywilejowanemi prowincyami zachodzą jednak różnice nadzwyczaj znamienne. Tak, cisty kaukaskie, zalegające na całych ementarzyskach, chociaż mogą być dawniejsze od niejednej skrzynki neolitycznej w Europie środkowej, zawierają przedmioty metalowe. Dowodzą tego ementarzyska w Gruzji, jak na przykład Samtaurskie <sup>1)</sup>, lub inne: w Osetii, pod Tyflisem, pod Baku <sup>2)</sup> i t. p. To też, by na Kaukazie napotymano wyraźny okres neolityczny w grobach skrzynkowych, nie znaleźliśmy żadnej wzmianki. Przeciwnie, nawet dolmeny tamtejsze przez jednych są zaliczane do okresu neolitycznego, przez innych do okresów późniejszych <sup>3)</sup>. To samo da się powiedzieć o skrzynkach krymskich, co i o kaukaskich: odkryte pod Kerczą należą do okresu wpływów greckich <sup>4)</sup>; pod Hurzufem jest srebro i inne kruszce <sup>5)</sup>. Fitzinger przypuszcza nawet, że czaszki w dolmenach i cistach krymskich mogą być awarskie <sup>6)</sup>, a Fritzsche, streszczając obszerny swój traktat o dolmenach i skrzynkach krymskich,

<sup>1)</sup> „Wiad. Tow. miłośników przyrodoznawstwa“, tom XXVII, 280; „Zeitschrift für Ethnologie“, 1872, 176.

<sup>2)</sup> Ibid., 282 i dodatek do tomu XXXI tegoż wydawnictwa, 28; „Sprawozdanie Ces. Arch. Komisji“ za rok 1896, CXV; oraz tam-że za rok 1888, XVI, CCXXX, CCXXXIV; Niederle w tłóm., 329 i 330.

<sup>3)</sup> Niederle, 128.

<sup>4)</sup> „Zap. Tow. Historyi i starożytności“, tom II, 816; „Sprawozdanie Ces. Arch. Komisji“ z roku 1878 — 1879, XXVI i nast.

<sup>5)</sup> „Wiadomości Tow. miłośników przyrodoznawstwa“ i t. d., tom XI, IV, 9, 10, 15.

<sup>6)</sup> „Zeitschrift für Ethnologie“, 1875, 152.

podkreśla zawarty w nich typ czaszek germański <sup>1)</sup>, przyczem okres metalu jest tam zupełnie wyraźny <sup>2)</sup>. Dalej ku Zachodowi, na tem-że wybrzeżu morza Czarnego, przy ujściach Bohn, znajdujemy również wyroby z żelaza w skrzynkach kamiennych, lecz o żadnej neolitycznej wiadomości nie posiadamy. Dopiero wyżej ku Północy, na dawnem Zaporozżu, to jest bliżej granic Kijowszczyzny, spotykamy się z czemś, co jest podobne do skrzynek, raczej jednak do dolmenów, lecz małych rozmiarów, — z czemś, głęboko pod kurhanami ukrytem, a zawartością wykazującym okres kamienia, czyli, jak dla tej prowincyi, czasy przedscytyjskie <sup>3)</sup>. Rozpatrując następnie wykopaliska, znalezione jeszcze bardziej ku Północy, po lewej stronie Dniepru, w całej tej części państwa rossyjskiego, która nosi miano Ukrainy lewobrzeżnej i Wielkorossyi, zapuszczając się jeszcze dalej, aż do krańców północnych państwa i aż do Wołgi na Wschód, widzimy, że chociaż tu okres kamienia licznie jest reprezentowany, nie zostawił jednak po sobie badanego przez nas typu. Kurhany są wszędzie, ale o żadnych skrzynkach, ani o budowach dolmenowych mowy nigdzie niema. Wprawdzie Antonowicz przypuszcza, że na Północ od Poltawy mogą się znaleźć. Dopiero jeśli Dniepr przekroczymy z powrotem, czasami zdarza się na Litwie, lub Białorusi, natrafić na grób skrzynkowy, którego charakter neolityczny, w zasadzie, można-by przyjąć <sup>4)</sup>. Przykłady tego rodzaju są jednak tak nieliczne, że wśród rozmaitości grobów z okresu kamienia, jakie na Litwie, Białej Rusi i na Podlasiu dały się odszukać, stanowią wyjątki nadzwyczaj rzadkie, i typ miejscowy, uważane być nie mogą, prędzej zaś za pozostałości napływowe, a sporadyczne.

Dopiero na Polesiu Kijowskiem, na Wołyniu i Podolu, zwłaszcza galicyjskiem, skrzynki z okresu nowokamiennego występują jako typ, rozpowszechniony niegdyś w rozmiarach tak dalece poważnych, że nakazują uważać go za swojski, miejscowy. Ponieważ Polesie graniczy z Wołyniem, a Wołyn z Podolem, przeto trzy te prowincje tworzą jedną wielką połać, której ludność dzisiejsza i z języka, i z wielu obyczajów, wierzeń, kultury, — przy pewnych niezbędnych różni-

<sup>1)</sup> Ibid., 153, 149 — 150 i Niederle, 128.

<sup>2)</sup> „Sprawozd. Ces. Arch. Kom.“, 1886, CXI i nast.

<sup>3)</sup> Zabieliu: „Hist. rus. życia“, I, 616; „Dokł. o dział. kron. Archeologicznej z roku 1860“, „Starożyt. Scytii Herodotowej“, I, 27.

<sup>4)</sup> Tyszkiewicz: „Kom. o kurhanach na Litwie i Rusi“, 147; Niederle, 146.

cach miejscowych, wynikłych z natury gleby, lub fizyognomii kraju, — stanowi szczepek jednolity.

Jednolitość ta występuje nietylko obecnie, lub w zaraniu historycznym: dzięki pewnym zabytkom archeologicznym daje się ona zauważyć już w okresach wcześniejszych, a rozpowszechniony tu użytek grobów skrzynkowych przemawia za nią tak silnie, że właśnie, dzięki jemu, cała ta połać stanowi całość archeologiczną, nietylko w sobie zamkniętą, lecz i oderwaną od sąsiadów. Bo przypomnijmy, cośmy rzekli o rozmieszczeniu grobów skrzynkowych w okresie neolitu: ani Węgry, ani Galicya Zachodnia i Wschodnia, bliżej Sanu położona, ani południowa część Królestwa, skrzynek wcale nie posiadają; te, które się u wybrzeży morza Czarnego znajdują, nie są wcale neolityczne; całe Zadnieprze chyba wyjątkowo je posiada; wreszcie na Białej Rusi i Litwie nie stanowią one miary ogólnej, co do okresu są nawet niepewne, lub autentycznie późniejsze. W ten sposób cała połać podolsko - wołyńsko - poleska, jako mająca neolityczne skrzynki kamienne, stanowi istotnie coś oderwanego, czyli kraj taki, którego pewne cechy archeologiczne względnie zaliczyć należy do ściśle miejscowych, nie dających się bądź wcale, bądź tylko sporadycznie, i to w ilości niewielkiej, odnaleźć u najbliższych sąsiadów.

Z tych-to przyczyn groby skrzynkowe poleskie muszą być rozpatrywane wraz ze skrzynkami podolsko-galicyjskimi i wołyńskimi. Oto opis wykopalisk tego rodzaju, podany przez Kirkora, jako rezultat jego poszukiwań podolskich. W Kociubińcach, pod Husiatynem, jest prastare grodzisko, świadczące o starożytności tutejszej osady. Nie ulega wątpliwości, że znaleziony tu grób kamienny musiał mieć nad sobą kurhan ziemny, czy też kamienny, taki sam, jak w Beremianach, w tej-że okolicy, nad grobowiskami, odkrytymi jeszcze w roku 1877. Kociubiniecki znajdował się na starem cmentarzysku, otoczonym wałem, w części zniszczonym. Wierzchnia płyta samej skrzyni była rozbita uderzeniami kół od wozów, które przez długie lata tamtędy jeździły. Po zupełnem oczyszczeniu z ziemi warstwy wierzchniej i okopaniu dookoła, ukazał się wspaniały grobowiec, ułożony z płyt dewońskiego piaskowca i wykonany nadzwyczaj starannie. Kształtu podłużnego, był on szerszy od strony południowej, węższy od północnej. Składał się z płyty, stanowiącej posadzkę, dwóch innych, tworzących boki podłużne, u głowy zaś i u nóg miał płyty mniejsze; cała budowa bezpośrednio była nakryta jedną płytą wielką, następnie rozbitą. Umocowanie ścian i całe urządzenie grobowca tego było tak dalece umiejętne i trwałe, że, aby go rozebrać, potrzebowano pracy dziesięciu ludzi przez dzień cały, gdyż po okopaniu do-



koła okazało się, iż boczne płyty tkwiły w ziemi jeszcze o kilkadziesiąt centymetrów głębiej, niż posadzka, umocowane gładzami mniejszemi, systematycznie w cztery rzędy ułożonemi. Obie płyty podłużne były zupełnie jednakowej miary i kształtów, z narożnikami, ściętymi ukośnie, dla tem łatwiejszego zagłębienia, a miary tego klinowego ścięcia ani na włos nie różniły się w obu płytach. Kamienie, obstawiające budowę główną, układane były tak szczelnie, że nie odrazu dały się poruszyć. Oprócz tego gruntownego przymocowania płyt bocznych w głębi ziemi, zostały one jeszcze przymocowane do płyty spodniej za pomocą małych klinów kamiennych, nie wystających nad poziom tej ostatniej, lecz powbijanych w szpary, skutkiem nierówności brzegów pomiędzy płytą poziomą a bocznemi. We wnętrzu skrzyni, zanim się Kirkor do niego dostał, robotnicy znaleźli skorupy garnków i trzy siekiery kamienne, on zaś sam wydobył czaszki ludzkie i kości podruzgotane, naczynia potłuczone, jedną ozdobę z bursztynu, środkiem przewierconą, dwa kły niewielkie i paciorkę glinianą; słowem, kruszców żadnych. Obecni świadczą, że szkielety leżały tu obok siebie w pozycji zgiętej w rogu północnym, czyli od strony węższej grobowca. To umieszczenie ich raczej w miejscu ciśniejszem, aniżeli w szerszem, zauważono już niejednokrotnie w innych wykopaliskach europejskich tego rodzaju, skąd można wnioskować, że niezupełna równoległość ścian podłużnych, sprawdzona niejednokrotnie w grobach skrzynkowych, miała jakieś znaczenie specjalne, i nie była wynikiem trafu, lub niedokładności w budowaniu grobów tego rodzaju. Starano się widocznie ludzkie resztki umieszczać jak najbliżej obok siebie <sup>1)</sup>. W wielu miejscach pod Trębowlą znaleziono podobne groby, obok innych kamiennych, na przestrzeni 27 mil kwadratowych, a jeśli nie wszystkich mieszkańców neolitycznych tej okolicy grzebano w skrzynkach kamiennych, to, zdaniem Kirkora, dlatego, że one wymagały wielkiej pracy i kosztów, skutkiem czego były budowane zapewne dla ludzi, lub rodów wydatniejszych. Nie mniej archeologia zanotowała już wiele tego rodzaju wykopalisk na Podolu galicyjskiem, gdyż skrzynki, podobne do kociubinieckich, znaleziono w Beremianach nad Dniestrem, w Chorostkowie, w Czarnokońcach, Semenowie, Kutylowcach, Czarnolicach <sup>2)</sup>, Podhajezykach <sup>3)</sup> i wielu innych, jak na przykład w Uwiśle, pod Hu-

<sup>1)</sup> „Zbiór wiad. dla Antrop. krajowej“, tom I, 27 i nast.

<sup>2)</sup> Niederle, 145.

<sup>3)</sup> Demetrykiewicz w tomie IV „Materyałów Antropologiczno-Archeologicznych i Etnologicznych“, str. 117.

siatynem, grób skrzynkowy, opisany przez Ossowskiego, gdzie szkielet główny leżał nawznak w położeniu zgiętem, z dwoma innymi u nóg, przyczem każdy z nich był opasany rodzajem paciurek kościanych; w pobliżu szkieletu głównego leżał nóż krzemienny i trzy naczynia gliniane <sup>1)</sup>. Nie tak wprawdzie liczne, jak w Galicyi do tej pory, wykopaliska tego rodzaju znaleziono na Podolu, po lewej stronie Dniestru, co wszakże może być wynikiem tylko zbyt słabych poszukiwań w tych stronach.

Rozprawy na XI Zjeździe archeologicznym w Kijowie, a mianowicie to, co mu zostało zakomunikowane przez pp. Sicińskiego i Pułaskiego, w zestawieniu z tem, co wiemy o Galicyi, utwierdziły nas w przekonaniu, że Podole tutejsze wcale pod względem archeologicznym nie różni się od Podola galicyjskiego, że tu i tam ludność okresu neolitycznego musiała być gęsta, a zamieszkiwała przestrzeń jednolitą i stanowiła pewne środowisko rozrodcze dla stron sąsiednich, mianowicie dla poblizkiego Wołynia, które się u stoku Karpat i granic Podola zaczyna, a na Wschód ku Polesiu ciągnie. W tem przekonaniu utwierdza nas mapa Wołynia, opracowana przez profesora Antonowicza, i odczyt jego na Zjeździe XI. Według pierwszej, Wołyn posiada groby skrzynkowe, należące do okresów: neolitycznego, brązowego, a nawet żelaznego, zarówno szkieletowe, jak i ciałopalne. Neolityczne szkieletowe mieszczą się przeważnie u samego stoku gór Karpackich, czyli bliżej Podola, jak na przykład pod Łucikiem. Krzemieńcem i Ostrogiem; ciałopalne są i tu, na przykład w Nowomalinie, Stadnikach i Werchowiu koło Ostroga, czyli w okolicy, gdzie znajdujemy, jak wyżej, groby szkieletowe, lecz w równej mierze i nieco dalej od stoku gór już ku Polesiu, w Serbinówce pod Cudnowem, w Rohaczowie pod Zwiahlem, w Horoszkach i Dawidówce koło Owrucza i ku Radomyśłowiu. Odczyt profesora Antonowicza <sup>2)</sup> każe wnioskować, że na Wołyniu, w okresie kamienia, dają się zauważyć dwa typy grzebalne: „czysty“ i „kurhanowy“. Pierwszy przedstawia dół prostokątny, wykopany w glebie, obłożony wewnątrz płytami kamiennymi i nakryty również płytą. W takiej skrzynce znajduje się zwykle kilka naczyń glinianych, napełnionych węglem, kośćmi palonemi i narzędziami gładzonemi. Odszukanie grobów tego rodzaju nader trudne, ponieważ nie mają nad

<sup>1)</sup> Ossowski: „Druga wycieczka arch. po Galicyi w roku 1890.“; „Mittheilungen der Anthrop. Gesellsch. in Wien“, tom XXII, 11.

<sup>2)</sup> „Wiadomości IX zjazdu arch.“, str. 79.

sobą żadnych znaków powierzchniowych, czyli nasypów ziemnych, lub wzniesień kamiennych. W owym czasie na Wołyniu przeważnie palono umarłych, zbierając popioły do naczyń, które zamykano w pudłach drewnianych, a następnie spuszczano do dolów, obstawionych owemi płytami kamiennymi, czyli do grobów skrzynkowych <sup>1)</sup>. Widzimy stąd, że wołyński typ grzebalny w grobach skrzynkowych, acz pokrewny podolsko - galicyjskiemu, musi być jednak późniejszy, ponieważ, naprzód, jest w mierze znaczniejszej ciałopalny aniżeli szkieletowy, a powtóre, że wkracza już w dominium okresu kruszców, podczas gdy w galicyjskim daleko wybitniej występuje okres kamienia. Okres późniejszy bowiem jest tu przeważnie reprezentowany nie przez skrzynki kamienne, lecz przez groby podpłytowe, czyli zwykle doły, nakryte tylko płytami kamiennymi, ale nie obłożone po bokach <sup>2)</sup>.

## VIII.

Ponieważ zbliżyliśmy się już do Polesia, czyli wkraczamy po długiej wędrówce do granic Kijowszczyzny, czas już powiedzieć o tutajszych skrzynkach kamiennych.

„Anno millesimo“ pisał Lippoman, stary chorąży czelryński, w „Zastanowieniu się nad mogiłami“, że niedaleko Radomyśla odkopano kilka grobów nad Myką, płytami wielkimi pokrytych i takiemiż głazami wewnątrz obłożonych. Były w nich garnki, czyli urny gliniane, z kilku uszkami, mieszczące popioły z piaskiem zmieszane i części niedopalonych kości, wraz z różnemi narzędziami, jak młotki i dłuta kamienne różnej miary <sup>3)</sup>. Od tego czasu odkryć podobnych zrobiono więcej, wszakże i tych zbyt mało, gdyż, jak to niejednokrotnie objaśnia Antonowicz, na Polesiu, nad skrzynkami kamiennymi usypisk, ani znaków żadnych nie bywa. Bez względu na to, że liczne poszukiwania tego archeologa, oraz pp.: Hamczenko, Bielaszewskiego, Zawitniewicza i wielu innych, dokonywane systematycznie, bądź w pól-

<sup>1)</sup> „Kijewlanin“, 1899, № 217.

<sup>2)</sup> Niederle, 146.

<sup>3)</sup> Str. 11 — 12.

nocnej części Kijowszczyzny, bądź na jej rozgraniczu z sąsiednią gubernią Mińską, doprowadziły do odkrycia ogromnej liczby zabytków archeologicznych innego rodzaju, wszakże na skrzynki żaden z nich nie natrafił, te zaś, które w ciągu stulecia bieżącego zostały znalezione, zawdzięczamy przypadkom. Jeśli więc objaśnienie powyższe profesora Antonowicza w istocie tłómaczy fakt niewielkiej liczby odzyskanych skrzynek poleskich, to z drugiej strony mamy prawo przypuszczać, że, istotnie, musi ich tam być niewiele, — te zaś, które pozostają jeszcze w ukryciu, stanowią zapewne najbardziej ku Wschodowi wysunięte okazy typu grzebalnego, daleko więcej rozpowszechnionego na Wołyniu, a zwłaszcza na Podolu. W istocie mapa profesora Antonowicza wskazuje zaledwie pięć miejscowości ze skrzynkami kamiennymi, z których dwie nie leżą już w połaci Poleskiej, lecz w tej, którą za dawną siedzibę Polan uważać należy. I tak: Pod Wyszewiczami była skrzynia z płyt granitowych, w kształcie prostokąta złożona, nakryta również płytą; stały w niej garnki z kośćmi spalonymi i trzema toporami gładzonymi. W tej-że miejscowości znaleziono następnie inną, tegoż rodzaju, skrzynię, z dziewięciu płyt bocznych zbudowaną, a nakrytą trzema; długość jej wynosiła niespełna dwa metry, szerokość i głębokość połowę tej miary. W jej wnętrzu pięć garnków, napelnionych kośćmi palonymi i popiołem, zawierały krzemienisty toporek polerowany i kawałek bursztynu <sup>1)</sup>. O tego rodzaju wykopaliskach posiadamy również wzmianki, dotyczące Żydowiec <sup>2)</sup>, Regimentarówki <sup>3)</sup> i Berebis <sup>4)</sup>. Wszystkie więc skrzynki kamienne kijowskie, znalezione do tej pory z okresu neolitu, są ciepłopalne. Typ ten grzebalny musiał się tam jednak przechować i dłużej, ponieważ w powiecie Humańskim znaleziono podobno coś w rodzaju skrzynek, raczej jednak, jak Kirkor powiada, kształt dolmenów przypominających, ze szkieletami i ozdobami bronzowymi <sup>5)</sup>.

O skrzynkach kamiennych neolitycznych w Kijowszczyźnie więcej nie wiemy. Jest to wprawdzie zbyt mało, by stąd można wywodzić jakieś pewniki, wszakże rozmieszczenie ich w części prze-

<sup>1)</sup> „Mapa arch. gub. Kijowskiej“, Objaśnień str. 9; Antonowicz: „Rozkop. w str. Drewlan“, str. 40 i 51.

<sup>2)</sup> „Mapa“, 58.

<sup>3)</sup> Ibid., 117.

<sup>4)</sup> Ibid., 124.

<sup>5)</sup> „Zbiór wiad. do Antrop. krajowej“ tom I, 23.

ważnie leśnej, sąsiadującej z Wołyniem, a więc w pobliżu skrzynek wołyńskich, możliwa ich nieobecność na Zadnieprzu, brak najbliższych wskazówek, by między skrzynkami kijowskimi a jakimi innemi, prócz wołyńsko-podolskich, zachodził najmniejszy związek, pozwalają sądzić, że archeologicznie należą one do wielkiej grupy grobów skrzynekowych podolsko-wołyńskich, i że są przedstawicielami takiej kultury, która w okresie kamienia szła od Karpat na Wschód i dotarła do samego Dniepru.

Twierdząc w ten sposób, upatrując w skrzynce kamiennej znak dotykalny pewnej, dawno zgasłej kultury, narażamy się na zarzut następujący: jeszcze nie jest rzeczą stwierdzoną, by budowanie skrzynek z płyt kamiennych było wynikiem czego innego, jak prostej fizycznej możności użycia materiału tego dla przygotowania miejsca wiecznego spoczynku. Przy takim zdaniu obstają, rzeczywiście, liczni archeologowie, twierdząc, że tam, gdzie były bloki eratyczne, stawiano dolmeny, czyli budowy megalityczne, — tam zaś, gdzie ich nie było, zadawalniano się skrzynkami. Na zarzut ten odpowiedzieliśmy już wyżej, że jest wiele krajów, na przykład Württembergia, gdzie, chociaż są bloki eratyczne, jednakże śladu żadnych megalitów niema <sup>1)</sup>; są następnie całe ogromne przestrzenie, obfitujące w materiał, zdalny do wyrobu płyt kamiennych, a jednak tam grobów skrzynekowych w żadnym okresie nie spotykamy. Nie dalej, jak cała Galicya zachodnia i większa część wschodniej, południe Królestwa Polskiego, Węgry północne, czyli kraje takie, które sąsiadują z połacią podolsko - wołyńską, wykazują absolutny brak grobów skrzynekowych, a jednak na formacyach skalistych, mogących dawać płyty kamienne, wcale im nie zbywa. Następnie, przy budowie skrzynek daje się wielokrotnie zauważyć, jak to wykazaliśmy, pewna prawidłowość nie tylko w dokładnem przypasowaniu płyt i przytwierdzeniu ich jednej do drugiej za pomocą mniejszych brył kamiennych i klinków, lecz i w zwężeniu samych skrzynek u jednego końca, a tak prawidłowem, że wymagało rozmyślnej i zmudnej pracy przy obciosywaniu płyt; było więc dziełem nie przypadku, lecz logicznego w tej mierze postępowania. Zwężenie to, w połączeniu z ułożeniem szkieletów właśnie w części węższej, nie zaś szerszej, grobu skrzynekowego, wskazuje na jakiś rytuał, lub zwyczaj, które mamy prawo poczytywać za objaw

---

<sup>1)</sup> „Katalog der Ausstellung prähistorischer und anthropologischer Funde Deutschlands“, 1880, 610.

pewnych, niewiadomych nam wszakże, pojęć kulturalnych. Bardzo rzecz naturalna, że groby skrzynkowe przeznaczone być mogły tylko dla osób, lub rodzin, które się czemś wyróżniały od ogółu swego społeczeństwa, tak samo, jak wielkie budowle megalityczne.

Na Północy, zdaniem przytoczonych już niejednokrotnie powag naukowych, rozmiary megalitów zmieniały się stopniowo, przybierając kształty wielkich skrzyń kamiennych, zawierających naraz po kilkanaście szkieletów, a następnie skrzyń mniejszych; otóż ta sama ciągłość użycia jednego typu o kształtach wprawdzie zmodyfikowanych, utwierdza w przekonaniu, że ludzie ówczesni czynili tak przez wzgląd na cześć, oddawaną pamięci osób wybitnych, pragnąc ochronić ich kości, lub popioły od zagłady, która-by nastąpiła znacznie prędzej w razie włożenia ich do dołu zwykłego. W objawie tym nie możemy nie upatrywać dowodu pewnych wyobrażeń hierarchicznych, może nawarstwienia społecznego, wyróżniania osób jednych od drugich, już w czasach kamienia gładzonego. Przypomnijmy tylko ów grób skrzynkowy pod Merseburgiem, którego wszystkie znaki na płytach dają się objaśnić i ujawniają nie tylko pochodzenie, lecz i pojęcia astronomiczno-religijne tych, którzy go budowali. W grobie tym złożono niezawodnie resztki człowieka, który posiadał stanowisko wybitne, który może przyniósł do kraju, gdzie go śmierć spotkała, zawiązki jakiejś religii, lub nauki. Dzięki więc zapewne znaczeniu, którem się mógł cieszyć za życia, zbudowano mu przybytek okazalszy od innych i upiększono w sposób odpowiedny, by się wedle pojęć ówczesnych czuł w nim, jak w domu własnym, ku czemu za formę najodpowiedniejszą posłużyła skrzynka, skoro sarkofagu nie znano.

Kwestya grobów skrzynkowych zajmowała już niejednego badacza; Ossowski, na przykład, studyował niesłychanie ważną jej stronę, a mianowicie ceramikę, i przyszedł do przekonania, że te wyroby, które się w skrzynkach znajdują, są jedynymi świadectwami ówczesnego garncarstwa domowego, ponieważ, jak powiada, ceramika, której używano codziennie, nie zachowała się wcale. Zdanie to wygląda tak, jak gdyby ceramika grobów skrzynkowych była jedyną przedstawicielką ówczesnego garncarstwa. Gdyby tak było w istocie, rzecz cała miała-by znaczenie tem ważniejsze, że w takim razie, naczynia, pochodzące ze skrzynek, stanowiły-by faktycznie objaw pewnej, konkretnej kultury. Lecz z tego rodzaju wnioskami musimy być bardzo ostrożni. Za to w niektórych krajach udało się już wysledzić stopniowy rozwój ceramiki, odpowiadającej stopniowemu przekształcaniu się

typów grzebalnych, a wraz z nimi ceramiki takiej, jaka tam odpowiada grobom skrzynkowym. Dla przykładu bierzemy dorzecze Saali, gdzie typy grobów neolitycznych rozwijały się w porządku następującym: kurhanki ze skrzynkami kamiennymi i groby skrzynkowe płaskie, zawierające tak zwane amfory i kubki brzuchate z szyjkami, miseczki i miski, lecz nie zawierające garnków; kurhany bez skrzynek, w których oprócz amfor i kubków są już garuki; groby płaskie bez skrzynek, w których niema dawnych amfor i kubków, lecz same garnki i amfory typu nowego. Widzimy stąd, że w dorzeczu Saali, gdy skrzynki były w użyciu, jedne typy ceramiczne występowały już wówczas, gdy drugich jeszcze nie było, czyli, że pewne wyroby, jako produkty kulturowe, były równocześnie jednym typem grzebalnym, inne zaś drugim <sup>1)</sup>. Inny przykład, ujawniający równoczesność typu grzebalnego, zwanego skrzynkami kamiennymi, i pewnego rodzaju ceramiki, widzimy na Podolu galicyjskim, gdzie w grobach tego rodzaju znajduje się ceramika nie malowana, lecz za to posiadająca tak zwaną ornamentację sznurową, podczas gdy w tymże neolitycznym okresie, na tym samym obszarze podolskim, gdzie są groby skrzynkowe, widzimy liczne siedliska, wśród których przeważa ceramika malowana <sup>2)</sup>; stąd można wnosić, że ludność, która swych umarłych na Podolu galicyjskim składała do grobów skrzynkowych, ceramiki malowanej nie używała, że więc ta kultura, która malowanie garnków na Podole przyniosła, była tamtej obcą, i że rdzenna ludność tutejsza miała kulturę własną, której jednym z objawów był wyrób ceramiki zwyczajnej, neolitycznej, ze zdobieniem sznurowem.

Wszystkie powyższe fakty, to jest: właściwe niektórym miejscowościom grzebanie w skrzynkach, brak ich w sąsiednich, stopniowe przejście w niektórych krajach od budowy megalitów do składania skrzynek niewielkich, wreszcie pewne typy ceramiczne, grobom skrzynkowym właściwe, a w innych mało, lub wcale nie spotykane—utwierdzają nas w przekonaniu, że użytek grobów skrzynkowych nie był jedynie dziełem przypadku, nie był wynikiem jedynie tylko tego, że w jednej miejscowości znajdował się kamień, zdatny i a

1) Götze: „Die Gefässformen und Ornamentik im Flussgebiete der Saale“, 46.

2) Demetrykiewicz: „Materiały Antropologiczno-Archeologiczne“, tom III, str. 84 i następne; „Die Oesterreichisch - Ungarische Monarchie im Wort und Bild. Galicien“, 116 i 119.

plyty, gdy go w drugim nie było. Przeciwnie, wnioskujemy, że groby skrzynkowe powstały drogą ewolucyi i były wynikiem pewnych obyczajów, poglądów, lub wierzeń, które uważać należy jako objawy jakiejś kultury, nie zaś dzieło przypadku. Gdzie ona powstała, skąd przyszła na Podole, Wołyn i Polesie kijowskie, czy wreszcie przyszła i czy nie zrodziła się na miejscu? Są to pytania niesłychanie ważne, trudne dziś jeszcze do rozwiązania, ku czemu wszakże nie brak pewnych wskazówek. Przypomnijmy najprzód, w jakich krajach Europy znajdujemy najwięcej neolitycznych grobów skrzynkowych: oto trochę w Hiszpanii, we Francyi i Szwajcaryi, w niektórych prowincjach skandynawskich, w Saksonii, Turynгии, nieco w Brandenburgii, w Poznańskim i na Kujawach, wreszcie na Podolu, Wołyniu i Polesiu. To są mniej więcej wszystkie kraje, w których, o ile osądzić mogliśmy, znajdują się zgromadzone w pewnych miejscowościach groby skrzynkowe neolityczne, bądź szkieletowe, bądź ciałopalne. Stanowią one gniazda, lub centra, od których w pewnych kierunkach rozchodzi się użytek grobów skrzynkowych, tak, że im dalej od punktu wyjścia, tem rzadsze są miejscowości, w których się one znajdują, aż w końcu nikną zupełnie. Rzecz ta ma pozór taki, jak gdyby pewna kultura, lub zwyczaj w okresie neolitycznym, sadowiły się tu i owdzie, trwały długo na miejscu, szerząc się powoli, aż wreszcie zostały złuzowane przez kulturę następną, lub przekształciły się same. Nie przeczymy, że mogło się dziać i w sposób odwrotny, to jest, że ludność europejska w różnych miejscowościach, nawet w różnym czasie, własną siłą rozwoju kulturalnego dochodziła do pewnych jego stadyów, nie zapożyczając się w tej mierze u nikogo; trudno jednak przypuścić, ażeby tak było wszędzie. Na Podolu galicyjskiem na przykład, zbyt raptownie odciętem od Galicyi zachodniej i reszty wschodniej, jest ten kąt, w którym się groby skrzynkowe znajdują; tak dalece, że się wydaje, jak gdyby ludność ówczesna, używająca skrzynek, nie udzieliła najbliższym od Zachodu sąsiadom swojego pod tym względem zwyczaju, jak gdyby w stosunkach ówczesnych galicyjskich stanowiła ona coś odrębnego od sąsiadujących z nią ku Zachodowi i Północy plemion, lub rodów. A w takich wypadkach napływ ludności, której pewne zwyczaje są całkiem obce krajowi, gdzie mieszka, przybycie jej z krajów dalszych i osiedlenie się wśród tubylców dawniejszych, można uważać za prawdopodobne. Jeśli więc przypuszczenie to uwzględnimy, to się nasuwa pytanie: skąd, z jakich stron mogła ta ludność przyjść na Podole? Nie z Południa, bo na Węgrzech, ani nad morzem Czarnem, w okresie neolitu, grobów skrzynkowych nie używano; nie od Zachodu, bo nie widzimy ich również w całej



reszcie Galicyi i w dalszych, może prócz Czech, ziemiach korony austriackiej; nie od Wschodu i Wschodo-Północy, ponieważ bezpośrednio na Wołyniu i na Polesiu groby skrzynkowe przeważnie są ciałopalne, a zatem mniej dawne od skrzynek podolskich, zawierających przeważnie szkielety w pozycji siedzącej, mocno długogłowe, czyli bardzo dawne, zarówno jako typ grzebalny i w znaczeniu ściśle antropologicznem. Otóż możliwym jest przypuszczenie, że jeśli ta ludność, lub kultura, której archeologicznymi przedstawicielami są groby skrzynkowe, przybyła na Podole, by stamtąd rozejść się po Wołyniu i dotrzeć aż nad Dniepr, to nie skądinąd, tylko z krajów, gdzie te same objawy kulturalne, tj. te same skrzynki kamienne ze szkieletami również siedzącymi, spotykamy najbliżej granic Podola, czyli z tej połaci Europy środkowej, do której Turyngia, prowincye Saskie, Poznańskie, Kujawy, a częścią Śląsk, może nawet ziemie czesko-morawskie i Brandenburgia należą. Tu, mimowoli przypominamy znowu owe słowa Warsaae, wyrzeczone pobieżnie, a jednak w naszym wypadku mające znaczenie niepoślednie, o pewnym prądzie kulturalnym, przewijającym się po koniec neolitu, pomiędzy innemi potężnemi prądami, azyatyckim i południowym, przez środek Europy od Zachodu i docierającym do późniejszych ziem polskich i ruskich.

Jeśli na Podolu Galicyjskiem i na Polesiu Kijowskiem, w okresie neolitu nie widzimy żadnych wpływów środkowo-azyatyckich, to natomiast, obok grobów skrzynkowych, które poczytujemy za objaw prądu zachodniego, znajdujemy najwyraźniejsze ślady cywilizacji bezpośrednio południowej, pod postacią owej ceramiki malowanej, o której mówiliśmy na początku monografii niniejszej. I referaty d-ra Demetrykiewicza, składane akademii krakowskiej, i rozprawy na ostatnim zjeździe archeologicznym w Kijowie, wreszcie nasze osobiste studia wśród zbiorów Schliemanna w muzeum berlińskim, utwierdzają nas w przekonaniu, że ta ceramika malowana, jeśli nie przyszła bezpośrednio z półwyspu Bałkańskiego i Archipelagu, to było naśladowaniem, tamejszej, myceńskiej zwanej. Stanowi ona dowód niezaprzeczony, że prawdopodobnie przez Węgry i Podole nowy ten typ ceramiczny dostał się wraz z kulturą południową do Kijowszczyzny, gdzie stał kulturą tubyleżą, której ślady przechowały miejscowe kurhany z zabytkami opisanymi w naszych monografiach dawniejszych. Jednocześnie spotkała się nowa ta kultura z inną, przybyłą od północnego zachodu, może od Gopła lub z dzisiejszych Kujaw, której przedstawicielami są groby skrzynkowe.

Hipoteza to zbyt śmiała wobec materiału słabo reprezentowanego, nie dość zbadanego, a do tej pory nie zestawionego z materiałem Europy środkowej; lecz przypuszczenia bywają szczęśliwym punktem wyjścia do badań dalszych w danym kierunku, a częstokroć prowadzą do wyników stwierdzających rzeczywistość tego, co było tylko domniemaniem.

Przypuszczenia powyższe mogą się również spotkać z zarzutem innego rodzaju. Ponieważ groby skrzynkowe podolskie, a co za tem idzie, i część wołyńskich, są bardzo stare, gdyż zawierają szkielety mocno długogłowe, a na Wołyniu stwierdzono już antropologicznie cechy przedhistoryczne, dowodzące jednego z najdawniejszych zaludnień w Europie; przeto można-by domniemaniom dopiero co wypowiedzianym dać znaczenie odwrotne, czyli przypuścić, że neolityczna ludność podolsko-wołyńska z siebie wydala pierwiastki, które nie zapożyczyły kultury obcej, lecz swoją przeniosły gdzieś daleko, chociażby nad Gopło i do Niemiec środkowych.

Takie postawienie kwestyi nie wytrzymuje krytyki dlatego, że nie posiadamy najmniejszych wskazówek, by kultura neolityczna miała się posuwać od Wschodu ku Zachodowi, podczas, gdy jej kierunek odwrotny jest wyraźny. Nie same bowiem skrzynki kamienne na Podolu, Wołyniu i w Kijowszczyźnie północnej są świadectwem jej rozwoju. I tak, nad Dniestrem znajdują się całe groty ze znakami wykutymi w granicie, na podobieństwo tych, które się widuje w Bretanii na dolmenach. Znaki te nie są przypadkowe. Żłobione głęboko, ułożone tak, że się każą domyślać hieroglificznego — na swój sposób — znaczenia, przemawiają za tem, że między ludźmi, którzy na przykład na dolmenie w Gavrinis zostawili znaki swoje, zachodziło jakieś pokrewieństwo duchowe. Dolmeny zaś najstarsze należą do początkowego okresu neolitu i one-to właściwie, w niektórych krajach, jak tego dowodem Skandynawia, modyfikują się z czasem do rozmiarów nader skromnych zwyczajnej skrzynki. Jeśli więc wybierać protoplastów kultury, która na ścianach płyt naddniestrzańskich i na kamieniach megalitycznych rzeźbiła znaki, to prędzej szukać ich należy tam, gdzie te megality znajdują się w ilości poważnej, aniżeli tam, gdzie ich bądź wcale niema, bądź, jeśli są, to podejrzanej autentyczności. Dla tego przypuszczamy, że kultura ta, której wyrazem są znaki na megalitach francuskich i w jaskiniach podolskich, prawdopodobniej zrodziła się na Zachodzie i przysłała ku nam, aniżeli odwrotnie. Dalsze w tej mierze potwierdzenie

tego kierunku kultury napływowej upatrujemy w faktach następujących: w kurhanie łosiatyńskim, pod Białą-Cerkwią, znalazł Ossowski przed laty, wyjątkową w tych stronach ze względu na swe kształty, amforę baniastą z wydłużającą się prostopadle wysoką szyjką, zaopatrzoną w dwa małe uszka, osadzone tuż u jej wyrostu, a nadzwyczaj podobną do neolitycznego typu ceramicznego, znajdowanego w Brandenburgii, na Pomorzu i w Niemczech środkowych, czyli tam, gdzie przestawicielami okresu neolitycznego są groby skrzynkowe, kurhanowe lub płaskie, i gdzie, porównana z ceramiką dolmenową sąsiedniej równiny północno-niemieckiej, stanowi uosobienie kultury wyższej, a w każdym razie odrębnej. Na wspomnianem naczyniu łosiatyńskim, nawet ozdoby kreskowo ryte, z linijek równoległych złożone, umieszczone są tak, jak np. u amfor brandenburskich. Inne dwa małe naczynka gliniane z kurhanów ukraińskich, zaliczonych również przez Ossowskiego do neolitycznych, kształtem, a zwłaszcza zdobami, tak dalece różnią się od zwykłych miejscowych z tegoż okresu, że znalazca uznał za właściwe zakończyć wiadomość o nich dodatkem następującym: „naczyn przyozdobionych w sposób opisany w kurhanach ukraińskich dotychczas nie napotymano.“ Co do nas, o ileśmy porównać zdołali, w ornamentacyi tej półokrągłej, koncentrycznej, a wygniatanej na czterech stronach brzuszca, upatrujemy podobieństwo do ornamentacyi niektórych, zupełnie jednakowych kształtem, naczyń neolitycznych górno-austriackich i innych środkowo-europejskich. Wreszcie hr. Bobrinskij, w liczbie garnków wykopanych w kurhanach śmiłańskich, które nazywa kamiennie-bronzo-żelaznymi, przytacza dwa naczynia, podobne do wydobytych przez Pawińskiego pod Dobrzyszycami w Piotrkowskiem, z grobu wprawdzie skrzynkowego, lecz, dodajmy, należącego już do okresu żelaza. Garnki te mogły być wszakże naśladowaniem prototypu neolitycznego. Przykłady tego rodzaju są wskazówkami, jeśli nie stosunków bezpośrednich i stałych w okresie neolitycznym ziemi kijowskiej, Wołynia i Podola z ludami osiadłymi w dorzeczach Elby, Odry i Wisły, to jakiegoś z tamtych stron osadnictwa.

## VIII.

Pod koniec zatem okresu kamienia, w późniejszej ziemi kijowskiej, widziny wpływy obce i to z różnych stron pochodzące. Wśród ludów na polu rybackich, na polu pasterskich, u wybrzeży rzek osiadły ch, znających wszakże już pewne gatunki zboża, trudniących się łowiectwem, a wiodących tryb życia bardzo pierwotny, używających ozdób kościanych i naczyń roboty najgrubszej—ukazują się jakieś nowe pierwiastki cywilizacyjne. Dotychczasową ceramikę niewymyślną a grubą, nawet mało zdobioną, zaczyna zastępować inna, na wzór myceńskiej z okresu kamienia, lepiona i malowana, mniej więcej taka, jaka się i w ruinach IV miasta Troi znajduje. Ludzie, którzy wprowadzają użycie jej nad brzegi Dniepru, tworzą osady prawidłowo zabudowane, mieszkają w budynkach drewnianych, opatrzonych chrustem i tynkowanymi gliną, może więc w chatach takich, jak dzisiaj; używają oni zboża w dużej ilości, skąd można przypuścić, że wiodą tryb życia rolniczy. Pośród wyrobów glinianych, które zostawili, znajdują się figurki zwierzęce, wskazujące na znaczenie owiec i bydła w ich gospodarstwie, oraz ludzkie, wyobrażające cześć dla sił życiowych przyrody, w sposób używany na Południu i na Wschodzie.

Dzięki wykopaliskom w innych krajach, możemy dziś przypuszczać, że droga, którą ta kultura zawitała, prowadziła od wysp archipelagu, przez półwysep Bałkański (może nawet Węgry), Rumunię Bukowinę i Podole, skąd łatwo przeszła w dorzecze Bohu i nad Dniepr, pod sam prawie Kijów dzisiejszy. Że ta kultura z ceramiką malowaną od Zachodu nie przyszła, że nie z morawskimi np.<sup>1)</sup> garnkami malowanymi mamy do czynienia; dość porównać te ostatnie z tu-tejszemi i trojańskimi, lub myceńskimi, by utwierdzić się w prze-

---

<sup>1)</sup> Palliardi „Die neolitischen Ansiedlungen mit bemalten Keramik in Mähren und Niederösterreich“ — „Mitteilungen der prähistorischen Commission in Wien“ I Ban № 4, 1897.

konaniu wielu archeologów, a w tej liczbie doktora Demetrykiewicza <sup>1)</sup>.

Może jednocześnie, a w każdym razie niezbyt później, wraz z tą kulturą przyszły początki użytku miedzi lub brązu; jesteśmy więc u początków tej epoki, która w całym kraju zaprowadzi przewrót zasadniczy, czyli ukazania się wyrobów metalowych, a z niemi zupełnie nowej, nieznaney tu dotąd kultury. Przyjdzie ona od morza Czarnego i Kaukazu; wszakże, zdaje się, niebędzie pierwszą, która tu z tamąd zawita. Stosunki starej ziemi Kijowskiej z wybrzeżem morza Czarnego mogły istnieć jeszcze w końcowym okresie kamienia. Wedle podań, które się u greckich poetów i historyków przechowały, najdawniejszym ludem, władającym brzegami morza Czarnego, byli jacyś Cymmerowie, oni zaś mieli stosunki — skutkiem jednoplemiennego może osadnictwa, — z daleką północą. Że stosunki te istniały w istocie, dowodzą pewnego rodzaju amfory o dnach stożkowatych, z doskonale rozwiniętymi uchami, szyjką wąską i wydłużoną, zwane „lecytami“ a uważane za jedne z najdawniejszych typów, jakie się spotyka w Grecyi i Azji Mniejszej, przyniesione zapewne stamtąd nad morze Czarne wraz z pierwszemi stosunkami handlowemi. Niemniej znały je dobrze późniejsze czasy rzymskie, ponieważ naczynia te były nader dogodne do rozwożenia wina i oliwy. Brak znaków fabrycznych u naczyń tego rodzaju na Ukrainie pozwolił hr. Bobrinskiemu przypuścić, że mogły one być tak dobrze greckie, jak i rzymskie. Lecz wśród nich znajdują się takie, które bez wątpienia kół garncarskich nie widziały, przytem cała zawartość grobów, gdzie zostały znalezione, dowodzi czasów o wiele dawniejszych, aniżeli rzymskie. Mogą one należeć do okresu scytyjskiego, lecz do samych jego początków, co wszakże nie przeszkadza przypuszczać jeszcze dawniejszego, a zatem końca kamiennego. Mielibyśmy w takim razie świadectwo kultury, idącej od m. Czarnego, czyli drugiej obcokrajowej. Za trzecią uważamy tę, która mniej więcej w tymże czasie schodzi ku Dnieprowi ze stoków Karpat i zatrzymuje się w lesistej części ziemi Kijowskiej, podczas gdy tamte dwie rozpościerają się w bardziej stepowej, a przynajmniej wśród tak zwanych później „pól“. Świadcami tej trzeciej kultury, może zapożyczoney za pośrednictwem Podola od zachodu, może z nad Gopła, są groby skrzynkowe, czyli typ grzebalny, przedtem zupełnie w Kijowszczyźnie nieznanym, tu już ciałopalnym, lecz pochodzący od szkieletowego, który na sąsiednim Wołyniu, a zwłaszcza na Podolu, występuje wybitnie. I sama budowa grobu re-

---

<sup>1)</sup> „Materiały antropologiczno-archeologiczne“ t. IV, str. VIII i (109).

gularna, prawidłowa w umyślnych nawet zboczeniach, a bardzo zbliżona do skrzynki Europy śwodkowej, i zawartość jej, dowodzą, że pod koniec okresu kamienia nastąpił na Wołyniu i Polesiu kijowskiem jakiś przełom w pojęciach, lub napływ pierwiastków nowych, duchowo bardziej rozwiniętych, aniżeli dotychczasowe tutejsze, słowem, że przybyła kultura trzecia z liczby obcokrajowych i prawdopodobnie, wraz z tamtymi dwiema, musiała oddziaływać w sposób dodatni na cywilizację pierwiastku miejscowego; lecz do jakiego stopnia, w jakiej fazie rozwoju zastanie go zalew kruszców, a z nim scytyjski?—bliżej określić trudno.

KSAWERY CHAMIEC.

---

## *Gwiazda Bethleemska.*

---

Przyszło Boże zmiłowanie,  
Przyszło na tę grzeszną ziemię!  
Przenajświętsza urodziła  
Dzieciąteczko w Bethleemie,  
Biała z niebios spadła manna!..  
Dla zgłodniałych dusz opłatek!  
    Brzmij Hosanna, brzmij Hosanna!  
    Odkupienia to zadatek!  
Nad dzieciątkiem w zachwyceniu  
Zniżyło się niebo całe.

Aniolkowie na skrzypeczkach  
 Przygrywają mu na chwałę,  
     I unoszą się nad żłobkiem,  
     W którym legło Boże Dziecię,  
     Rojne, białe, jak motyle,  
     Gdy na kwiecie lecą w lecie.  
 I zadrżała ziemia wszystka  
 Na radosnej echo wieści...  
 Tylko z oczu Przenajczystszej  
 Popłynęły łzy boleści;  
     Bo Dzieciątko, Jej skarb drogi,  
     Gdy je wielbi Panna święta,  
     Wyciągnęło na znak krzyża  
     Swe rączęta i nóżęta,  
 Wyciągnęło na znak krzyża!!

. . . . .

Śpieszą, śpieszą rojną rzeszą  
 Pastuszkowie i królowie,  
 Gwiazda Wschodu się przybliża...  
     Przyszło Boże zmiłowanie  
     Na tak długo grzeszną ziemię...  
     Przenajświętsza urodziła  
     Dzieciąteczko w Bethleemiel

MICHAŁ RADZIWIŁŁ.



---

# Na skrawku ziemi. <sup>1)</sup>

---

## NOWELLA.

---

Keergard przygryzł wargę i mimowoli zachnął się zniecierpliwiony.

Miał ochotę zakląć głośno, ale tylko nogą tupnął i odszedł w głąb jaskini, pozostawiwszy Bienę samą, płaczącą cicho i ocierającą łzy rękawem.

Egoizm mężczyzny, narażonego na śmieszność i przykre następstwa własnej lekkomyślności, zagórował w nim nad innymi uczuciami w tej chwili.

Myślał tylko o sobie; co do niej... nie zastanawiał się na razie, o ile ta cała awantura i ją narazić może.

— Ostatecznie — rozumował — ta przyjemność spotyka mnie niewątpliwie tylko z jej strony; mnie przecież nikt chyba nie szpieguje, ani podgląda, ani nie może mieć do mnie żadnych pretensyi,

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt listopadowy.

a ona ma tam jakieś niezalatwione rachunki ze swoim niedoszłym narzeczonym, czy kuzynem, czy lichu wie kim takim!..

Przypomniawszy sobie, co mu opowiadała o Fredzie Jessenie, który się o nią starał przez lat kilka i chciał się żenić, i podobno zakochany był w niej na zabój; słuchał tego wówczas jednym uchem, nie wiele przykładając wagi do jej słów.

Przypuszczał wtedy, że się przechwala powodzeniem i zdobyczą wielbiciela, jak wszystkie dziewczęta na świecie, w każdym stanie, w każdym kraju.

Próżność i tyle!.. cogo tam obchodził jakiś Jessen; nawet nazwiska jego dobrze nie pamiętał.

Ale teraz przyszło mu na myśl, że to może zemsta zazdrosnego rywala postawiła ich oboje w takiej kolizyi.

Głupi, chamski pomysł, godny nieokrzesanego majtka, czy rybaka!..

Gdyby go miał pod ręką, byłby go po karku lunął, albo skrzynkę z farbami, pędzle i paletę połamał ze złości na jego twardym łbie fryzyskim.

Im dłużej nad tem rozmyślał, tem więcej nabierał teraz przekonania, że tylko z łaski Bienen znalazł się w takim położeniu bez wyjścia i uczuwał do niej wyraźny żal i urazę.

— Wszystkiemu zawszewinny kobiety — mówił sobie — nikt inny, tylko one!.. laszą się, mizdrzą, kuszą, narażają, popełniają tysiące nedorzecznosci, szaleństw, głupstw bez zastanowienia, a potem... potem biedny mężczyzna musi pokutować i odpowiadać!

Czuł się naprawdę pokrzywdzonym, i to najniesprawiedliwiej w świecie.

Bo przecież ta Biena pierwsza zaczęła mu „robić oko“ i uśmiechać się do niego; pierwsza zaczęła mu zaglądać przez ramię, gdy malował pejzaże; pierwsza mu postawiła przy łóżku szklanę z kilku świeżymi różami, zaraz w jakiś tydzień po przyjeździe; narzucała mu się sama, to przecież było widoczne.

A te jej opowiadania, te półsłówka rzucane w rozmowie, ta pierwsza wycieczka łodzią sam na sam, pod pozorem pokazania mu groty kontrabandzistów, ta gotowość służenia mu za modelkę — to jasne, wszystko było tylko zalotnością, niczem innym.

Zastawiła na niego sieci, jak na rybę, no i poszedł na przynętę, bo któryż nie pójdzie, zwłaszcza na jakiejś tam nudnej, bezludnej wyspie, na której można-by wywichnąć sobie szczęki od ziewania!

A teraz... ot, miła historia!

Usiadł na kamieniu, rozmyślając w tak gorzkich refleksjach nad swoją dolą i machinalnie zeszkrobywał pędzlem zeschnięte farby z palety.

Ona zaś, wyplakawszy się, podniosła głowę i! uspokojona nieco patrzyła na niego przez chwilę badawczo, jakby mu chciała wzrokiem duszy sięgnąć aż do serca; wydał jej się ogromnie smutnym i zgnębionym.

Nigdy dotąd nie widziała go takim, nie przypuszczała nawet, że się tak zmienić może

Siedział z głową spuszczoną, bez kapelusza; wiatr mu rozwiewał kucze włosy i szarpał końce fularowej chustki na szyi, jakby go drażnić chciał i budził z ciężkiej zadumy, która mu osiadła na czole, kształtnem i szerokim, ściągała brwi i przysłaniała oczy wpatrzone w ziemię.

Piękne, młodzieńcze jego rysy nabrały wyrazu cierpienia.

Siedział z miną skazańca, któremu przed chwilą przeczytano niecofniony wyrok — z miną nieszczęsnej ofiary, zdanej na łaskę i niełaskę losu.

Dziewczyna spoglądała na niego ze współczuciem, czekając na darmo, czy się do niej nie odezwie choć słowem, ale on milczał, zapomniawszy o towarzysze niedoli; więc powstała z ziemi i powolnym krokiem zbliżyła się do niego, położyła jedną rękę na ramieniu, a drugą zaczęła mu odgarniać zwichrzone włosy z czoła i po chwili namsłu odezwała się:

— Georges!

— Czego?

— Nie smuć się!, ja wiem, że tobie chodzi o mnie, prawda?.. ty się boisz, żeby mnie z tobą tu nie zastali... co?.. prawda?.. ty myślisz, że z tego może być kram!..

Podniósł na nią oczy, zdziwiony jej naiwnością.

— Nie bój się o mnie — mówiła dalej, — ja sobie poradzę.

— Ty?..

— Tak; ja się stąd wymknę, zobaczysz!

— A ja?..

— Ty zostaniesz, dopóki po ciebie nie przyślą; już ja się o to postaram. Żebym się tylko dostała do domu!..

Wzruszył ramionami i odwrócił głowę; ta myśl wydała mu się szaloną.

— Ciekawy jestem, jak?..

Oparła się o niego i mówiła:

— Zaczekamy, aż się trochę zciemni i wiatr ustanie... wtedy popłynę.

— Sama?.. bez wiosel?

— Nie, łódź tu zostanie; rozbiorę się... rzeczy uwiążę w węzelek, położę sobie na głowie i popłynę; nie bój się, ja pływam, jak delfin, nie mi się nie stanie! Żeby tylko dopłynąć do Mnicha, wiesz? tam gdzie jest ścieżka po skałach, która prowadzi akuratnie pod nasz dom w górę, pamiętasz?.. a stamtąd już ja sobie poradzę. Ubiorę się znowu i za kwadrans będę na górze. Po cienku nikt nie spostrzeże, a choćby zobaczył, to ja się jakoś wykręcę, — byle ciebie tylko ratować. Ty nie chcesz, żeby nas tu razem spotkali, powiedz!.. boisz się, aby się do ojca nie doniosło, prawda?.. Nie bój się, nie bój Georges!

Zarzuciła mu ręce na szyję i okrywając pocałunkami jego głowę, powtarzała:

— Mój, mój, mój ty!.. ja tobie nie dam zrobić nic złego, zobaczysz!.. Jeżeli cię znajdą samego w grocie, to im nawet do głowy nie przyjdzie, że była z tobą; powiesz im, że wiosła woda zabrała, żeś położył na brzegu i nie uważał. Powiesz im potem co bądź!..

Przysunęła swoją twarz do jego twarzy, tak blisko, że dotykała ustami jego ust i patrząc mu w oczy, pytała:

— Ale ty swoją Bienę kochasz, Georges?.. prawda, że kochasz?.. tybyś zrobił to samo dla mnie i rzucił się w morze?.. ale nie!.. nie!.. ja bym ci tego nie pozwoliła zrobić!.. tybyś utonął, ty nie umiesz tak pływać, jak ja; ty nie dałbyś sobie rady z morzem!.. To trzeba wiedzieć którędy; to spory kawał... Mógł-by cię balwan rzucić o skały i rozbić — Jezus, Marya!.. nie, nie, tobie nie wolno się narażać!..

Było w jej głosie tyle szczerości i uczucia, tyle przerażenia na samą myśl o niebezpieczeństwie, które mu mogło zagrażać, że Keergard instynktownie objął ją ramionami i przytulił do siebie, zapomniawszy przez chwilę o samolubnej urazie, jaką miał do niej.

Cheiała go ratować i dla oszczędzenia mu przykrości, gotowa była poświęcić się, skoczyć w morze i nawet utonąć, hyle go tylko nie narażać; wrażliwość artysty przemogła w nim inne uczucia.

Coś w rodzaju wdzięczności i podziwu zbudziło się nagle w jego sercu, ale i przeświadczenie, że ta prosta dziewczyna okazała się wyższą i szlachetniejszą w danej chwili od niego, zmieszało go i upokorzyło.

Musiał przyznać w głębi duszy, że sam nie byłby się zdobył ani na taki pomysł, ani na takie poświęcenie.

Zawstydzila go propozycja Bieny; trzymał ją za ręce i przyciągał do siebie, oddając dziewczynie namiętne pocałunki, jakgdyby

niemi chciał jej wynagrodzić krzywdę, uczynioną poprzedniemi myśłami.

— Ona mnie naprawdę kocha!—mówił sobie w duszy z uczuciem kłopotliwego zadowolenia—no, patrzcie i to mnie kocha, jak jaka bohaterka romansu!.. Szkoda, że tego nie widzi ten głupi Devineux, któremu się zdaje, że kochać umieją tylko kobiety z buduarów...

Trzymał ją w objęciach, przyciskał do piersi i kołysał, jak rozpieszczone dziecko, rozmyślając w dalszym ciągu:

— Jaka ona ładna w tej chwili!.. na seryo, bardzo ładna. Jules ją przeżywa śledziarką, osioł!.. niechby się jej teraz przypatrzył. Dalibóg, jej skóra ma jakiś zapach żywicy, jest coś upajającego w tym zapachu!.. I ona dla mnie skoczy w morze; to kolosalne!.. Nie, daję słowo, niktby temu nie dał wiary!.. Tylko żeby nie utonęła po ciemku; miałbym się dopiero z pyszna po takim epilogu!.. Ale chyba nie utonie; ona musi pływać, jak węgorz. Przecież gdyby nie była siebie pewną, nie próbowała-by; ostatecznie opłynąć ten kawałek wyspy można w piętnastu... no, dwudziestu minutach. Za pół godziny może być na miejscu, jeżeli wszystko dobrze pójdzie. W każdym razie, to ryzyko!..

Przez chwilę zawahał się, czy mu wypada przystać na propozycję Bieny; przeląkł się odpowiedzialności, któraby na niego spadła, gdyby się dziewczynie nie udało dopłynąć.

A nuż jej się co złego przydarzy?.. możeby lepiej nie pozwolić na ten szalony pomysł?..

Ale w wyobraźni artysty mignęła myśl, która go lubym dreszczem przejęła.

— Swoją drogą, to może być dyabelnie efektowna scena, gdy się rozbierze i jak najada skoczy w morze!.. z tego można-by zrobić świetny obraz!

Uśmiechnął się bezwiednie i oczy mu zabłysnęły znowu namiętami skrami a do głowy podpłynęła fala gorącej krwi.

Nie myślał o niebezpieczeństwie, olśniony widokiem, który dotychczas poddawała mu tylko fantazya, a który miał urzeć w rzeczywistości; nęciła go teraz niezwykłość takiej chwili i żądza wrażeń, które podnieciły nagle jego artystyczną wyobraźnię i rozbudzone zmysły.

— Biena—szeptał nad samym uchem dziewczyny—Biena, i ty na seryo-byś to zrobiła?.. popłynęła-byś?.. nie bała-byś się?.. nie będziesz... nie będziesz się wstydzila?..

— Czego? — spytała, podnosząc na niego zdziwione oczy, nie zrozumiałwszy w pierwszej chwili, co miał na myśli; ale jakby w jego

roziskrzonych żenicach znalazła nagle odpowiedź, zarumieniła się i ukryła szybko twarz na jego piersiach.

Było mu teraz wszystko jedno, co się z nią stanie; przestał się zastanawiać i wahać, czy wypada mu przyjąć jej ofiarę; myślał o Venus Anadyomenie, o klasycznej kurtyzanie greckiej, która w oczach całego tłumu obnażona wyszła na brzeg morski i pozwalała podziwiać swoje dźwięki bez sromu; zawsze żałował, że nie żył w czasach: Aspazyi, Fryny, Kleopatry, Klaudyi lub Messaliny, że nie mógł być świadkiem takich scen, które musiały być „dyabelnie efektowne“ w rzeczywistości, a które filisterska terażniejszość pozwalała sobie odtwarzać tylko w wyobraźni.

Zbudziło się w nim pożądanie nowych dreszczów, zwłaszcza, że miał już dosyć tej banalnej zabawy sezonowej na Helgolandzie i tej idylli wspiarskiej, i tych schadzek potajemnych, i tej poczciwej Bieny, która była jedyną „sensacją“, godną jeszcze jakiejś takiej ofiary.

Zaczynał mu się i tak przykrzyć już pobyt nad miarę przedłużony na tej olbrzymiej cegle wśród morza, którą wypalało słońce po całych dniach, a obmiatły wiatry ze wszystkich czterech stron świata.

Miał właśnie powiedzieć Bienie, że jej wymaluje szkic do obrazu na pamiątkę tej ryzykownej chwili i poprosi przyjaciela Devineux, aby mu napisał wiersz, coś w rodzaju ballady, która rozślawi jej bohaterki czyn, gdy nagle u wejścia do groty posłyszał jakby uderzenia wiosel i czyjeś głosy.

Odsunął szybko dziewczynę od siebie i zaczął pilnie nasłuchiwać.

Tak, nie omylił się; wiatr przynosił najwyraźniej pojedyncze słowa i plusk fal, odbijanych o łódkę, zbliżającą się ostrożnie i powoli ku kryjówce.

— Słyszysz? — szepnął Keergard i wskazał palcem ku morzu.

— Psst!.. ktoś nas wyśledził! — odpowiedziała półgłosem dziewczyna, zaskoczona tą nową niespodzianką, którą wkleła ich sytuację.

Dała mu ręką znak, aby się nie ruszał i nie odzywał, a sama, jak zaczajona łasica, posunęła się powoli wzdłuż ściany i zatrzymawszy się przy jednym z kamiennych filarów, które potrzymywały złom skały, nakrywającej wejście do groty, wyjrzała ostrożnie na morze, ale w tej samej chwili cofnęła się i przytuliła plecami do ściany, blada i wystraszona.

— Ojciec! — szepnęła, ściągnąwszy chmurnie brwi i przyciąwszy wargę zębami.

Keergardowi nozdrza zadrżały i rumieniec zabarwił policzki.

Przez chwilę stał, jak osłupiały, instynktownie schwyciwszy malsztek, który leżał przy rozsypanych pędzlach na kamieniu.

Ta chwila jednak wystarczyła, aby się opanował i znalazł szczęśliwy wybieg, który mu nagle błysnął w głowie, jak promień ratunku; sięgnął szybko po tekę i paletę, i jakby się dopiero co oderwał od malowania, podszedł ku wyjściu z groty a spotkawszy Dulckena, wysiadającego z łodzi, zawołał z miną, udając doskonale wesołość i zdziwienie:

— He, Biena!.. patrzno, kogo tu mamy!.. Widzisz, twój stary nas tu zwęszył!.. Jak się macie ojcie Dulcken!..

Wyciągnął do niego rękę na powitanie i uśmiechał się przyjaźnie, bez śladu poprzedniego zmieszania.

Nadrabiał czelnością, swobodą, pewnością siebie, która zbila od razu z tropu starego rybaka.

Dulckenowi twarz się przeciągnęła; oczy i usta otworzył szeroko, jedną nogą stał jeszcze w łodzi, drugą postawił na brzegu i przechylony spoglądał do groty, spodziewając się widocznie przydybać córkę z malarzem na schadzce i wywołał zupełnie inne wrażenie swoją osobą.

Keergard, korzystając z chwili, nie pozwolił mu dojść do słowa.

— No, chodź-że Biena—mówił—pokaż się już ojcu. Trudno!.. skoro nas tu przyłapał, to już niema się czego ukrywać. Trzeba się przyznać do wszystkiego.

Dziewczyna stała przytulona do ściany plecami i nie śmiała się poruszyć; słowa Keergarda, ton jego głosu i całe zachowanie się oniesmieliło ją jeszcze bardziej.

Nie rozumiała, do czego zmierza ta przemowa; myślała w pierwszej chwili, że...

Ale to się jej zaraz nieprawdopodobnem i niemożliwem wydało; myślała, że powie ojcu:

— Twoja córka jest moją kochanką; kochamy się oboje, daj mi ją!.. Stało się!.. ożenię się z twoją Bieną.

\* Fryzyjskim zwyczajem w takiej sytuacji przyłapana młoda para uchodzi za narzeczonech; w „okienkowaniu“ nie było przecież nic zdrożnego, a że się widywali w biały dzień, nie nocą, w ustronnej grocie, nie w jej panińskim alkierzu, to i cóż!.. mogło-by być i tak.

W pierwszej chwili urosło jej złudzone serce, że odetchnąć nie mogła.

Keergard schwycił ją za rękę i wyciągnął z ukrycia.

— No, chodź-że, chodź!.. nie wstydz się. W tem niema przecie nie złego!.. Wielka tajemnica się wydała; musiała się wydać, nie dziś, to jutro. Za kilka dni byłbym i tak skończył mój obraz!..

Bienie powieki zadrzały, jak skrzydła émy nocnej.

— Obraz!—jęknęła, dorozumiawszy się wreszcie wybiegu, na który wpadł sprytniejszy od niej artysta.

— No, widzicie!.. ona się teraz wstydzi tego, że mi pozowała do obrazu,—śmiał się Keergard;—to miała być dla was niespodzianka, ojcze Dulcken, przyjemna niespodzianka!., mieliście dostać zegarek srebrny o dwóch kopertach z łańcuszkiem i co to jeszcze Biena?.. chciałaś ojcę jeszcze coś kupić w Hamburgu?.. aha!.. brązowe ramki do swojej fotografii, prawda!.. przypominam sobie teraz. Akuratnie z dzisiejszym seansem miała-by u mnie już całych trzydzieści marek!.. tak, tak, dziesięć okrągłych talarów zarobiła wasza Biena za pozowanie. Żadna modelka w Berlinie, ani w Monachium tyle nie zarabia, ale też żadna nie potrafi tak cierpliwie pozować, jak Biena. Stoi, powiadam wam, jak skamieniała!..

Dulcken patrzył to na córkę, to na młodego malarza, z niedowierzaniem; we wzroku jego czaiła się podejrzliwość.

Miał na ustach jakieś słowa, których wymówić nie śmiał; znać było, że nie umie sobie jeszcze zdać sprawy z tego, co słyszy i na co patrzy.

Wzmianka jednak o dziesięciu talarach podziałała widocznie dodatnio.

Zaimprovizowana na prędece historyjka o pozowaniu i obrazie, o dobrych intencjach córki i srebrnym zegarku z dwoma kopertami, zrobiła swoje.

Twarz jego wyrażała jeszcze zdziwienie i niepewność, ale rozchmurzała się za każdym słowem Keergarda.

Odwrócił trochę głowę i poza siebie rzucił półgłosem kilka wyrazów po fryzyjsku.

Z drugiej łodzi, która zatrzymała się w pewnem oddaleniu od grotu, odezwał się zgłuszony śmiech.

Biena wychyliła się poza skalisty węgiel i ściągnęła niechętnie czarne brwi; w drugiej łodzi dostrzegła dopiero teraz Simona Bohna, który towarzyszył jej ojcę.

— Aha!.. rozumiem,—pomyślała—to jego sprawka.

I policzki jej zapłonęły szkarłatem.

Cisnęła mu spojrzenie ostre, jak oszczep, złe, mściwe, nienawistne.

Dulcken stał ciągle jeszcze, jak ogłuszony, nie przemówiwszy ani słowa; nie wiedział, co mu wypada zrobić, wierzyć czy wątpić, po-



dejrzać i wybuchnąć, czy udawać przynajmniej, że jest przekonany i zadowolony z córki, służącej za model pannu malarzowi, który jest jego lokatorem, pozwala sobie pisać słone rachunki i po trzydziści marek zarobku dorzuca jeszcze w nadzwyczajnym dodatku dziewczynie.

Keergard, nie poprzestając na słowach, poszedł w głąb groty, wziął swoją tekę i otwierając ją, pokazał staremu podmalowany w pierwszych jeszcze schadzkach z Bieną szkic do „Tańczących pannen św. Urszuli“.

Nie przypuszczał nigdy, że mu się ten kawałek płótna przyda kiedyś w takiej drażliwej sytuacji.

— O!.. zobaczcie ojciec Dulcken!..—mówił z ożywieniem zanadto gorączkowym—ładne będzie, co?—poznajecie waszą Bienę?.. podobna, prawda?.. podoba się wam?..

Stary wysiadł na brzeg i cheiwem okiem rzucił na malowidło chciał się przekonać, czy rzeczywiście go nie zwodzą.

— Bohn, zobacz!—odezwał się głucho do towarzysza w drugiej łodzi i wzięwszy z rąk Jerzego tekę, pokazał mu z brzegu zaczęty szkic, na którym w kilku śmiałych kleksach i konturach zaznaczony był widok na morze, ujęty w skalistą ramę groty i postać z podniesionymi ramionami pływającą na falach.

— No?.. cóż ty na to?

Przyjaciół Freda Jessena leniwo poruszył wiosłem i zbliżył łódź do brzegu; nie wysiadając, spojrzal na malowidło i wygoloną jego twarz, spaloną od słońca i wiatru, brzydką, lecz sympatyczną, pokrył wyraz złośliwej ironii.

Uśmiechał się połową ust i jedno oko mrużył, udając, że się przypatruje malowidłu, ale czynił to niedowierzająco, bez wielkiego zajęcia, jakgdyby w głębi duszy mówił sobie:

— Dobrze, dobrze!.. ja wiem swoje, a ty stary ośle swoje.

Dulcken jednak zdawał się teraz być przekonany i uspokojony, zwrócił się jednak do Bieny i zapytał ją o coś po fryzyjsku, czego Keergard nie mógł zrozumieć; dziewczyna odpowiedziała tonem prawie szorstkim, na co ojciec zrobił jakąś uwagę głosem nieco podniesionym, co musiało podrażnić Bienę, bo wywiązała się między nimi sprzeczka, przybierająca charakter coraz gwałtowniejszy, zwłaszcza gdy wniósł się do niej trzeci głos Bohna.

— O co wam chodzi?.. co mówicie?--przerwał im wreszcie Keergard—Biena!.. czego chce od ciebie twój ojciec?.. gniewa się może, żeś bez jego wiedzy pozowała?..

Dulcken się umitygował.

— Nie, nie!.. to między nami sprawa!—odezwał się po niemiec-ku—to chodzi o co innego.

Poszedł do swojej barki i wyjąwszy z niej dwie pary wiosel, rzucił jedną do łodzi córki, a drugą do łodzi malarza.

Oczy mu błyskały gniewem i przygasaly co chwila; widocznie krępowała go obecność Jerzego, przy którym nie śmiał wybuchnąć całą pasją, podżeganą wyzywającą postawą Bieny i urywanym śmiechem Simona.

— Ależ Dulcken, dajcie pokój stary!—próbował go uspokoić Keergard, niezmiernie zadowolony, że mu się tak niespodzianie udało znaleźć wyjście z kłopotliwego położenia.

Tragiczna sytuacja przed chwilą rozwiązywała się, jak w far-sie; śmiać mu się chciało ze swoich obaw i rozpaczliwych przypuszczeń.

Kosztem trzydziestu marek zażegnał burzę; żal mu było tylko straconego wrażenia i efektu żywej Anadyomeny, którą już miał ujrzyć zanurzającą się w morskie bałwany.

Nie zrozumiałwszy ani jednego wyrazu z wyspiarskiego narzecza, domyślił się jednak, że sprzeczka między ojcem a córką toczyła się o podstępne zabranie wiosel; bawiło go to, iż cała zaciętrzewiona trójka przestała się nim zupełnie zajmować w końcu; nawet Biena nie zwracała na niego żadnej uwagi, jakgdyby go nie było; staremu odcinała się głosem skrzeczącym niemal od wzburzenia a Simonowi wygrażała pięścią i palcem, podbiegała na samą krawędź skalistego progu groty, że jej, aż woda nogi zamoczyła, wychylała się ku niemu i próbowała przekrzyknąć szum fal i poświsty wiatru, który się znowu wzmagal.

Wreszcie, gestykulując żywo, rzuciła jakieś przekleństwo, czy obelgę, plunęła w stronę Simona, wskoczyła do swojej łodzi i z zapłonioną twarzą odbiła od brzegu, zdyszana, z piersią falującą, jak to morze, po którego bałwanach zeslizgiwała się jej barka, spiesząc z powrotem ku przystani.

Za nią puścił się stary Dulcken, a tuż obok Simon Bohm.

Co pewien czas z trzech łodzi odzywały się pojedyncze głosy i zdawały się bryzgać, jak piana z nad fal.

Kłótnia trwała w dalszym ciągu, łodzi sunęły szybko, kołysane na falach, ściagały się przyspieszonym, rytmicznym ruchem wiosel w muskularnych, wyprężanych i zginanych, jak na komendę, rękach dziewczyny i dwóch rybaków, płynących za nią.

Keergard został sam w grocie; przez jakiś czas patrzył za nimi z zajęciem, potem zapalił papierosa, uśmiechnął się i zaczął zbie-

rać swoje pędzle, szkatułkę i szkice, które mu wiatr z teki powywiewał.

— No, udało się!—myślał—przytomność umysłu i trochę efronteryi pomaga zawsze w podobnych razach. Devineux siądzie na ziemi, kiedy mu opowiem dzisiejszą przygodę!.. Swoją drogą mam już dosyć tego Helgolandu; trzeba się będzie powoli pakować.

Wsiadł do łodzi i puścił się także drogą powrotną, aby zdążyć jeszcze na obiad przy table d'hocie, którego się już dzisiaj jeść nie spodziewał.

Trzy łódki o wiele wcześniej przybiły przed nim do brzegu pierwsza wylądowała Biena i nie czekając na ojca, puściła się szybko ku domowi.

Simon Bohn, uwiązując swą łódź na przystani, z jakimś pogardliwym uśmiechem spoglądał na starego Dulckena i mruzczał pod nosem:

— Głupie bydlę!.. dał sobie zamalować oczy i wierzy, że między nimi nic nie było. Właśnie!.. a jakże!.. niby to nie widziałem może, że na palecie były zaschnięte farby, a ta mazanina na płótnie zakurzona chyba od dwóch tygodni. Ciekawy jestem, jak można suchym pędzlem malować?.. Tylko taka stara foka, jak Dulcken, na tem się nie pozna. Judasz przeklęty!.. za trzydzieści srebrników gotówby sprzedać własną córkę. Tfu!.. tfu!.. tfu!.

Odwrócił się i leniwym krokiem poszedł w stronę Alei plotek, na której się zbierało już liczne grono kąpielowych gości, upatrujących w dali płynący statek z Syltu i Amrum.

— Napisać o tem Fredowi Jessen, czy dać pokój?—myślał—et, napiszę!.. niech wie, czemu nie ma wiedzieć prawdy!.. Prawdą trzeba żyć, za prawdę umierać.

Devineux parskał ze śmiechu i trząsał w palce, powtarzając: „Oh, la, la!“ kiedy mu Keergard opowiadał swoje tragiczną przygodę w grocie; ogromnie go to ubawilo, nie mógł odżałować, że nie był świadkiem tej sceny, gdy „stary dudek“ dał się tak na plewę złapać.

Swoją drogą zrobił uwagę:

— Georges!.. najwyższy czas, abyśmy stąd dali nura. Sytuacja się wikła i może się stać drażliwą dla nas obu, bo ty wiesz, że ja stoje za tobą, a iż cię nie opuszczę, drogi Ajaksie—przysięgam na... moją Gwiazdę polarną, która za dwa dni zachodzi i wraca w swoje podbiegunowe strony. Ergo, nie mam i ja tu co dłużej robić!

Nazajutrz odbyła się wielka feta na cześć odjeżdżających Amerykanek, cioci i murzyna, który, upojony szampanem, musiał na żądanie Devineux, śpiewać „Yankee doodle“ i tańczyć na pustej beczce,

co się niezmiernie podobało gościom, zebranych przy pożegnalnym obiedzie.

Keergard dnia tego nie zauważył nawet, że Biena nie wychodziła wcale ze swego alkierzyka; stary Dulcken tylko wieczorem siedział na kamiennych schodkach przed domem i do późnej nocy spierał się o coś z sąsiadem Bohnem, który go drażnił jakimiś złośliwymi przymówkami.

Na trzeci dzień dopiero Georges i Jules przypadkowo dowiedzieli się od doktora, wychodzącego z ich domu, że córka gospodarza, ta ładna Biena Dulcken, jest chora, gorączkuje i kto wie, czy się nie zanosí na coś poważniejszego.

— C'est le moment! — szepnął Devineux, co miało znaczyć, iż uważa tę chwilę za najstosowniejszą do „dania nura.“

Jakoż zawołali starego Dulckena i po kilku słowach współczucia dla chorej córki, zapowiedzili mu, że pragną uregulować swoje rachunki, bo jutro, może pojutrze, będą musieli wyjechać.

Ojciec Bieny przyjął to na pozór całkiem obojętnie, ale z podełba patrzył jakoś dziwnie na swoich lokatorów i mruzczał:

— No, no!.. będzie czas jeszcze o tem pomówić.

— Nie koniecznie — tłumaczył mu Devineux — chcieli-byśmy odpłynąć „Cobrą“, a „Cobra“ pojutrze odchodzi do Hamburga; musieli-byśmy czekać znowu aż do przyszłego tygodnia.

— To się pokaże, to się pokaże — powtarzał tajemniczym szeptem stary i, posępnie zapatrzony w podłogę, rozmyślał nad czemś niezdecydowany.

Młodzi lokatorowie nie zwracali uwagi na zmienioną minę gospodarza; przypisywali to strapieniu z powodu choroby jedynaczki i, wychodząc z domu, zalecili mu, aby kazał służącej pakować z grubsza ich walizy.

— Niema się czego spieszyć — odpowiedział im, tym samym powolnym, obojętnym niby tonem.

Gdy wrócili późnym wieczorem z Conversationbauzu, zastali wszystko na swoim miejscu; o spełnieniu ich poleceń nikt widocznie nawet nie pomyślał.

Francuz się irytował, Duńczyk próbował usprawiedliwić gospodarza.

— Nie miał głowy pamiętać o tem; przecież słyszałeś, że podobno Bienie gorzej. Doktor wspominał nawet, że się gorączka podniosła!

— Mój drogi, — przerwał mu Devineux — bronisz swego niedoszłego teścia, ale to mnie wcale nie rozczula. Leninch jest i safandula!.. jutro mu to powiem przy tobie, zobaczysz!

Musieli się sami zabrać do pakowania i wyginać sobie grzbiety przy układaniu w walizach garderoby, bielizny i mnóstwa kawalerskich drobniagów, co było dla nich zajęciem nietylę uciążliwym, ile nudnym.

Dulcken nie pokazywał się wcale; kazali go przywołać, nie przychodził, poszli go sami szukać, nie mogli znaleźć,—ukrywał się przed nimi.

Dzień zeszedł znowu na niczem, a nazajutrz o południu „Cobra“ odpływał do Hamburga, nie było zatem wiele czasu do stracenia.

— Ten surowy rak morski, — mówił Devineux, — ostrzy gdzieś w kącie swoje nożyce, aby nam wyciąć funt mięsa z pod samego serca na odjeźdnie. Pewny jestem, że przesoli swój rachunek tak, abyśmy go pamiętali do końca dni naszych!..

Dulcken jednak wcale nie myślał o podawaniu rachunku swym lokatorom; nie było mu pilno rozstawać się z nimi.

Devineux pomstował, krzyczał, dzwonił, irytował się, ale to nie nie pomagało.

Na pół godziny przed odejściem „Cobry“ zjawił się gospodarz z miną spokojną, pokorną, ale zachmurzoną.

— Panowie mnie szukali?.. o co chodzi?..

— JAKO o co?.. wyjeżdżamy przecież za pół godziny.

— Panowie wyjeżdżają?..

— Dobry sobie!.. uprzedziliśmy was o tem od dwóch dni.

— Myślałem, że to żarty; ee!.. panowie nie pojedą!..

— Dlaczego?.. przecież „Cobra“ odchodzi dzisiaj?..

— A odchodzi, ale odejdzie bez panów.

— Co takiego?..

— Odejdzie bez panów — powtórzył spokojnie, jakby mówił o rzeczy zdawna postanowionej; — tak, tak, bez panów.

Westchnął, przygrabił się jeszcze bardziej, ręce włożył do kieszeni i jakoś dziwnie spojrzawszy w oczy Keergardowi, dodał:

— Pan malarz jeszcze obrazu nie skończył, a Biena chora; doktor powiada, że może będzie... ospa.

— Ospa?!—zawołali obaj, przerażeni tą wiadomością.

— Uhm!.. tak mówił doktor dzisiaj. Przecież pan malarz zechce pożegnać się zapewne ze swoim modelem?.. to-by było niegrzecznie wyjeżdżać bez pożegnania, bardzo niegrzecznie!

Przez chwilę oniemieli obaj przyjaciele, gotowi już do drogi; w głosie starego brzmiała zapowiedź jakiejś niemiłej niespodzianki.

Devineux pierwszy oprzytomniał i wyrwał się bez namysłu:

— Jeżeli się na ospę zanosi, to tem bardziej musimy uciekać!.. a cóż wy myślicie, że się będziemy tutaj narażać dla waszej przyjemności?

Dulckenowi skrzywiły się usta pogardliwym, złośliwym uśmiechem.

— Jeżeli się pan tak obawia, to niech pan jedzie, ale mi się zdaje, że to nie ładnie opuszczać przyjaciela. Panowie razem przyjechali do nas, to i razem od nas odjadą, jeżeli przyjdzie pora!.. A może to nie będzie ospa,—doktorzy się czasem myślą.

Wzruszył ramionami i odwrócił się ku drzwiom powolnym, ociężałym krokiem, uważając, że niema o czem więcej mówić.

Keergard przysiadł na krawędzi stołu i ogryzał sobie paznokcie; Devineux w czapce podróżnej, z pledem na ramieniu, z torebką w ręce stał pośrodku pokoju z miną zabawnie zakłopotaną i zwróciwszy się do przyjaciela, powiedział po francusku:

— Słyszałeś, co ten bałwan mówi?.. rozumiesz to?.. Tu się zanosi na jakąś awanturę!..

— Na jaką?..

— Oni gotowi nas zatrzymać przemocą.

— Et!.. głupstwo!

— Ale daję ci słowo; powiedział najwyraźniej, że powinniśmy pożegnać się z Bieną... z tą twoją Bieną!.. a jeśli ona dostanie ospy, to co?.. będziemy czekali, aż wyzdrowieje?..

Od strony przystani odezwał się ryk tuby okrętowej, pierwszy sygnał do odjazdu.

— Zawołać tragarzy!—porwał się krewki Francuz,—niech znoszą nasze rzeczy!.. prędszej!.. bo się spóźnimy.

Dulcken odwrócił się we drzwiach i znowu ramionami ruszył.

— Kiedy panowie nie odjadą dzisiaj!—rzekł głosem flegmatycznym i wyszedł do sieni, jakby uważał, że szkoda nawet słów marnować.

Devineux chciał się za nim z pięściami rzucić, ale się umitygował, pomyślawszy, że to mogło-by tylko jeszcze bardziej poplątać ich sytuację.

— No, i cóż ty na to?..—zawołał rozpaczliwym niemal głosem—stoisz, jak słup soli!.. poradź-że cokolwiek, skoroś nas obu wpakował w taką!..

Nie dokończył i, przechodząc z krańca w kraniec, rzucił się na fotel i zaczął się śmiać na całe gardło.

— Nie, to kolosalne, na honor!.. to prawdziwa awantura!.. jesteśmy wzięci w niewolę helgołandską!.. Nie pozostaje nam nic innego, jak zabrać we dwóch nasze kufry i dźwigać je na pokład. Wyobrażam

sobie, jakie-by to wrażenie zrobiło na naszych przyjaciół, którzy nas oczekują na przystani. Hurra!.. hip, hip!.. Farwelle!..

Zdjął czapkę i powiewając nią w powietrzu, śmiał się, jak opętany.

Keergarda rozdrażnił i znieczierpliwił ten wybuch dobrego humoru w takiej chwili.

Tupał nogą i ofuknął przyjaciela:

— Cicho bądź, małpo!.. masz się z czego śmiać!.. to wcale nie do śmiechu!..

— A do czego?.. ja jestem małpa, ale ty hipopotam!—odciął się Francuz,—wymyśl-że coś nadzwyczajnego i poradź, co zrobić!..

Jerzy zdjął swój kapelusz płócienny w kształcie angielskiego hełmu, rzucił go w kąt i z tłumioną pasyą szepnął:

— Ha, cóż!.. nie pojedziemy dzisiaj; przecież nie można dopuścić do skandalu.

— Tak?.. może się mam rozpakować? — spytał szyderczo Devineux.

— Nie żartuj, bom wściekły w tej chwili!

— A ja nie jestem wściekły, ale mimo to pogryzłbym twoją Bienę, i twego teścia, i wszystkich Helgoladczyków, gdybym był tylko pewny, że nie cuchną tranem!.. a ja tranu nie znosiłem, nawet w latach mojej dziecięcej niewinności!..

Złożył pled i torebkę, westchnął z komiczną rezygnacją i zadeklamował z udanym pathosem:

— Tu na tej bezładnej skale, sępom oddam moje kości; oto siedzę w kryminale za zaległy dług miłości!..

Nie przypuszczał nawet, że żartując w ten sposób, wygłaszał bardzo przykrą prawdę, która w krótkim czasie dała się im obu odczuć dotkliwiej, niż mogli przewidywać.

Jeden dzień upływał za drugim a zamierzony ich wyjazd nie dochodził do skutku; dano im to do zrozumienia, aby się nie łudzili nawet nadzieją opuszczenia wyspy, zanim nie zostanie uregulowany rachunek Keergarda z Bieną.

Niby to nie wywierano żadnego przymusu, ale cała osada zdawała się być w zмовie ze starym Dulckenem; spoglądano na nich z chytrym uśmiechem, albo groźnym marsem na czole. Patrzano im impertynencko w oczy, a za plecami wygrażano pięścią; kobiety szeptały między sobą, gdy przechodzili uliczkami, rzucały im po fryzysku jakieś złośliwe uwagi, marszczyły brwi i odwracały się od nich z nietajoną urazą.

Musieli zauważyć, że z każdym dniem rosła coraz bardziej niechęć i nieprzyjaźne dla nich usposobienie wśród całej ludności wyspiarzy.

Odmawiano im najdrobniejszych przysług, nie odpowiadano w końcu na ich zapytania, okazywano nawet pogardliwe lekceważenie, ale przytem śledzono obu na każdym kroku, strzeżono, jak jeńców, pilnowano dniem i nocą w obawie, aby się cichaczem nie wymknęli, zanim sprawa z Bieną Dulcken nie zostanie „uczciwie zakończoną.“

Ostracyzm tłumu zaczął im się dawać we znaki na każdym kroku.

Nie mogli nawet marzyć o tem, by się wydostać z tej osobliwej niewoli; jakieś tajemnicze szmery, szepty i narady chodziły po całej wyspie, odkąd się rozniosła wieść o przyłapaniu malarza z Bieną Dulcken w samotnej grocie przez starego rybaka i Simona Bolna, który „miał dużo ciekawych rzeczy do opowiadania“, ale czekał, dopóki nie nadejdzie stanowcza chwila.

Dulcken spokojnie, lecz stanowczo, bez śladu groźnej aluzji wmawiał w nich nieustannie, że nie mogą odjechać, zanim jego córka nie wyzdrowieje; żaden tragarz nie chciał się zgodzić na przeniesienie ich kufrów do przystani, każdy wiosłarz wymawiał się pod rozmaitemi pozorami, że nie może im wypożyczyć swej łodzi, ani przewieźć ich na podkład statków, zatrzymujących się zawsze w pewnem odaleniu od debarkaderu, z powodu niebezpiecznego dostępu do skalistych brzegów wyspy.

Wszyscy odsyłali ich uśmiechem i przebiegłą fizyognomią „do gospodarza“.

— Stary Dulcken to załatwi—powtarzali—on panów i przeniesie, i przewiezie, gdy będzie trzeba. Nasza łódź mogła-by się jeszcze przewrócić!.. Kto to wie, wypadki zdarzają się na morzu, ho-ho!.. jeszcze jakie!

Nie udawało się ani namową, ani prośbą, ani groźbą skłonić ich do żadnej przysługi; wszyscy dawali im do zrozumienia, że wiedzą o niezłatwionych rachunkach z Dulckenem i jemu wyłącznie pozostawiają tę sprawę do uregulowania.

Ale Dulcken obliczać się nie chciał, pieniędzy nie przyjmował i wykreślał się od postawienia jasno swoich pretensyi.

— Nie mam teraz głowy do rachunków,—powtarzał,—córka mi chora; albo umrze, albo wyzdrowieje, to wtedy będzie czas do gadania. Panom się przecież u nas nie przykrzy; pogoda jeszcze ładna, gości jeszcze dość, po co się panowie mają spieszyć?..



Keergard przyjmował to wszystko z nadspodziewaną rezygnacją; Devineux się zżymał, ciskał, wybuchał raz passją, to znów szalonym śmiechem.

Chciał udać się do miejscowej władzy z zażaleniem i zażądać eskorty, która-by ich przeprowadziła na pierwszy lepszy statek, ale to groziło skandalem, kompromitacją.

A nuż zbuntowani przyjaciele i sąsiedzi Dulckena postawiliby opór?.. niechby przyszło do jakich awantur?.. rozniosłoby się to po całej wyspie, przedostało do gazet, nabrało rozgłosu.

Rozsądek kazał do czasu przynajmniej poddawać się sytuacji i wyczekiwać, choć z niecierpliwością i uprzykrzeniem chwili rozwiązania dziwacznej sprawy.

Francuzowi przychodziły najszałeńsze pomysły; proponował Jerzemu, że go wywiezie w swoim kufrze, przyrzekał go wykraść. Żeby się jakim bądź sposobem wydostać tylko na pokład parowca, to już potem mogli-by być bezpieczni. Namawiał go, aby się przebrał za kobietę, albo za majtkę dla niepoznaki; na ten temat snuł awanturnicze fantazy i układał plany ucieczki, lecz w końcu uznawać musiał, że to się wszystko nie uda.

Tymczasem codziennie zmniejszała się liczba gości, codziennie wyjeżdżało po kilka lub kilkanaście osób, wyspa opróżniała się z sezonowych bywalców, a dwaj przyjaciele czuli się coraz bardziej osamotnieni i bezradni.

Biena przechodziła ospę i to ciężką; było kilka dni takich, kiedy znajdowała się między życiem a śmiercią; po drugiej stronie domu, w zaciemnionej izdebce leżała, trawiona gorączką, pozostawiona na opiece starej służącej, znosząc piekielne męki.

Słysząc było jęczenia i westchnienia chorej, które dochodziły aż do sąsiadów.

Ojciec przychodził do niej rzadko, stawał przy łóżku, patrzył na twarz obsypaną krostami, na błędne oczy wzierające z pod sztywnych, dniem i nocą otwartych powiek. zaciskał zęby i z instynktowym lękiem, nie poznając własnego dziecka, wysuwał się z izdebki.

Minęły tak dwa tygodnie; w chorobie nastąpił przełom.

Gorączka się zmniejszyła, strupy przysechały, chora zaczynała się uspakajać, wpadała w stan sennej apatyj, ale silna, świeża natura dziewczęca oparła się strasznej zarazie.

Po miesiącu była uratowana.

Odosobniona od całego świata, nie wiedziała o niczem, co się działo poza czterema ścianami jej izdebki.

Od starej sługi dowiadywała się tylko co nie co, piąte przez dziesiąte; zresztą, nie obchodziło ją wiele, co się stało na wyspie podczas jej choroby.

Wiedziała jednak, że Jerzy nie wyjechał, że bawi jeszcze zawsze w ich domu razem ze swoim przyjacielem i wytłomaczyła sobie to na swoją korzyść.

— On został.. został dla mnie, — myślała ze łzami w oczach — nie chciał mnie porzucić w chorobie. Jednak on dobry i uczciwy!..

Rozrzewniało ją to poświęcenie i taki dowód przywiązania z jego strony.

W chorobie marzyła o nim i przypominała sobie wszystkie ich rozmowy sam na sam, każdą schadzkę, aż do ostatniej, która się tak fatalnie dla niej zakończyła.

Byłaby oddała rok życia, aby się mogła z nim teraz choć na chwilę zobaczyć, dotknąć jego ręki i ucałować ją z wdzięcznością za to, że został, że jej nie opuścił; zdawało się dziewczynie, że teraz kocha go tak, jak nigdy dotąd, bo się o jego przywiązaniu, jego miłości przekonała w najcięższych, najsmutniejszych warunkach. Dawniej nie dowierzała mu trochę, nie mogła nigdy uwierzyć zupełnie, aby taki znakomity człowiek, taki artysta, mądry, wykształcony, ładny, miły, otoczony przez tyle pięknych pań, a taki balamut, mógł się zająć naprawdę nią, prostą dziewczyną, która poza Hamburgiem i Bremą nie widziała świata, nie mogła się równać z żadną z tych strojnych bogatych pańien w salonach, o których wspaniałości zaledwie czytała w powieściach i ilustrowanej gazecie po 20 fenigów za numer, pożyczanej jej przez córkę pana pastora.

Wierzyła tylko temu, co jej sam mówił, że mu się podoba, bo przypomina Walkirę, że lubił przypatrywać się jej świeżym, bujnym kształtom, jej gęstym włosom i kruczym brwiom, i bystrym oczom jaskółki, i ustom koralowym, — tym ustom, które po raz pierwszy zadrdzały pod jego pocałunkami...

Marzyła o nim, jak o zaczarowanym królewiczu z bajki, lub legendowym rycerzu i śnił jej się po nocach w srebrnym hełmie z sokolimi skrzydłami, w błyszczącej zbroi, na złotej łódce z zaprzężonym łabędziem, niby Lohengrin, którego widziała raz jeden w breńskiej operze.

— Panowie nasi są jeszcze? — pytała co rano służącej, z obawą czy nie usłyszy zaprzeczającej odpowiedzi; serce jej biło przytem, jak budzik.

A kiedy usłyszała, że nie wyjechali, chociaż prawie wszyscy goście Helgoland opuścili, przymykała oczy i uśmiechała się do siebie, jak w zachwyceniu.

Gdy się rozpoczął okres rekonwelescencyi, nie mogło się doczekać tego dnia, w którym jej doktor miał powiedzieć:

— No, panno Bueno, dzisiaj będziemy mogli wstać z łóżka; spróbujemy, czy nam nóżki nie zanadto zeszytwniały.

I nadszedł wreszcie ten upragniony dzień; pozwolono jej wstać, ubrać się po raz pierwszy po tylu tygodniach, usiąść w poręczowym krześle przy oknie i wyjrzeć na Boży świat.

Modliła się, aby pierwszą osobą, którą zobaczy, był on — Jerzy.

Zdawało jej się, że to powinno-by ją do reszty uzdrowić, że na jego widok odzyskałaby od razu dawne siły, wybiegła do niego, rzuciła się mu na szyję i okrywając go pocałunkami, jak dawniej, wołała:

— Jakiś ty dobry!.. ty mój, mój jedyny!.. dziękuję ci, żeś mnie nie opuścił!..

Dziwiło ją tylko, że tej radości z jej uzdrowienia nikt jakoś nie podzielał z nią, ani ojciec, ani doktor, który tyle współczucia okazywał w chorobie swej pacjentce, ani stara Barbara, która ją pielęgnowała, jak własną córkę; zdawało jej się nawet, iż wszyscy mieli coraz smutniejszą minę, patrząc na nią, że unikali jej spojrzeń i odwracali oczy od niej, jakby z zakłopotaniem. Wyglądali jakoś tak dziwnie zmieszani, gdy im mówiła, że się stęskniła do ludzi i do świata, i że się niewymownie cieszy, mogąc nareszcie zobaczyć słońce, odetchnąć powiewem morza, wyjść znowu choćby na próg domu, z którego tyle tygodni się nie ruszała.

— Matko Barbaro!—prosiła służącej—pomóż mi rozczesać trochę włosy; tak mi się przez to leżenie posuplały, że nie dam rady sama. Jeszcze mi się kołtun zapuścił!.. Matko Barbaro, gdzie się podziało moje lustro?.. może się stłukło, broń Boże!.. a możecie umyślnie przedemną schowali?.. Wiem, wiem, że to niedobrze podczas ospy przyglądać się w lustrze, bo się potem jest dziobata na całe życie!.. pamiętam, że o tem jeszcze nieboszczka mama mówiła. Ale ja przez całą chorobę ani razu w lustro nie spojrzalam, prawda?.. ja byłam ostrożna, choć mnie nieraz taka ciekawość brała!..

Stara służąca słuchała naiwnych wynurzeń dziewczyny i udawała, że się krząta po izbie, ale przy ostatnich słowach nie mogła się już powstrzymać dłużej, zakryła sobie usta fartuchem, aby nie wybuchnąć płaczem, jęknęła żałośnie i uciekła z pokoju.

— Co to znaczy?.. co się jej stało?..

Jakiś niepokój ogarnął ją i straszne przecucie ścisnęło serce dziewczyny.

Czyżby ta pewność, która ją uspakajala podczas całej choroby była tylko dziecinnem złudzeniem, tylko przesądem?.. czyżby to było

prawdą, że ospa musi zeszpecić każdą twarz, nawet taką, która się nigdy w lustrze nie przejrzała pod okropną maską zarazy?..

A jeśli pomimo wszelkich ostrożności, zalecanych niegdyś przez matkę, pozostały na niej ślady niczem już nie zatarte, jeśli to piętno wiecznej brzydoty wycisnęła i jej ospa na gładkich dotąd licach, jeżeli podniosła się z łóżka zmieniona, dziobata, zeszpecona może do niepoznania?..

Słabo jej się zrobiło i uczuła, że drętwieje na całym ciele.

Ostatkiem sił opanowała jednak wzruszenie, podniosła ręce i przesuwając je lekkim dotknięciem po czole i policzkach, próbując przekonać się, czy nie wyczuje pod palcami śladów przebytej ospy.

Ręce jej drżały, zapierała dech w pieszczach, z niepewności i przerażenia; skóra na twarzy wydała jej się dziwnie wydękana, miała wrażenie, jakgdyby dotykała rękoma nie swoją twarz, w niektórych miejscach dotknięcie sprawiało jej jeszcze ból, pod skórą obszliżła i chropowatą wyczuwała wyraźnie kości policzkowe i zastrzone kontury nosa i szczęk.

Fala krwi buchnęła jej ukropem do głowy; zerwała się i pomimo osłabienia, na drżących nogach, które się pod nią załamywały, poszła do komódkki swojej, wysunęła szybko szufladę i zaczęła w niej gorączkowo przewracać rozmaite drobiazgi.

Siły ją opuszczały, więc osunęła się na kolana i szukała czegoś niecierpliwie, pospiesznie, bezładnie, aż drżącymi rękoma pod bielizną namacała małe lustereko składane w blaszanej oprawie.

Zchwyciła je, rozsunęła i spojrzała...

W rozszerzonych z przerażenia oczach przebił się wyraz strasznej rozpacz, zdziwienia i wstrętu.

Rozdzierający krzyk wyrwał się w tej samej chwili z krtani dziewczyny, lustereko z rąk wypadło... schwyciła się w bezmiernym bólu za włosy i targając je, zaczęła się wic po ziemi z okropnym, nieludzkim płaczem, który chwilami przechodził w jakieś zwierzęce niemal skowytanie.

— Boże, Boże, coś ty ze mnie zrobił!.. — wołała, tłukąc głową o podłogę, — potwór!.. potwór!.. potwór!.. — powtarzała — na całe życie!.. Co się ze mną stało, Boże, Boże!.. czemuś mnie tak ukarał, com ja ci zawiniła!.. Ludzie, zabijcie mnie, zakopcie żywcem, abym świata... abym siebie nie widziała!..

Rozpaczliwe, żalodne jęki i płacz nieszczęsnej Bieny rozchodziły się po całym domu.

Devineux, który w tym czasie grał z nudów w szachy z Keergardem, podniósł głowę i doweipkujący, jak zawsze, zawołał:

— Oho!.. zarzynają kogoś!

Ale Jerzy, jakby tknięty przeczuciem, wyszedł z pokoju i poszedł za głosem na drugą stronę domu dowiedzieć się, co zaszło; przez uchylone drzwi zajrzał do izdebki dziewczyny i zobaczył Bienę, tarzającą się po ziemi a nad nią stojącego ojca i osłupiałą z przerażenia Barbarę.

— Cicho!.. cicho!.. nie waryuj!— mitygował ją Dulcken,— ludzie pomyślą, że cię morduje!.. brzydsze żyją na świecie!.. U kobiety twarz nie wszystkim!... cicho bądź, słyszysz?..

Dostrzegłszy za drzwiami Keergarda, pochylił się nad córką i próbując ją podnieść z ziemi, mówił ciszej:

— Ot, pan malarz przyszedł zobaczyć, co się z tobą dzieje!.. Biena, nie bądź głupia!.. cicho raz!..

Usłyszawszy to, instynktem kobiecym zasłoniła sobie twarz, wziętyła resztki sił i porwawszy się z ziemi, skoczyła na łóżko, nakryła sobie głowę poduszką, aby jej nie zobaczył i dygocąc na całym ciełe, zgłuszonym jękiem wołała:

— Nie... nie!.. na Boga, nie wpuszczajcie go tutaj!..

Służąca zatrasnęła drzwi i zamknęła je na klucz.

W kwadrans później stary Dulcken nacisnąwszy czapkę na uszy, biegł po lekarza mieszkającego w dolnym Helgolandzie, aż za Conversationshauzem, a jednocześnie Barbara spieszyła w przeciwną stronę po pana pastora.

Dwóch lekarzy, ciała i duszy. spotkało się w jakiś czas potem u łóżka dziewczyny.

Doktor, zbadawszy chorobę przypisał środek na uśmierzenie nerwów, a z wyrazem litości spoglądając na Bienę, pokiwał głową i podając rękę pastorowi, szepnął:

— Odchodzę; mam nadzieję, że po kroplach biedaczka się uspokoi, ale teraz pan panie pastorze musisz tu zająć moje miejsce!..

Pastor usiadł przy łóżku, wziął chorobę za rękę i zaczął mówić miękkiem, dobrym, pocziwym głosem duszpasterza.

## III.

Na Groede dał zimny, mroźny wiatr z przejmującym poświstem; mały ostrów ubielony śniegiem wyglądał, jak skóra polarnego niedźwiedzia, rozciągnięta na lodach, zielonkawem szkliwem połyskujących w słońcu.

Morze szeptało, z fal dobywały się gadzinowe sykania i szelesty, u brzegów chlupotała woda, wydobywając się przez dziupła poękanej skorupy lodowej i trzeszczały pryskające kry pod naporem przyplýwu...

Z głębi dochodził zgłuszony łoskot, jakby podziemnej kuźni; chwilami wiatr przycichał i w powietrzu przepływał ledwie dosłyszalny brzęk niby tysiąca szklanych dzwoneczków, zawieszonych w przestrzeni.

Okropna pustka wiała od lądu i od morza.

Pobrzeże, narosłe lodownikami, które mróz spajał ze sobą, w wielu miejscach zamieniło się w jakieś fantastyczne okopy; balwany przeskakiwały przez nie i rozlewały się po śniegu, tężając w gładką, szklistą skorupę.

Jedynie dwa domostwa, przysypane śniegiem wydawały się opuszczone, jak gdyby mieszkańcy ich powymierali lub pozasypiali ciężkim snem zimowym.

Stary Jessen zachorował z początkiem jesieni; skarżył się na duszność w piersiach i coraz większą ociążałość w nogach, które go już nosić nie chciały; pokładał się najpierw i stękał, próbując zwalczać niemoc, która się z każdym dniem zwiększała, ale w końcu osłabł tak, że się już ruszać nie mógł wcale i dnie, i noce spędzać musiał w łóżku.

Fred sprowadzał mu doktora kilka razy, lecz to nie na wiele się zdało.

Lekarz opukał, ostukał chorego porozmawiał z nim przyjaźnie, ale spoglądał na niego z widocznym frasunkiem, jakby mówił:

— Mój stary nie wiele się tobie należy!..

I rzeczywiście, nie należało mu się już wiele.

Gdy nadeszła zima, zaczął dogorywać.

Czuł to sam i wiedział, że śmierć po niego idzie.

— Fred!—mawiał do syna wieczorami, gdy obaj zostawali sam na sam,—może to już będzie tej nocy... Jak myślisz?..

— Co takiego?..

— No, co!.. koniec!.. Ja przecież odbijam od brzegu; wiesz dobrze. Kostucha rozpina żagiel... popłyniemy!

Gniewał się, gdy go syn próbował pocieszać i obruszał się na niego za słowa nadziei.

— Góź ty myślisz, żem ja dziecko?.. nie wiem to, co mnie czeka?.. Ja tam śmierci się nie boję; ja się z nią przecież dobrze znam. Mówię ci, że wiosennej odwilży nie doczekam, a kiedy mówię, to wierz!.. wierz i koniec!

Syn siadał przy łóżku ojca na ławie, ręce zakładał na piersiach, wpatrywał się w światło lampy i słuchał, jak stary jęczał i jak mu rzeźrzało w płucach; niekiedy brał Biblię ze stołu i czytywał ojcu powolnym, uroczystym głosem ustępy o Męce Pańskiej.

Przyszły chwile wreszcie, gdy stary zaczynał tracić przytomność, mówił od rzeczy, gorączkował i majaczył.

Wydawało mu się, że morze szumi podczas zupełnej ciszy, że powódź przybiera i fale zalewają dom; dalekie, odległe wspomnienia młodości wstawały w jego wyobraźni i odżywały dawno minione wypadki.

Którejś nocy był bardziej niespokojny i rozdrażniony.

— Fred,—szepnął zdyszczanym, urywanym głosem,—Fred ty siedzisz sobie i nie idziesz na ratunek?.. Fred!.. wyr... wało... cmentarz na Appellandzie!.. widzisz?.. widzisz?.. trumny pływają... o!.. o!.. jedna... dwie... pięć... Nieboszczyków... nieboszczyków woda niesie!.. na nasz dom... patrz, na nasz dom!.. Fred, zamykaj okna... podeprzyj drzwi!..

Przypomniął mu się z czasów dzieciństwa taki wypadek, który się wydarzył na Halligach, kiedy to fale podmyły cmentarz i wypłukały z grobów trumny i niosły je na sąsiedni ląd a jedną nawet zaniosły aż do sieni zalanego powodzią domu, w którym mieszkał sternik Lorenzer, największy pijaczyna i awanturnik na całej wyspie.

Mówiono wtedy, że w trumnie tej były zwłoki jego nieboszczki matki, która umarła ze zmartwienia, i że go to tak przeraziło, iż dostał obłąkania.

Jessenowi zasłyszane okropności przewidywały się teraz w gorączce.

— Fred! — wołał, dusząc się od kaszlu,—zamknij drzwi, mówię ci!.. trumna, o!.. trumna we drzwiach!.. nie widzisz?.. drzwi... drzwi...

Podniósł się na pościeli z wyrazem grozy w oczach i spoglądając ku drzwiom, które rzeczywiście skrzypnęły w tej chwili, jakby je kto nieśmiało uchylił od sieni.

Fredowi, odważnemu z natury, ciarki przeszły po grzbiecie...  
Spojrzał i podniósł się z ławy.

Drzwi były uchylone, za drzwiami ktoś rzeczywiście stał; zamajaczył się jakiś cień w ciemnościach.

Przez chwilę nie dowierzając sobie, czekał i nie poruszał się z miejsca.

Głos ojca naglił go i coraz niespokojniej szeptał:

— Trup!.. trup we drzwiach!.. drzwi... słyszysz?.. drzwi!..

Wziął lampkę ze stołu i poszedł zobaczyć, czy niema kogo za drzwiami; na progu jednak stanął, jak wryty.

W sieni przytulona do ściany kulila się nieśmiało jakaś postać kobieca, okutana w opończę śniegiem przysypaną, w szarej chuście na głowie; była odwróconą od niego i twarz miała zupełnie zakrytą.

— Kto tu?—spytał zdziwiony bardziej niż zalekniony niespodziewanym widokiem.

Odpowiedzi nie było.

— Kto tu?..

Wyszedł do sieni i przyświecał sobie lampą.

— Co to znaczy?.. czego chcecie po nocy?..

Postać kulila się i drżała widocznie, obawiając się głosu wydobyc.

Podszedł jeszcze bliżej i położywszy jej rękę na ramieniu, próbował zaglądnąć pod spuszczoną na twarz chustę.

— Kto ty?..—powtórzył jeszcze raz, ale już groźniej.

Z pod chusty nieśmiały, pokorny głos kobiecy odezwał się wreszcie:

— Fred... to ja!..

Dźwięk tego głosu dreszczem go przejął.

W pierwszej chwili był tak zmieszany, że zmysłów zebrać nie mógł; cofnął się o krok i oprzytomniawszy dopiero, spytał znowu:

— Co za ja?..

— Ja... Biena!—usłyszał szeptem odpowiedź.

— Biena?!.. ty tutaj?..

Lampa zadrzęta mu w ręce tak silnie, że aż szkło zabrzękło.

Nie ufał własnym zmysłom, nie mógł się oswoić z rzeczywistością, nie mógł uwierzyć temu, co widział i usłyszał!

Dziewczyna stała przytulona do ściany, odwrócona od niego i od światła, nie odkrywając twarzy.

Musiał dopiero opanować wzruszenie, które nim w pierwszej chwili owładnęło i po długim przestanku spytał głosem oschłym, zimnym, niemal surowym:

— Czego chcesz odemnie?..



Słumione łkanie odezwało się w jej piersiach.

— Przyszłam... do ciebie. bo sobie miejsca znaleźć nie mogę, — rzekła przez łzy, — nie wypędzaj Fred!..

Zniżyła głos i z jakąś strasznie bolesną prośbą dodała po chwili, przemógłszy żal, wstyd i upokorzenie:

— Miej litość nademną, Fred!.. musiało mi być bardzo źle, skoro przyszłam... Bądź dobrym!..

Podniósł lampę i otwierając drzwi do przeciwległej izby, która stykała się z kuchnią, głucho rzekł:

— Wejdz tam!..

Przepuścił ją przed sobą, lampę postawił na stole, zapalił u komina kaganek i wrócił z nim w pierw do ojca.

Na kominie dogasał ogień i syczały wilgotna szczapy, zwęglone już do połowy.

Biena wybrała najciemniejszy kąt w izbie i usiadła na ławie, zajmującej długość całej ściany; spuściła głowę i oparła czoło na dłoniach.

Cisza była taka, że słycać było głuchy szelest śniegowych płatków, spadających za oknem na szyby; z drugiej strony sieni dochodził astmatyczny głos Jessena, i tykotanie ściennego zegaru ze złoconemi syrenami.

Stary się widocznie uspokoił i wpadał w drzemkę z osłabienia; trwało to jednak dość długą chwilę, zaczem Fred mógł odejść od jego łóżka i stanąć znowu przed Bieną.

Przez ten czas opanował się zupełnie, nie było znać na nim, ani wzruszenia, ani zdziwienia, ani poprzedniego zmieszania; wszedł do izby z twarzą smutną i poważną, odszukał spojrzeniem Bienę, zatrzymał na niej wzrok i podszedł do komina rozgrzebywać gasnące ognisko żelaznemi widelkami.

Z pod popiołu wyskakiwały iskry, zupełnie jak przytłumione w jego sercu uczucia...

I oto teraz niespodzianie spotykał się z tą, którą przez kilka lat kochał tak gorąco, a która wzgardziła jego miłością, która pozwoliła temu sercu zwęglić się i spopielić w cierpieniu, w tęsknocie, w zawołach i upokorzeniach.

I oto teraz sama przyszła, jak wilczyca zgoniona po śniegach, pod próg jego chaty, przyciśnięta wielką nędzą duszy, zbiedzona i zgnębiona już tak, że nigdzie indziej miejsca znaleźć sobie nie mogła, — przyszła prosić o przytułek przez litość!..

I oto teraz mógłby ją wytrącić za próg na śnieżycę, na tę pustkę okropną, jak ona wytrąciła jego miłość, która podchodziła do niej pro-

się i lasić, jak pies wierny i dobry, a odpędzana szorstko czy szyderczo, powracała znowu, i znowu powtarzała:

— Weź mnie!.. weź!.. spróbuj choć wziąć!..

Los dawał mu sposobność teraz do odwetu, do okrutnego zadośćuczynienia, gdyby tylko zechciał, — ale już nawet nie umiał chcieć.

Co mu potem?.. ktoby tam zemsty szukał nad kobietą za miłość lekkomyślnie podeptaną!.. na co by się to zdało?..

Od wiosny tego roku zaszła w nim taka zmiana, że siebie sam nie poznawał; zdawało mu się, że tę jego biedną, umęczoną, skrzywdzoną miłość przybito do krzyża goździami w samotnem sercu, że z niej tyle krwi upłynęło, tyle łez wyciekło, tyle duszy uleciało, iż tylko jej trup wisiał milczący, błądy, niemy, z oczyma otwartymi i z ostatnim bolesnym jękiem na ustach.

On przecież wiedział wszystko, co zaszło na Helgolandzie w tym czasie; wiedział o szczęśliwym swoim rywalu, o schadzkach potajemnych z Keergardem, o ospie, która ją tak potwornie zeszpecila, nawet o jej rozpacz, nawet o ucieczkę Duńczyka z Francuzem, którą im ułatwiła, gdy przyszła znowu do równowagi.

Bohm mu to wszystko opisywał w listach i przysyłał sprawozdania szczegółowe ze wszystkiego, co się działo; — każdy taki list był jak uderzenie młotka w gwoździe, któremi do krzyża miłość jego przybito.

I oto teraz nie był już niczego ciekawy, o nic nie miał pytać, tylko o to, jak się tu dostała w noc śnieżną i ciemną, sama bez przewodnika, po lodach stężalych na morskim brodzie między Groede a Appellandem.

Taką drogę nie każdy mężczyzna-by przebył.

Musiała ją prowadzić jakaś wielka rozpacz, jakaś pogarda wszelkiego niebezpieczeństwa, nawet śmierci, kiedy się na to odważyła.

Rozbijał głównie widelkami i rozmyślał o tem, czy odezwać się do niej, czy czekać, aż jej dusza sama odtaje, a ciepło z komina ogrzeje trochę skostniałe jej ciało?..

Wolał czekać; nie pilno mu było do rozmowy z nią.

Albo to mieli sobie jeszcze co do powiedzenia?.. Bóg widział, że nic ważnego; co najważniejsze już dawno sobie powiedzieli i na tem był koniec wszystkiego między nimi.

Choćby ta noc trwała zimę całą, mogliby tak we dwoje siedzieć w tej izbie przy blasku gasnącego łuczywa i milczeć; przynajmniej on, bo mu już wszystko jedno było, co usłysz, choćby mu nawet teraz rzuciła się do kolan i wołała:

— Fred, kocham cię!.. ciebie jednego na świecie!

Dziś mu to obojętnem było, co mu powie ta Bienna, ta druga, która była dlań zupełnie obcą, tak niepodobną do tamtej Bienny z przed roku, jak zima do wiosny!

Zresztą, zmęczone serce pragnęło tylko spokoju i wypoczynku; nie chciało ani kochać, ani być kochanem, przynajmniej przez jakiś czas.

Nie, nie mieli sobie nic do powiedzenia w takiej chwili spotkania, więc w izbie panowało głucho milczenie; tylko wilgotne drewnianka syknęły jękliwie co pewien czas, tylko za oknem bawelniane skrzydła śnieżycy muskały szyby, tylko zegar tykotał po drugiej stronie sieni i słychać było stękający oddech starego Jessena.

Ona też nie śmiała się odezwać; siedziała na ławie, zasunięta w kącie, z głową na dłoniach opartą i drżała lekko, jak ćma przy świetle.

Nie mogła znaleźć wyrazu, którym-by pierwsza przemówiła do Freda; było jej tak, jakby spadła na samo dno morza i żyła jeszcze — czuła nad sobą przepływający bezmiar, który ją przytłaczał swoim ciężarem, okropny chłód, przejmujący aż do szpiku kości, bezgraniczną pustkę, w której każda myśl zblakana ginęła beznadziejnie...

Był czas, kiedy kobiety upadły i wiarolomne na wyspach fryzyjskich karano śmiercią, — rozbierano je do naga, wleczono w nocy na brzeg morza i ze skał lub piaszczystych ławic strącano w otchłań z nogami związanymi.

Mężowi, ojcu, bratu przysługiwało prawo zabicia zhańbionej, — prawo srogie i okrutne, ale jeszcze laskawsze od sromotnego życia bez oparcia, bez nadziei, bez spokoju pomiędzy ludźmi.

— I czemu mnie nie zabili?.. ani ośpa nie chciała mnie zabić, ani ojciec, ani on. ani nikt!.. I czemu mi śmierć zrobiła taką krzywdę?.. czemu nie zabrała, kiedy mogła?.. Każą żyć i żyć teraz, kiedy niema po co i dla kogo!

Przychodziły jej takie myśli niustannie i rzuciły się w mózgu, jak ryby w sieci.

Niekiedy stawało jej przed oczyma widmo z ohydą twarzą o skórze plamistej, pościąganej i porytej, jak cerowana szmata, o zapadłych oczach zaczerwienionych i powiekach z wyskubaną rzęsą, z wydartymi brwiami, i mówiło do niej:

— Patrz, to ty!.. poznajesz jeszcze siebie?.. to ty, ta ładna Bienna, która była tak dumną ze swojej kraszy, w której się tylu chłopców kochało, z którą Fred Jessen chciał się żenić i trzy lata nadarmo przyjeżdżał z oświadczeniami; to ty, którą nazywano perłą Helgolau-

du, którą całował, malował, po świecie rozślawić chciał Jerzy Keergard, sławny artysta!..

Wtedy porywał ją taki ból szalony, taka rozpacz, taki gniew, że gdyby mogła, byłaby tę wstrętną maskarę podarła pazurami i zdrapała ohydną maskę, w której własną twarz poznawała.

Nie czuła żalu do nikogo, oprócz losu i śmierci.

Chwilami jednak pokorniała i kulila się w sobie, jak dziecko, które ciężko zgrzeszyło, a wtedy jakiś głos szeptał jej w duszy:

— Nie bluźnij!.. cierpl!.. to Boża kara!..

Pan pastor mówił jej coś podobnego, kiedy ją pocieszał i uczył cierpliwie, z poddaniem się znosić po chrześcijańsku niedolę, bo Chrystus Pan, Bóg i Zbawiciel za grzechy ludzkie więcej znosił i na krzyżu umarł za nieprawości tego świata, który potrzebował odkupienia.

Wówczas nie wnikały do zwichrzonej duszy dziewczyny łagodne słowa duchownego pocieszyciela, ale potem wracały coraz częściej i przypominały się, jak upomnienie, jak przestroga, jak groźba.

Trzeba cierpieć, bo człowiek każdy czemś w życiu na cierpienie zasłużył, jeśli nie za własne winy, to za cudze... trzeba odcierpieć cierpienia drugim zadawane... trzeba oddać lzy za lzy, krew za krew, życie za życie.

To już tak, i tego człowiekowi nie zmienić, bo ktoś wyższy, mędrszy, sprawiedliwszy takie prawa układał.

Mówiła to sobie nie raz, nie sto razy, obruszała się, buntowała, ale w końcu zszarpana skłaniała głowę, czując swoją bezsilność i przygębienie pochylało ją, jak morski wiecher karłowate drzewiny na Halligach pochyla, nie pozwalając im nigdy podnosić prosto w górę zielonych wierzchołków.

Ot, los!.. dla drzewa i dla ludzi jednaki.

Drzewo wytrzyma, choć rośnie pochyle, ale człowiek upada, gdy się zegnje zanadto pod ciężarem trosk i bólów; bez równowagi nijako chodzić po świecie nie mając oparcia.

Takie myśli kotłowały się w głowie dziewczyny, zanim się odważyła rzucić wszystko i uciec na tę samą Groedę, na której „foki z nudów zdechały”, którą gardziła i pomiatała wówczas, gdy ją Fred żoną chciał tu przywieść.

Ale na Helgolandzie było gorzej, niż w piekle. zwłaszcza odkąd zniknęli dwaj jeńcy wyspiarzy; dowiedziano się zaraz, kto im pomógł do ucieczki, kto ich łodzią przewiózł w nocy na statek, kto im pozwolił umknąć, bo ona sama nie chciała tego w tajemnicy trzymać.

— Ja ich przewiozłam!.. ja namówiłam sama!.. ja odpowiadam! — przyznała się ojcu, który się pienił i wściekał, ale mu się nawet nie chciała tłumaczyć, dlaczego tak zrobiła.

Czyżby on był zrozumiał?.. jemu żal było tych talarów, które na wieki wpadły w morze niepowrotnie, razem z Francuzem i Duńczykiem.

Tak sobie obliczał, tak rozumował, takie chytre plany układał, żeby mu się jego zgryzoty i ojcowski honor sownie oplaciły, a tu wszystko obróciła w niwecz właśnie wyrodna córka,—wyrodna, bo się pozwoliła zbałamucić, ale jeszcze wyrodniejsza, bo naraziła ojca na straty i krzywdy niczem niewynagrodzone.

A sezon tegoroczny był nieszczególny,—wiedziała przecież o tem; nawet bardzo marny był sezon.

Żeby chociaż owe dziesięć talarów za pozowanie można było od malarza wydusić, ale i to było stracone; ona się i o to nie upomniała,—wyrodna córka!..

Skoro tylko o tyle do sił przyszła po ostatnim ataku, że mogła utrzymać się na nogach, wykradła się nocą ze swego alkierza, gdy wszyscy posnęli, poszła do Keergarda, osłonięta tak, że oprócz oczu, nie mógł dojrzeć wcale jej twarzy i powiedziała mu:

— Jedź!.. wracaj do swoich, nie zważaj na mnie, nie zważaj na nic; wszystko między nami skończone.

A jakim głosem mu to powiedziała!.. przy każdym słowie odrywała kawalek żywego serca.

Musiała jednak tak zrobić, musiała mu zwrócić wolność, bo po co miała go zatrzymywać?.. po to, aby ją kiedy przy świetle dziennem zobaczył i wzdrygnął się ze wstrętem i uciekł od niej, jak od widma?

Nie byłaby tego przeżyła; wołała go się pozbyć i utracić na zawsze, byle tylko w oczach jego nie wyczytać odrazy.

Jedno jedyne kłamstwo popełniła przed ojcem; to nie ona sama ich przewiozła do statku, na to sił jej nie starczyło, ale pomogła im zejść boczną ścieżką na dolny brzeg i po ciemku sprowadziła ich aż do miejsca, gdzie była ukryta łódź.

— Popłyńcie,—mówiła im— a potem łódź zostawcie samą na wodzie; fale ją odniosą do brzegu. Niema dbać o co!..—a w duszy dodała z okropnym smutkiem:

— Przecieżem ja porzucona tak samo, jak ta łódź na morzu!.. tylko mnie do żadnego brzegu woda nie odniesie.

I popłynęli, a ona została w ciemnościach sama jedna, jak ta muszla wyrzucona na piasek i patrzyła w czarną noc z duszą ciemniejszą od nocy.

Bóg jeden wiedział, co się z nią wtedy działo, gdy statek ryknął, jak morski potwór i zaszumił kołami, i odpływać zaczął!..

Ona sama nie byłaby umiała wypowiedzieć tego nikomu.

Przykucnęła na ziemi, palce wpiła w wilgotny piasek, usta gryzła i jęczała; nie mogła już ani płaczem wybuchnąć, ani krzyknąć z szalonej rozpacz.

Ale to nie był jeszcze największy ból; miała go doświadczyć dopiero później, gdy jej zdarto z serca ostatnie złudzenie i gdy się dowiedziała, że on nie przez miłość, nie przez przywiązanie, nawet nie przez współczucie pozostał tak długo na wyspie, tylko pod przymusem, — że nie odjechał, bo mu odjechać nie dano, zanim „rachunków nie ureguluje.“

I to dopiero do reszty ją zgmiotło.

Wtedy już ją wszystko boleło i wszystko klulo w serce, w oczy, w każdy nerw, w każdą cząstkę duszy zranionej.

Nie mogła sobie miejsca znaleźć w domu, bała się spojrzeń ludzkich, kryła się, jak osaczony zwierz w norze; obłąd się jej czepiał w końcu.

Przyszła jeszcze zima w dodatku do wszystkiego złego, mroźna, biała, wyjąca po nocach wichrami, koląca w dzień, jak igłami z lodu.

Wtedy już dłużej nie mogła wytrzymać i uciekła na Groede.

Mówiła sobie, że tam jest pusto, jak w grobie, ale i jak w grobie spokojnie, że na tem bezludziu za światem, na tym wystrzępionym skrawku ziemi jest jedna dusza, zapoznana przez nią wprawdzie, lecz dobra i szlachetna, która się pewnie ulituje jej doli mimo wszystko.

Więc poszła z pokorą prosić o cichy kąt u Freda Jessena, zanim się Bóg zmiluje nad jej nędzą.

I oto teraz pod jego dachem siadła, przy jego ognisku, jak rozbitek, jak pokutnica, jak wygnanka, korzystająca z jego łaski, bez przebaczenia.

Bo odczuła to od pierwszej chwili, zrozumiała z pierwszych słów jego, że jej nie przebaczył, choć od progu nie odpędził.

A kiedy go widziała takim smutnym, milczącym i zadumanym, serce w niej drżało, jak te płatki śniegu za oknem, i bało się czegoś własnego tętna.

Oto czemu nie śmiała się odezwać i przemówić do niego.

Mówiła za to sobie:

— I po coś tu przyszła?.. tu także niema miejsca dla ciebie; czemuś nie chciała wcześniej się tu wybrać, gdy cię błagał i zaklinał, abyś wyszła za niego?... Zawadą jesteś i sobie, i ludziom, i jemu!

Zebrało jej się po raz pierwszy od tak dawna na cichy, smutny, żaloszny płacz, lecz zacinała usta, aby jej szlochania nie usłyszał.

Z drugiej izby naraz wyrwał się jakiś chrapliwy, zduszony krzyk i wołanie:

— O Jezul!.. Fred!.. Hamonia!.. na pomoć!.. toniemy... to... nie... Fred!..

Stary Jessen zbudził się, trapiiony widmami snów i gorączki; syn pośpieszył do niego, porywając światło ze stołu,—w ciemnej izbie została Biena sama.

Słyszała kaszeli przejmujące charczenie astmatyka, słyszała urywanym, coraz bardziej słabnącym głosem pojedyncze wyrazy, bez ładu i związku, słyszała, jak ojca uspakajał Fred i przemawiał do niego słowami, pełnami dobroci i troskliwości synowskiej—i przez tę chwilę zapomniiała zupełnie o sobie.

Porwał ją lęk, jakby czuła w ciemności śmierć, stojącą pośrodku izby i namyślającą się, którą wybrać ofiarę, — ją, czy tego starca, duszącego się w gwałtownym paroksyzmie gorączki i astmy?..

I wybrała jego, by krócej od niej cierpiał na tej ziemi.

Musiało być dobrze po pół nocy, gdy po drugiej stronie sieni, w paradnej izbie Jessenów, nastąpiła głęboka, ponura, przerażająca cisza...

Biena drżała na ławie, wyteżając słuch, i wstrzymywała oddech, aby ułoić uchem choćby najłżejszy szmer.

— Co się tam stało?.. — myślała, — czemu tak wszystko umilkło teraz?.. stary Jessen zasnął, czy umarł?..

Instynktownie podnosiła się z ławy, ale nie śmiała podejść bliżej i zaglądnąć przez drzwi; czuła, że tam miejsce nie dla niej w takiej chwili, że jest obcym intruzem w tym domu, do którego nie chciała wejść, jako żona i synowa, gdy jeszcze godną tego była.

Podniosła się jednak raz jeszcze i cicho, na palcach, jak cień przesunęła się koło komina ku drzwiom, przeszła ciemną sień i stanęła w otwartych drzwiach.

Dalej jednak nie śmiała już kroku postąpić.

Na łóżnicy leżał na wznak stary Jessen, w ręce trzymał jeszcze zgaszoną gromnicę, a na ławie przy stygnących zwłokach ojca stał Fred z twarzą, zakrytą rękoma, z głową pochyloną, jakby w modlitwie, lub bolesnej zadumie, i płakał.

Przez palce przeciekały mu powoli gorące łzy i błyszczały w świetle lampy, jak krople rosy...

Dziewczyna patrzyła, stojąc za progiem i cicho, powoli obsuwając się na kolana.

Majestat śmierci roztaczał swoją uroczystą grozę dokoła; nawet morze zdawało się w tej chwili przytłumiać oddech wśród cichej, białej, zimowej nocy.

Wlokły się dnie na Groede, jak leniwe fale przez mieliznę; jeszcze smutniej, jeszcze puściej zdawało się na skrawku ziemi.

U Japa Frerksa od czasu śmierci szwagra, nawet światełko w oknach nie błyskało wieczorami.

Puszczyk nie kontrolował więcej Szczura; o zmroku kładł się teraz spać, nie zapalając nawet lampy.

Nie wychodził przed dom, przypatrywać się niebu i morzu; osowiał i zdziczał jeszcze bardziej, choć wiedział, że tylko we dwóch pozostali na Groede, — on, stary, biedny odludek i siostrzeniec, z którym go nawet śmierć ojca nie zbliżyła.

Za pogrzebem szwagra szedł zdaleka, odbity umyślnie od gromadki starych przyjaciół z Appellandu, aby się do nikogo nie zbliżyć i z nikim słowa nie zamienić; przy cmentarzu gdzieś zginął ludziom z oczu i chyłkiem, z poza płotu, przyglądał się ukryty, jak grzebano dawnego druha i nieprzejednanego wroga.

Twarda w obu była natura, — natura prawdziwych Fryzycyków, wiernych w przyjaźni, ale pamiętnych urazy aż do śmierci, aż poza grób.

Fred pozostał sam w opustoszałym jeszcze bardziej domu.

Wydawał się spokojnym, lecz bardziej posępny i zadumany wyraz osiadł mu na twarzy; zamykał się w izbie z łożnicą, na której umarł jego stary, i późno w noc czytał, lub zajmował się matematyką, przerabiając kursa z czasów szkolnych.

Wyczekiwał wiosny.

Nie było nawet znać po nim, co czuje i o czem rozmyśla w swej samotności.

Zasklepił się w sobie zupełnie, jak ślimak, i nie okazywał potrzeby dzielenia się z kimkolwiek nawet słowami. Odwykał od mówienia, — najlepiej zdawało mu się być z samym sobą i milczeć.

Na morze tylko lubił patrzeć tak samo, jak ojciec, i badać je okiem strażnika na czatach.

Niekiedy tylko, gdy już dobry zmrok zapadł, wychodził na dwór i po cichu podsuwał się pod narożnik domu, w którym mieściła się izdebka Bieny Dulcken.

Pozwolił jej zostać u siebie, przygarnął i dał cichy kąpiel pod swoim dachem, aby nie potrzebowała wracać do ojca i tulać się między ludźmi.



Chciała od niego tylko litości,—okazał litość; cóż więcej mógł jej dać ze spopielałego serca?..

— Nie bój się, ja ci zawadzać nie będę!—powiedziała mu—przybłąkanego psa-byś przygarnął, jam nieszczęśliwsza już od psa; ty to wiesz!

Nie odrzekł nic na to, choć mu się ręka sama szarpnęła takim ruchem, jakgdyby chciał ją ku niej wyciągnąć, lecz się powstrzymał i odszedł.

A jednak pod jej okno wychodził i patrzył przez szczelinę w firance, gdy zapomniała szczelnie ją zasunąć.

Widywał ją z głową opartą na rękach, nieporuszoną, siedzącą przy stole. odwróconę plecami do okna i zadumaną zawsze jednako; w dzień krzątała się trochę w kuchni lub przy gospodarstwie, jak najmitka, aby chleba nie jeść darmo u niego, ale unikała z nim zetknięcia i rozmowy.

Mijały tak całe dnie i tygodnie, że z sobą słowa nie przemówili; nieraz przez jedną i dwie doby nie widywał jej wcale, tylko po oczach smutniejszych, głębiej zapadłych i opuchłych poznawał, że przeplakała parę nocy.

Czasami, gdy mróz zelzał i gwiazdy się roziskrzyły, widywał na śniegiem zawianych rozłogach krążącą postać ciemną, snującą się powoli, jak widmo po wyspie.

Wodził za nią oczyma i śledził, nie zbliżając się nigdy, jak krążyła wzdłuż wybrzeży i przy lodowiskach, zapatrzona w dal i zasłuchana.

Gdy powracała ku domowi, schodził jej z drogi, aby go nawet nie spostrzegła.

— Nie kochała mnie nigdy, — mówił sobie, z głęboką bruzdą na czole; —chodzi i myśli tylko o tamtym!

Nie kochała go i teraz, to prawda, ale czuła dla niego wdzięczność za to, że jej przytułku nie odmówił i nie mścił się na niej za wzgardzone uczucia.

Dziś oprócz bólu serdecznego, nie było między nimi żadnej wspólności, żyli pod jednym dachem, jak para nieuleczalnych biedaków, każde ze swoim smutkiem osobno i ze swoim własnem cierpieniem.

Mijała zima, dnie robiły się dłuższe, po niebie kłębiły się jaśniejsze obłoki, przez które wytryskiwały już złocistsze pęki promieni słonecznych; lody zaczynały skrzypieć i pryskać, jak solą przysypane, morze huczało znowu swobodniej, grzbiety balwanów srebrzyły się pienistą grzywą, ku lądowi spływały północne kry.

Zanosiło się na wczesną wiosnę.

Codziennie niemal zlatywał gwałtowny wieher, czuchrał powierzchnię morza i wymiatał śniegi z ziemi, unosząc jej tumany skrzące w powietrzu, łomotał o dachy i ściany domów, jakby pobudzał do czujności i ostrzegał ludzi przed nadciągającą grozą.

Na Halligach gotowano się do odpierania wiosennych szturmów morza.

— Za wcześnie chuchnęło słońce! — mówiono sobie, — lichy się zbuzdzi w tym roku prędeż, będzie bieda!.

Przewidywano nagle roztopy i powódzie większe, niż kiedy; niebo i morze przybierało wyraz niepokojący.

Starzy ludzie, którzy się na tych oznakach rozumieli, zasepiali czoła z frasankiem, wychodzili na brzeg i przyglądali się morzu w milczeniu, posyłając w dal spojrzenia, jakby upatrywali zbliżające się niebezpieczeństwo.

Na Groede usypały fale istne barykady z kier i zawałiły całe pobrzeże lodowym szańcem; stężale złomy zgrzytały na wietrze, tajały do strony słońca i z hukiem spadały ze szczytu tych cyklopowych murów na ląd, a z pluskiem w morze, czołgały się po piasku, jak żywe, unoszone falami podczas przyływu.

Wystraszone mewy z urywanym skrzekiem latały nad brzegami i uciekały w głąb wyspy.

Przeszło kilka mniejszych burz, które powyrywały nowe szczyby i okroiły znowu kawał ziemi od strony Japa Frerksa.

Obie sadyby były w tym roku szczególnie zagrożone.

Fred Jessen poszedł przed dom wuja obejrzeć szkody i po raz pierwszy spotkał się z nim oko w oko; zbliżał się czas, w którym przemawiali do siebie i w wspólnem niebezpieczeństwie zapominali o rodzinnej rozterce.

— Niesie! — mrucał Puszczyk, zrobiwszy głową ruch w stronę morza.

— A niesie! — spokojnie powtórzył Fred.

— Dmie trzeci dzień!

— Dmie.

— Pilnuj! — rzucił mu stary ponuro, niby hasło bojowe.

— Pilnuję! — brzmiał odzew krótki, stanowczy, energiczny.

Rozeszli się potem bez jednego słowa więcej.

Po nocach w obu domach paliło się światło aż do ranka, a z kominów błyskały ogniska.

Ozuwano ze zdwojoną gorliwością.

Nareszcie którejs nocy wiatr zaczął formalnie ryczeć, kładł się na morze i wygniatał w nim głębokie doły, dudnił po krach jakby tyśiączne tabany dzikich słoni pędził przed sobą.

Wrywał krze, łamał drzewa, trząsł domami, że krokwie i belki w nich trzeszczały i pękały wiązania dachów.

Na Groede od trzech dni They Toode siedział u Jessena w kuchni, przyniósłszy pocztę, bo się bał wracać w taką wichurę.

Zaprzyjaźnił się Bieną i jakby odczuł jej niedolę, wieczorami do późnej nocy przykucnięty pod piecem na ziemi, przesiadywał w jej izbie z miną głupkowatą i na migi pokazywał jej, żeby się nie bała.

— Awa... awa... ba-ba!.. ha... ha... ha!—mówił coś w swoim języku nie ludzkim i wygrażał pięścią w stronę morza, od którego szedł łoskot i huk, i szum zatrwarzający.

Pod domem Frerksa i Jessena stały całe rusztowania z belek i łodzi, uwiązanych na łańcuchach, worki piasku, beczki z kamieniami, ochraniające ściany od naporu wód i lodowców.

Do dachów przystawiano drabiny, uprzętnięto strych, aby na nim w razie potrzeby pomieścić bydło i owce, i uchronić je od potopu.

Trzeciego dnia uragan się formalnie wściekł, wyteżył największą siłę i uderzył z taką gwałtownością, że się zdawało rozdmuchnie całą Groedę, jak kupę lotnego piasku.

Morze przypuściło nowy szturm, bombardowało skrawek ziemi, pluło pianą i ciskało kry wielkości całych domów a bałwany sięgały aż pod próg Fredowej sadyby.

Kłęska wydawała się niechybną

Z obu domów wybiegło wszystko, co żyło, na ratunek.

Młody Jessen i Frerks, i They Toode i domownicy, razem pięciu mężczyzn, i parę kobiet, a z nimi Biena Dulcken, schwyciwszy drągi, bosaki, drabiny, stanęli do walki z dwoma żywiołami, — z uraganem i morzem.

Garstka ludzi szarpanych wichrem, zalewanych wodą, wyteżała wszystkie siły, opierała się z szaloną odwagą podwójnym szturmom; własnymi piersiami zasłaniała ten płat ziemi, skazany na pożarcie.

Fred objął komendę.

W długich powyżej kolan butach, w krótkim kożuszku, w futrzanej czapie z klapami na uszach, uwijał się jak tryton brodzący po kolana w wodzie, rzucał gromkim głosem krótkie rozkazy, przykładając rękę do ust, aby mu wiatr słów nie rozwiewał.

Wszędzie był pierwszy, gdzie trzeba było przeciąć drogę niebezpieczeństwu, spychać kry, wskakujące na brzegi, tamować zalew, chwycić porywane drwa, beczki i łodzie, podierać zręby domów, wyciągać bydło z obory.

Przytomnie, odważnie, szybko kierował ratunkiem, jak wódz na okopach twierdzy, z hasłem na ustach:

— Zginać a nie poddać się!..

Zbudziła się w nim cała energia, cała tężyzna, całe poczucie odpowiedzialności i potrzeby poświęcenia w tej groźnej chwili.

Na straconej placówce stanął, jak lew.

Nie dawał się zatrwożyć ani rykiem wichru, ani łoskotom morza, ani pociskom balwanów; z ślepym żywiołem i martwą naturą podejmował zaciętą walkę, niby z żywym wrogiem i od czasu do czasu, wyrzucał z pełnej piersi okrzyk.

— Bóg z nami!—który wichur porywał i targał zaciekle, jakby się wściekał i pastwił nad tą bohaterką wiarą jednego światka, stawiającego opór dwom sprzymierzonym potęgom.

Zziazane morze darło się coraz zażarciej na ląd, smagane biczami wiatru i wyrzucało bryły lodu, które po topniejącym śniegu i mokrych piachach ślizgały się, jak olbrzymie kule i natrafiając na przeszkody, podskakiwały w górę i spadały pogruchotane.

Trzeba było spychać te zwaly, aby się nie spiętrzyły zanadto i nie tworzyły zatorów.

Kiedyś tam miało je słońce roztopić i rozlać napowrót w morze.

Ale przedtem należało je kruszyć i rozsypywać, by się nie wciśkały jedne na drugie i nie parły naprzód, jak wędrujące góry.

Powódź wzmogła się tak, że już trudno było brodzić dłużej w wodzie po pas;—nadeszła chwila jeszcze groźniejsza, w której ratunku należało szukać na łodziach, bo woda przecięła dostęp do brzegów, a morze coraz silniej zwartym wałem lodów zaciskało wysepkę od strony północy i zachodu.

Jap Frerks przedarł się przez szumiące tonie do siostrzeńca i ochryplym głosem krzyczał:

— Fred!.. jeśli wieczorem mróz chwyci, zginiemy!

— Niech chwyci!—odwrzasnął mu Jessen,—nie damy się!

— Ziąb wieje!

— To się ruszajcie, będzie ciepłej!

Stary posiniałym od zimna palcem wskazał na wprost przed siebie.

— Widzisz, co się tam dzieje?..

— No cóż?.. zator!

— Zwali się prosto na twój dom!

— Jeżeli zdąży!..

— Nie damy rady!—krzyczał stary, usiłując przekrzyczeć szum morza i wichru.

— A mina od czego?.. wysadzimy go w powietrze!

Z temi słowami wskoczył do łodzi, aby podплыnąć ku domowi, który jeszcze nie był zalany powodzią; przez otwarte okna wpadł do

izby i ze skrzyni wyjął parę ciężkich nabojuów, lont siarczany, zwój drutu i schował to wszystko w zanadrze.

Potem tą samą drogą przedostał się znowu do łodzi, schwycił wiosła i gdy się miał odepchnąć na wodę, spostrzegł nieopodał stojącą Bienę.

Zawahał się chwilę, podał jej wiosło i zawołał:

-- Siadaj ze mną!.. popłyniemy zakładać minę!.. będziesz mi pomocną.

Dziewczyna w męskich butach z cholewami, w zakasanej spódnicy, owiązana chustą wełnianą, stała po kostki w wodzie, jak ogłuszona.

Zdawała się nie rozumieć jego słów; musiał powtórnie zawołać na nią, wtedy dopiero poskoczyła ku niemu, i machylnie zajęła miejsce na dnie łodzi, która wśliznęła się w szumiące fale i pomknęła ku lodowym złomom.

Płynęli pod wiatr.

Im bliżej zatopionych brzegów, tem częściej uderzała lódz o kry tamujące jej drogę; wreszcie musiała utknąć.

O kilkanaście kroków piętrzył się olbrzymi zator i chwiał, jak kolos ciężki, niezgrabny; aby dojść do niego, trzeba było z narażeniem życia przeczolgać się prawie po krach zczepionych z sobą, jak głazy i wydostać na resztki przerwanej tamy, które powstrzymywały jeszcze napierające lody.

Fred doświadczenem okiem powiódł w koło i ocenił niebezpieczeństwo takiej przeprawy, — ale wiedział, że jeżeli nie uda mu się miny założyć i wybuchem zdruzgotać tej góry, to za godzin parę ona urosnie jeszcze bardziej i zgruchocze mu dach starego domu.

Upatrzył najpewniejsze miejsca do przeprawy, i nie namyślając się dłużej, postawił nogę na krawędzi barki, by wyskoczyć z niej.

W tej chwili uczuł, że go Biena ręką przytrzymała.

— Pójdę z tobą.

— Po co?..

— Nie dasz sobie rady.

— Dam; pilnuj lepiej łodzi.

— Nic się jej nie stanie, nie bój się!

Chciał ją jeszcze zatrzymać, ale uprzedziła go i zręcznym ruchem wydostała się na rumowisko lodowców, uwięzłych w pobliżu tamy.

Zaczęli postępować naprzód, powoli krok za krokiem, ostrożnie badając wiosłem drogę przed sobą, aby nie natrafić na zdradne miejsce i nie przeważyć, której kry źle osadzonej.

Ślizgały się im nogi w ciężkich, przemokłych butach; musieli opierać się na wiosłach i stawiać drobne kroki, aby nie runąć.

Gdzie na drodze spotkali zawadę, musieli przelazić i czolgać się prawie na płask, jak węże, wymijając szczeliny i dziupla, w których chlupała na spodzie woda.

Nareszcie po długiej i mozolnej przeprawie stanęli u lodowej skały, poza którą zniżające się słońce zaświeciło teraz jaskrawym blaskiem.

Olbrzymie kryształy wodne przeświecały na brzegach złotem, purpurą i szmaragdem, migwały srebrnymi błyskami i zapalały się złudnym ogniem, który w nich promienie słońca rozniecało.

Widok był wspaniały i groźny.

Biena poszła jeszcze kilka kroków naprzód, i zapatrzona przed siebie, zdawała się zapominać o wszystkim, o grozie położenia, o potędze żywiołów, o celu ich wyprawy.

Oczy miała olśnione słońcem, wiatr podgarniał chusty z jej twarzy ospowatej, którą kryła tak starannie przed ludźmi, — i wtedy poraz pierwszy Fred przyjrzał się dawnej kochance.

Stał i patrzył na nią...

Zrozumiał teraz, dlaczego uciekała od świata.

— Biena! — zawołał na nią jakimś cieplejszym głosem; nie usłyszała go jednak, więc wyjął z zanadru patron prochu i zaczął go osadzać w upatrzonym miejscu pomiędzy krami.

Śpieszno mu było; wprawne ręce spełniały robotę szybko, czas naglił, należało wracać na wyspę, by pomagać załodze, zostawionej bez kierownika.

Uzepił lonty na podpórkach, które przyniósł z sobą i przygotował wszystko do wybuchu,

Pozostawało tylko lont zatlić i śpiesznie umykać, zanim się sznurki dopali i minę wysadzi pod zatorem.

— Biena, wracajmy! — zawołał, ale w tej samej chwili straszny krzyk rozdarł powietrze.

Struchlał, usłyszawszy nagle:

— Fred!..

Odwrócił się i ujrzał rzecz okropną, niespodzianą, która zmroziła w nim krew.

Pod nogami dziewczyny osunęły się oslizgle glazy i otworzyły przepaść, w którą runęła w mgnieniu oka, natrafiwszy nieostrożnie na zdradziecką pułapkę.

Zobaczył tylko jeszcze obie jej ręce, zakrzywionemi palcami chwytające powietrze i usłyszał ten rozpaczliwy, przerażający krzyk tonącej.

Usłyszał zgrzyt lodów, które zgmiotły połknięte ciało i zanurzyły je w morzu.

Trwało to wszystko jedną chwilę; śmierć zmienacka rzuciła się na swą ofiarę i zdławiła ją, nie zostawiając nawet śladu na powierzchni.

Kry tylko lekkim ruchem chwiała się jeszcze w miejscu, gdzie dziewczyna zniknęła, jak gdyby pod niemi szarpała się topielica, i bulgotała woda w szczelinach.

A wiatr wyl, niby płaczka nad grobem...

Gred z wyciągniętymi odruchowo rękoma stał i nieprzytomnie wpatrywał się w przestrzeń.

Twarz mu pobladła pod spalenizną od wiatru i słońca, drgała bolesnym skurczem i mieniła się.

Dopiero teraz wszystkie blizny w sercu na widok jej śmierci, zapływały mu znowu krwią.

A gdy się ocknął z przerażenia, opadły mu ręce i głowa, oczy zaszklily łzami, kolana się ugięły i klękając na lodach, zdjął czapkę, ręce złożył na niej, jak do modlitwy, i wyszeptał:

— Teraz pokój wieczny racz jej dać już, Zbawicielu!..

Od zachodu huczało morze, wicher łomotał, świeże kry wpędzając na zator, jakby przypomnieć chciała Jessenowi, że walka o skrawek ziemi jeszcze nieskończona.

— O Groede zapomniałeś! — zbudził go nagle tajemniczy głos obowiązku i wyrwał z bolesnej zadumy.

Wstał, czapkę nałożył, głowę podniósł hardo i poszedł zapalić lont, skrzesawszy ognia na hubkę; potem przeczołgał się znowu ku zostawionej łodzi, by umknąć jeszcze w czas przed wybuchem.

Gdy dopływał do swego domu, usłyszał poza sobą huk wysadzonej miny; rozpęknięty zator rozsypywał się w powietrzu, grzebiąc w swych szczątkach zwłoki topielicy.

Przeszła burza i powódź, spłynęły wiosenne wody, zabłysło słońce i ziemia zaczęła się umajać.

Na Groede pozostał jeden tylko dom i jeden samotny strażnik straconej placówki—Fred Jessen, pochowawszy wuja, który nie przeżył wiosennej porażki.

Morze zniosło jego odwieczną sadybę, a kry zgruchotały ściany starego domu.

\*

\*

\*

W Salonie paryskim tego roku ogólne zajęcie budził obraz duńskiego malarza: „Taniec dziewic św. Urszuli“.

Nazwisko Jerzego Keergarda rozślały wszystkie dzienniki, podnosząc oryginalność tematu, świetną technikę i głęboko odczuty nastrój malowanej sceny.

Winszowano mu, że ożywił „głębokiem wrażeniem“ dziedzinę sztuki, powszedniejszej w flisterskiej pospolitości.

Czem okupił ten „nowy dreszcz“ utalentowany artysta, nie pytano go w żadnym salonie.

Przyjaciel Devieux zachwycał w jednym z pism swoje czytelniczki jaskrawo i dowcipnie pisanemi felietonami pod tytułem: „Wspomnienia z Helgolandu“...

MARYAN GAWALEWICZ.



---

# O kierunku badań ekonomicznych.

Od pewnego czasu zauważyć można w naszym społeczeństwie, głównie w młodszych, a nawet najmłodszych jego pokoleniach, zwrot nowy, czy może lepiej duch nowy, który objawia się praktycznem i teoretycznem zainteresowaniem sprawami ekonomicznemi. Znaczna większość młodzieży garnie się do zawodów handlowych i technicznych, a bardzo wielu do badań na polu ekonomii, pragnąc ruszyć z posad nie bryłę świata, lecz nasz zastój gospodarczy, i nie okiem słońca ogarniać świata ogromy, lecz trzeźwym wzrokiem myśli przeniknąć prawa poziomów życia gospodarczego. Czy jest to nowy zwrot materialistyczny, nowa fala programu pracy organicznej, zaćmiewająca umysły i obniżająca polot podniosłych dążeń? Czy to kształcenie się nowych generacji na ród kramarzy, na to, jak mówi Krasinski. ze wszystkich plemion najnędzniejsze plemię? Takie i podobne pytania

narzucają się pewnym odłamom społeczeństwa, zdziwionym tym 1.0-wym zwrotem. Zadaniem naszym będzie w paru uwagach luźnych na pytania te odpowiedzieć.

Dwa są powody tego zwrotu: jeden, który nazwiemy filozoficznym, drugi, który kojarzy się ściśle z samorozwojem, z samozachowaniem narodu, a więc z całą jego kulturą przeszłości. Rozbierzmy każdy z tych powodów z osobna.

Moment, który nazwaliśmy filozoficznym, jest ogólny, udzielający się zarówno wszystkim narodom i społeczeństwom cywilizowanym. Łączy się on z nowoczesną treścią życia tych społeczeństw, z nowymi warunkami ich bytu, z zagadnieniami tego bytu, a zarazem z nowo wytkniętym kierunkiem ekonomii politycznej, jako nauki.

Mamy więc i tu kilka naraz pierwiastków, z których każdy, by kwestyę należycie zrozumieć, powinien być samodzielnie wzięty pod uwagę. Że treść życia nowoczesnych społeczeństw uległa zmianie, że się pogłębiła i zatoczyła krąg o wiele szerszy, to się samo przez się rozumie.

Mimo wszystkie zarzuty, jakie można-by uczynić naszemu życiu duchowemu i materialnemu u zbiegu dwóch stuleci, trudno jednak nie przyznać, że poziom jego, na ogół biorąc, podniósł się, a widnokreśli się rozszerzyły. Można widzieć nieskończone sprzeczności i fatalne przeciwności w samych dziejach naszych czasów; można zdawać sobie sprawę z niesprawiedliwości tych, czy innych prądów politycznych, z bezładu parlamentarnego, z walk narodowościowych, z zatargów duchowych między wolną myślą a fanatycznym wstecznictwem, z wywrotowej krytyki, niweczącej stale i uświęcone zasady; można ubolewać nad słabymi podstawami obyczajowemi naszego życia i nad ich często mętnem odbiciem w literaturze i sztuce, można, słowem, nie poddawać się złudzeniu przy ocenie objawów realnych tego życia; ale, mimo wszystko, trudno nie dostrzedz postępów ideowych i podniosłej jakości życia.

Cały długi łańcuch zagadnień społecznych, mających na celu udoskonalenie człowieka i ludzkości, coraz większe upowszechnienie się, u d e m o k r a t y z o w a n i e tych zagadnień — to są niezaprzeczone zdobycze naszej ery. Wśród takich objawów ducha wystąpiły

na plan pierwszy: dążenie do przyznania jednostce — w zasadzie przynajmniej — najwyższej miary praw, a zarazem dążność do zrównoważenia w granicach tych praw jednostki wspólnych interesów społecznych. Gdy więc z jednej strony widzimy obronę indywidualizmu z drugiej dostrzegamy żarliwą obronę harmonii w społeczeństwie. Czasami zjawiska te wyrażają się w odrębnych, najkrańcowszych pragnieniach, tworzących wzajemne przeczenia.

Prąd Marksyzmu, najsilniej nurtujący w ósmym dziesięcioleciu, ciąży prawie ku komunizmowi, jako przeciwieństwu ustroju osobnikowego, z którego wybujały krzywdy kapitalistyczne. I oto w następnym dziesięcioleciu występuje znowu antyteza: nauki Nietzschego, które jednostce oddają cześć bałwochwalczą, a które gardzą gromadą. Marks dąży do bezwzględного panowania proletariatu — nadszłowiek Nietzschego ma pogardę do *filofratrów*: „marzycieli braterstwa“. Według niego, człowiek chce panować nad niewolnikami, a zatem byłby głupcem, gdyby ich na panów wychował. Mamy więc też i antytezę, i zdawało by się, że łatwo przeprowadzić syntezę, łagodząc krańcowości obu kierunków. Ale zadanie to wcale łatwym nie jest, bo pojednania sprzeczności społecznych i psychicznych nie można szukać w mechanicznym tylko kojarzeniu przeciwieństw. Dylemat nie jest jeszcze rozwiązany, lecz stanął już na porządku dziennym, jako zagadnienie ludzkiego ducha, a tymczasem szukamy doń klucza, w tem, co się nazywa etyką.

I oto, mimo względne znieprawienie naszego życia, mimo jego zmateryalizowanie, mimo zdobycze kapitalizmu, instynkt etyczny, jako instynkt wprawdzie tylko, a więc tylko jako odruch uczuć i myśli, coraz silniej burzy się zaczyna przeciw nieprawidłowościom życia. I pod tym wpływem etyka wkracza ze swemi prawami we wszystkie życia szczeliny, wprawdzie nie jeszcze jako czynność na prawy tego życia, nie jako urządzenie obyczajowe, mające powagę i władzę, lecz jako złośliwe zwierciadło, odbijające krzywizny i karykaturę tego, co stanowi dotychczas główny cel naszych zabiegów, co stanowi nasze materialne zaniłowania i pożądanja.

Znowu więc widzimy sprzeczności z jednej strony pomiędzy rzeczywistością — a w niej tą nieskończoną i żywiołową walkę o byt — i nietylko o byt, lecz i o jego rozkosze, o przesył materialny; a z drugiej strony, tym ideowym protestem, który, nie mając jeszcze żadnych praw władzy wykonawczej, ma jednak już prawa wewnętrzne, i jest jakby cichym, lecz natrętnym szeptem sumienia publicznego. Odgłos najenergiczniejszy tego szeptu słyszeć się już daje w wybitnych płodach myśli, jak na przykład w mistycznym anarchizmie Tolstoja, w psychologicznym symbolizmie Ibsena, w moralnej estety-

ce Ruskina, w uduchownionym realizmie Hauptmanna, a nawet u nas w filozoficzno - apostołskiej „Eleuteryi“ Lutosławskiego, a może i w tęsknej obronie „Bezdomnych“ Żeromskiego. Literatura i filozofia coraz silniej ulegają tym prądom tęsknoty do etycznego odnowienia bytu ludzkiego. I oto, gdy jeszcze w życiu niepodzielnie panuje nie tylko władza, lecz etyka miliona, gdy w słowniku przeciętnej inteligencji mieszczańskiej wyraz *cnota* stał się wyrazem, jeśli nie już nieprzyzwoitym, to w każdym razie budzącym uczucie nudy — w ideałach odległych marzycielskie apostołstwo miłości i prostoty ukazuje się jako coś, co wprawdzie egotycznie jest nam jeszcze obce, lecz co ideowo silnie już nas ku sobie pociąga i nęci...

---

To wszystko jednak, — to dopiero symfonia przyszłości, może nawet już słodko pieszcząca ucho wybranych, najkulturalniejszych jednostek, lecz zagłuszana wrzaskliwością giełd i rynków, stukiem maszyn parowych i motorów elektrycznych, młotami kuźni złota, rozpasanej orgią żądzy bogactw.

To też doraźnie więcej znaczenia od tych protestów, płynących z głębin poetycznych duchów marzycieli, mają protesty realne, wysnute jakby z zimnego obrachunku praw materialnych, ludzkością rządzących. Mamy tu na myśli krytykę ustroju gospodarczego, która płynie z dociekań i teorii ekonomistów. I tutaj się wcisnął, samą siłą rzeczy narzucił, pierwiastek etyki, a z tej dziedziny, opartej na stosunkach rzeczywistych, materialnych, nie go już wyprzeć nie zdoła.

Współczesna nauka ekonomii ściśle skojarzyła badania swoje z tak zwaną czystą moralnością, i w tem tkwi zasługa tej nauki, która, dzięki temu, zarazem rozszerza horyzonty myśli i dąży do przekształcenia stanu gospodarczego nie tylko podług praw wytwórczości i wymiany, lecz podług praw *s p r a w i e d l i w o ś c i* społecznej.

Póki ekonomia polityczna zajmowała się tylko określeniem takich pojęć i zagadnień, jako to: co jest „dobro materialne“, co wytwórczość i spożycie, co popyt i podaż, co „wartość“, co „praca“, co „kapitał“, czem są pierwiastki wytwarzania, — słowem, póki była nauką opisową, jakby od życia oderwaną, szukającą jakichś praw bezwzględnych, rządzących żywiołowo w wytwarzaniu, spożyciu i podziale bogactw; póty za jej *ultima ratio*, za jej sens moralny trzeba

było uznawać *laissez faire, laissez passer*. Jeśli prawa są absolutne, to regulowanie ich było-by budowaniem takich tam, które zburzy prąd żywiołowy życia. Samorozwój, to samorzutność maszyny ekonomicznej, to prosty wynik uwarunkowanego egoizmem ludzkim współzawodnictwa jednostek; samo więc współzawodnictwo prawa równowazy. Takie były naczelne tezy ekonomistów szkoły manchesterskiej.

Wprawdzie wcześniej Merkantyizm, spotęgowany w Colbertyzmie, chciał szczególnej opieki nad handlem i gromadzeniem pieniędzy, chciał opieki i premii dla tych, co siebie bogacą; ale i ta polityka ekonomiczna wynikała z przekonania, że sam pieniądz, gdziekolwiek się skupia, ma dobroczynny wpływ na cały ekonomiczny organizm. Smithizm pogłębił naukę, bo uwzględnił znaczenie całokształtu stosunków, a także ich związek z krajem, z narodem, rasą i obyczajowością; ale, mimo to, chciał wyodrębnić procesy ekonomiczne z całego spłotu życia, i taką miał wiarę w dodatnią stronę egoizmu, jako bodźca pracy wytwórczej, że utorował drogę dogmatowi wolności ekonomicznej, która potem wyniki współzawodnictwa na anarchię zamieniła <sup>1)</sup>.

Adam Müller i Fr. List rzucają ostre pociski na teorię Smithowską, rehabilitując wartość kapitału duchowego, odrzucając przecenianie dóbr materialnych, lecz wznoszą się tylko na taki szczebel krytyki, że każą usilniej uwzględniać polityczny i geograficzny charakter kraju i państwa, tęsknią poniekąd do feudalizmu cechowego ustroju wytwórczości, nie rozumiejąc jeszcze równowagi interesów jednostek w społeczeństwie.

Dopiero Rodbertus, Marx i Lassalle rozbierają prawa płacy robotniczej, wartości i nadwartości, — szturmują do warowni kapitalizmu. Marx pasuje proletaryat na hufiec obronny harmonii społecznej, na armię zbawienia ludzkości. Ale Marx jest materialistą, zwolennikiem doktryny filozoficznej

---

<sup>1)</sup> Tworzy to właśnie w tak głębokim, jak Smith, myślicielu, pewną sprzeczność, że gdy w swojej etyce w „Teorii uczuć moralnych” opiera moralność na pierwiastku współczucia („sympatyi”), a więc na altruizmie, w ekonomii, w „Badaniach nad istotą i przyczynami bogactwa narodów” widzi dodatni bodziec tylko w „interesie jednostkowym”, a zatem w samolubstwie, które jest w jego przekonaniu bodźcem do powiększania dóbr, z jednostkowych zaś bogactw składać się ma harmonijne bogactwo narodowe. Ta pozorna sprzeczność ma jednak uzasadnienie w poglądach Smitha, które wyprowadza z „odpowiedniości” naszych własnych i obcych stanów duszy (Przyp. autora).

o konieczności historycznej, jest prawie fatalistą, jest, jak się wyraża Edw. Bernstein: kalwinistą bez Boga. Z tej jego metody wynika, że nie uznaje w ekonomii etyki, że znowu, jakby drugi Smith, pokłada nadzieje swe w żywiołowości potęg ekonomicznych. Te potęgi, podług niego, budzą naszą świadomość, która z samego bytu naszego nie wynika. Lecz bez względu na taką, czy inną metodę, analiza Marxa pchnęła badania ekonomiczne na drogę, którą on chciał ominąć — na drogę etyki.

I dziś jeszcze utrzymuje się spór o metodę, spór o to, czy można etykę ściśle kojarzyć z samymi badaniami, lecz spór to właściwie jest jałowy, bo nikt obecnie nie wyłącza ekonomii z socjologii i, choć ta, czy inna szkoła, łudzi się, że ona rozwój samych tylko zjawisk ekonomicznych całkowicie wyodrębnia z pośród innych pierwiastków życia społecznego, wszystkie szkoły uznają zarówno wpływ czynników moralnych na rozwój ekonomiczny, albo na odwrót, wpływ tego rozwoju na stosunki społeczne. Tak zwany subiektywizm w ekonomii, któremu wielu jeszcze hołduje, jest, ściśle biorąc, złudzeniem. Tak na przykład bardzo wydatny i zasłużony ekonomista austriacki, Menger, do subiektywistów się zaliczający, chce w ekonomii stosować dwie metody: historyczną i statystyczną z jednej strony, czyli realno-empiryczną, a z drugiej teoretyczną; pierwsza ma objaśniać konkretny stan gospodarstw narodowych, druga — istotę form ekonomicznych, czyli czystą abstrakcję gospodarczą. Słusznie jednak powiada Schmoller w krytyce książki Mengera, iż mimowoli ostatni wpada znowu w błędy Smitha i Ricarda, i tak, jak oni, wytwarza tylko oderwane obrazy ekonomiczne. Ponieważ atoli nawet Menger i inni subiektywiści, zwolennicy ścisłych rozbiórów ekonomicznych, historycznego rozwoju pominąć już nie mogą, uważając go za równoległą metodę badania, przeto przypuścić-by należało, że albo zrzekają się przyczynowego objaśnienia zjawisk gospodarczych, albo pragną go wykryć za pomocą swej historycznej metody, z której w takim razie musiały-by już wyłonić się socjologiczne, a więc i etyczne wykładniki do ekonomii.

W nauce ekonomii stanowczo panuje obecnie szkoła realno-etyczna, albo nowo-historyczna, która odrzuca sztuczne uogólnienia, a natomiast bada bardzo dokładnie poszczególne zjawiska, dążąc do empirycznego poznania, lecz nigdzie nie traci z uwagi naczelnego swego zadania reformy, to jest przebudowy mechanizmu społeczno-gospodarskiego na podstawach etycznych.

Jest to, oczywiście, zadanie ani łatwe, ani blizkie urzeczywistnienia, wszelako z chwilą, gdy reforma ekonomiczna w tej, czy innej postaci, lecz zawsze z dążnością wyrównania krzywd gospodarczych, poskromienia przewagi kapitalistycznej, stanęła na kolei dziennej badań ekonomicznych, gdy ona tworzy prawie jądro ekonomii politycznej, czy wreszcie polityki ekonomicznej, z tą chwilą ta nauka nabrała znaczenia humanistycznego i pociąga ku sobie, obok zawodowych ekonomistów, wrażliwe umysły i tkliwe duchy. Pociąga także i masy.

Kwestya tak zwanej metody przedmiotowej i podmiotowej w ekonomii jest ważna, i dlatego pragnął-bym wyraźniej ją uwydatnić.

Spór metodologiczny ściśle sprowadza się do tego, że szkoła nowo-historyczna, albo realno-etyczna, która jeszcze nosi błędną nazwę przedmiotowej, zaprzecza istnieniu bezwzględnych, a więc przyrodzonych praw ekonomicznych, bo ma wiarę w nieograniczoną zmienność natury etycznej człowieka, od której te prawa zależą, i oczekuje ulepszeń od rozwoju prawa dąstwa. Zadania tej szkoły kojarzą się zatem z zadaniami socjologii. Do jej przedstawicieli należą między innymi: Knies, Schmoller, Brentano, Adolf Wagner i Schäffle. Przedmiotową nazywają ją dla tego, że podług niej zjawiska gospodarcze, to zjawiska ducha, ujęte w formę obiektywnej celowości. Przeciwnie, zwolennicy szkoły podmiotowej, na przykład Menger, Böhm-Bawerk, Zuckerhadl, są wyznawcami teorii o egoizmie ludzkim, jako głównej sprężynie procesu gospodarczego, i w tym egoizmie, który ma być niezmiennem prawem natury człowieka, a więc i jego układu etycznego, w podmiotowych naszych stanach psychicznych, widzą pierwiastki dodatnie. Stąd w ich przekonaniu życie gospodarcze będzie się zawsze poruszało w granicach wpływu zjawisk ekonomicznych świata zewnętrznego na jednostkę, to jest praw niezłomnych, przyrodzonych, wskazanych przez bodźce, właściwe naturze i psychologii człowieka.

J. St. Mill w swoich „Zasadach ekonomii politycznej“ stanął był na stanowisku, które można nazwać w części podmiotowem, a w części przedmiotowem; on bowiem dopatrywał się w dwóch wielkich dzie-

dzinach zagadnień ekonomicznych: w produkcji i w podziale bogactw, dwóch różnych sprzężyn, a mianowicie: w pierwszej (w produkcji) sprzężyn fizycznych — warunków, narzuconych przez ustrój zewnętrzny (przez przyrodę), oraz przez wrodzone właściwości kultury ludzkiej, a w drugiej (w podziale bogactw) warunków, zależnych od ludzkich postanowień, od praw pisanych i zwyczajów społeczeństwa. Tymczasem opieranie podmiotowości, albo lepiej bezwzględności reguł ekonomicznych na tem, iż wynikają z prawa oddziaływania świata zewnętrznego na jednostkę, jest błędem logicznym, zarówno u Milla w jego teorii o produkcji, jak u ekonomistów materialistycznych w ich rozważaniu wszystkich czynników gospodarczych, jako praw organizmu ekonomicznego. Skoro bowiem ma być mowa o ekonomii, jako nauce ścisłej, samodzielnej, czystej („exacte“), do której ci ekonomiści dążą, (a niektórzy chcą nawet prawa gospodarcze ujmować w formuły matematyczne, jak Jevons, Walras, Gossen), to tej samoistności organicznej i podmiotowej nie tam przecie szukać-by należało, gdzie właśnie zachodzi zależność od praw przyrodzonych, to jest w każdym razie od praw w innych dziedzinach rządzących. A więc gdzie tej samodzielności szukać? Na to pytanie w żadnej teorii ekonomicznej odpowiedzi nie znajduję.

Żeby zaś dać odpowiedź, muszę zrobić mały nawias i małe... zwierzenie.

Własne moje spostrzeżenia nad prawami, rządzącymi życiem gospodarczem, naprowadziły mnie, nie powiem, że na nową teorię, lecz, bądź co bądź, na odmienną tezę następującą: Ponieważ wiemy, że, bez względu na taką, czy inną metodę (dwoistą Milla, a jednolite, choć różne w swych kierunkach badań obiektywistów i subiektywistów), ogólnie uznana jest pochodność, zależność praw ekonomicznych, przeto ich względna samodzielność, a raczej swoistość, wyrazić się może nie w prawach organicznych, lecz w tych szczególnych prawidłach mechanizmu ekonomicznego, który wytworzył się pod działaniem innych praw i jest niemi uwarunkowany, choć sam w sobie tworzy już całość, mającą swoje własne i stałe reguły. Będzie to oczywiście sfera obserwacji zwężona, zredukowana do stosunków ściśle materialnych, do dziedziny, w której odbywa się tak zwane życie handlowo-przemysłowe, a więc do rynku... Otóż z takiego wychodząc założenia przy badaniu poszczególnych zjawisk tego mechanizmu, musimy przyjść do dalszego wniosku, że te jego reguły dają się wprowadzić do jednego tylko, jakby żywiolowo rządzącego, a więc bezwzględnego w swej obecnej postaci, prawa, które, jak nie czerwona,



przewija się po przez całą prywatno-gospodarczą działalność człowieka, i które tworzy główny pierwiastek wszystkich procesów ściśle ekonomicznych (to jest właściwie materialnych, w przeciwieństwie do przyrodzonych, społecznych i etycznych). Tylko o tem prawie można twierdzić, że ma ono już samoistną, ekonomiczną władzę, i dla tego ono tylko może być rozważane, jako podmiotowe, w oderwaniu od innych pierwiastków, choćby w tych pierwiastkach miało źródło. Ekonomiści wprawdzie znają je, lecz uważają za czynnik drugorzędny. Tylko jeden Ricardo oparł na niem swoje śpizowe prawo płacy roboczej. Po tem określeniu domyślać się łatwo, że mówię o prawie podaży i popytu. W ramach tej rozprawy nie mam miejsca na bliższe usprawiedliwienie swej tezy, że prawo podaży i popytu, czyli wahadłowy i wzajemny ruch sprzedaży i kupna, występujący w różnych, często bardzo zawiłych i zamaskowanych, postaciach, ruch, który obejmuje wszystkie sfery stosunków prywatno-gospodarczych, jest jedynem prawdem, rdzennie ekonomicznem, to jest odbijającym funkcye stworzonego przez nasz ustrój mechanizmu interesów materialnych. Mojem zdaniem, wszystkie inne procesy i zjawiska społeczno-gospodarcze są obecnie od niego zależne, a po dokładnym rozbiorze każdego, choćby najzawiakłańszego stosunku ekonomicznego, można-by z niego wyobsonnić rozstrzygający wpływ prawa podaży i popytu.

Poruszywszy tę kwestyę, muszę także stwierdzić, że podług tej mojej tezy, ekonomia, rozważana w oderwaniu od innych praw, od całej socyologii, a więc i od etyki, była-by właściwie tylko nauką o prawie podaży i popytu, jako o pierwiastkach, formalnie szerzej rozumianych, niż je dotychczas pojmowano, lecz mających to samo znaczenie gospodarcze, tę samą treść wewnętrzną.

Oczywiście, biorę tu pod uwagę władzę tych pierwiastków tylko w naszym ustroju kapitalistycznym, gdzie, mojem zdaniem, tworzą one regulator mechaniczny wszystkich materialnych warunków bytu. Dodam jeszcze, że kapitał ruchomy, ściślej zanalizowany, przedstawia mi się jako monopol podaży najnieodzowniejszego substratu ekonomicznego. i że w tem tkwi źródło jego władzy, stanowiące naturalny wynik usilnego nań popytu. Prawo to działa wogóle, jak sprężyna, odchylająca ruch podaży, w miarę siły rzutu popytu, a ten ostatni rzut musi być moeno wyteżony, gdy natrafia na taki opór, jaki wytwarza monopolistyczna forma podaży, którą kapitał ruchomy nosabia.

Otóż z tego stanowiska nastęrcza się dalszy wniosek, mający już bezpośredni związek z ogólnym naszym tematem, że ekonomia, która-by chciała ograniczyć się badaniem praw samoistnych w dziedzinie

interesów materialnych, musiała-by jedynie i wyłącznie rozwój tych momentów (podaży i popytu) w różnych przejawach życia gospodarczego śledzić, a wtedy, zdaniem mojem, wykryła-by wszystkie przyczyny mechanicznego, ale już w obecnym stanie niezależnego od współczesnych momentów, to jest materialnego obrotu spraw gospodarczych. Lecz takie właśnie badanie, w mojem przekonaniu, było-by tylko częścią zadania ekonomisty, rozdziałem o statyce ekonomicznej. Ogniwo to prowadziło-by potem do dalszych badań, do rozbioru sprężyn społecznych i moralnych, które z jednej strony ustaliły ten mechanizm podaży i popytu, a z drugiej, bądź swoim ujemnym naciskiem go niweczą (takie działanie zachodzi na przykład we wszelkiej spekulacji i grze giełdowej, gdzie fałszują się prawa popytu i podaży), bądź swoim dodatkiem działaniem regulują (w części, na przykład w syndykatach, w różnych reformach robotniczych, w prawidłowej organizacji współdzielczej, w reformach prawodawczych i t. p.).

Stąd więc płynął-by dalszy wniosek, ten mianowicie, że, jeśli ekonomia polityczna ma być nauką o prawach gospodarstwa społecznego, na których opiera się pomyslność gospodarcza (a takim jest jej zadanie), to nauka ta, jako całość, nie może ograniczyć się mającemi tylko pomocnicze znaczenie obiektywnymi badaniami samego mechanizmu gospodarczego, a nawet rozbiorem tych, czy innych, pośrednich sprężyn moralnych i społecznych, lecz musi przejść na pole ogólnych dociekań społecznych.

Urok, który ekonomia w zakresie prawie wszystkich swych zagadnień ma dziś dla myślicieli, dla badaczy zjawisk społecznych i dla mas, odczuwających tętna życia gospodarczego, tkwi tedy w jej obecnem, naczelnem zadaniu włączenia do swej teorii reformy gospodarczej. Wzrok i analiza ekonomisty musi dziś sięgać daleko, musi obejmować cały horyzont państwa, narodu, społeczeństwa, wszystkich warstw społeczeństwa, a więc wszystkich pierwiastków pracy ludzkiej, oddziaływającej na procesy wytwórczości, podziału dóbr, spożycia i t. p. W takim rozbiорze musi już wystąpić moment etyczny, i on stanowić będzie wyłącznie kryterium stosunków i tak zwanych praw ekonomicznych. Taka ekonomia wchodzi na pole reformatorskiej działalności w całej sferze społeczno - gospodarczej.

Tak więc, ostatecznym celem współczesnej nauki ekonomii jest nakreślenie takiego programu reformy, który-by procesy ekonomiczne, sposoby wytwarzania i wymiany dóbr pogodził z dobrami moralnymi. Ekonomia przestała być nauką indyferentną w dziedzinie moralności i weszła w sferę etyki, w sferę regulowania życia gospodarczego podług wymagań sprawiedliwości.

Najważniejszy, choć daleki do urzeczywistnienia postulat, to naprawienie i niedopuszczenie tych krzywd, które wynikają z mechanicznego, samorzutnego rozwoju tak zwanych praw ekonomicznych.

Za pewnik obecnie przyjąć można, że tak zwane „prawa ekonomiczne“ w swoim dalszym rozwoju często tworzą zboczenia, a ekonomia zboczenia te wykrywa i próbuje wskazać drogę naprawy. Jak daleko ten rozwój się posunie, tego w tej chwili jeszcze przewidzieć nie można. W samych już dążeniach do reformy społecznej widzimy różną miarę postulatów. Jedni przypuszczają, że przeobrażenia etyczne przełamią dwoistą naturę człowieka i wytworzą równowagę między egoizmem jednostek, a interesami społecznymi, i że wtedy, w myśl słów świętego Tomasza z Aquinu, kupiec dążyć będzie do zysku: „non quasi finem, sed quasi stipendium laboris“ (nie jako do samodzielnego celu, lecz jako do nagrody za pracę). Inni oczekują przewrotu gwałtownego. Nakoniec jeszcze inni wyglądają zbawiennego wpływu od reformatorskiej działalności prawodawczej.

Tendencja do reform, która objawia się w działalności władz państwowych, jest bowiem już odbiciem wskazań nauki, chociaż zdarza się, że tam, gdzie występuje socjalizm państwowy, jako echo postulatów reformy społecznej, jest on raczej fiskalizmem państwowym. Lecz w tych wszystkich dążeniach i kierunkach zasadniczą tendencją ekonomii jest już etyczne kształtowanie praw bytu materialnego. W zgodności tych zasadniczych prądów widzimy dowód, że ekonomia weszła na drogę postępów i zwycięstw, które powinny także odwrócić groźbę burzy gwałtownych przewrotów, jak przyznają już nawet niektórzy socjaliści (na przykład Edw. Bernstein i jego stronnicy w niemieckiej demokracji socjalnej, oraz possybiliści francuscy).

Hasło reformy, stanowiące podkład całej nowoczesnej ekonomii politycznej, usprawiedliwia i tłumaczy to szczególne zajęcie, jakie zagadnienia gospodarcze i u nas budzą wśród najmłodszych pokoleń inteligencji.

Ale ten moment ogólny, filozoficzny, jak go nazwaliśmy, nie wyczerpuje całego zainteresowania.

Obok motywów teoretycznego zajęcia zagadnieniami ekonomicznymi występują u nas bezpośrednio motywy społeczne. To jednak są pobudki, prawie powszechnie znane, i dla tego będę mógł ograniczyć się tylko naszkicowaniem ich głównych konturów.

W społeczeństwie naszym widzimy, jak już zaznaczyliśmy, żywy, przyspieszony ruch w kierunku kształcenia się młodzieży w zawodach: handlowych, przemysłowych i technicznych. Zarazem dostrzegamy znaczny wzrost przedsiębiorstw i wydatny w nim udział żywiolów, które do niedawna od zajęć przemysłowo-handlowych stoniły. Widzimy tu wyraźną ewolucję społeczną, która jest następstwem dwóch bodźców.

Pierwszy bodziec tkwi w ogarniających coraz szersze kręgi funkcjach życia gospodarczego, w postępach handlu i techniki, w dominującej, rozgałęzionej i zróżniczkowanej ich roli. Ustrój społeczny nigdy jeszcze tak niewolniczo, jak w naszych czasach, nie był podporządkowywany organizacji handlowej. Dla tego nie tylko rozwijają się przedsięwzięcia ściśle handlowe i przemysłowe, ale i innym zawodom narzuca się, by się tak wyrazić, forma, technika handlowa. Nie mamy tu na myśli licznych, ujemnych stron tej techniki, lecz, owszem, istniejące tu także zalety: jej reguły prawidłowości, systematu, jej przezorny zarząd gospodarczy, porządek rachunkowy i buchalteryjny, a nakoniec jej przenikliwość, jej instynkt przedsiębiorczy. Te prawidła, przystosowane do całej działalności społecznej, wydają tylko dobre owoce, a rozpowszechniają się one powoli nawet wśród zawodów, nie mających ścisłego z handlem związku. To też nie zawsze cała młodzież, kończąca nauki handlowe i techniczne, zapisuje się pod sztandar Merkurego. Życie przeznacza im czasem inne powołania, lecz gdziekolwiek ich fale losu rzucają, tam wnoszą już oni technikę ładu handlowego. Są to więc przeobrażenia zewnętrznych form układu społecznego, które u nas tem wyraźniej się uwidatniają, że zwrot ku nim jest zupełnie nowy, a naprężenie tego zwrotu silne. Stąd też wynika szczególnie motyw zainteresowania się prawami ekonomicznymi, i to jest właśnie pierwszy ze splotu dwóch wzmiankowanych bodźców.

Drugi bodziec ma źródło w nieodzownej u nas potrzebie oparcia egzystencji materialnej na zawodach handlowych i technicznych.

Koncentracja w tych zajęciach jest koniecznością społeczną. I oto znówu szczególna przyczyna, która, jako następstwo tego faktu, podnieca ciekawość teoretyczną ku ekonomii i jest bodźcem działań w tym kierunku. Ale przyczyny, związane z bytem społecznym, jeszcze głębiej sięgają w genezę zajęcia się badaniami ekonomicznymi. Już w połowie siódmego dziesięciolecia w szerokich kołach ówczesnej młodzieży obudziło się hasło pracy organicznej. Otóż w tym programie jednym z naczelných punktów—punktem, który dał zresztą powód do nieporozumień, i w owej chwili, i w późniejszych komentarzach do programu tego—była zachęta do usilnej i energicznej działalności na polu gospodarzem. W materialnem wzmoczeniu się społeczeństwa, w jego wzbogaceniu się w rozwoju przedsiębiorstw, w chwytniu się łockia i miarki, upatrywano rękojmię bytu społeczeństwa. W zasadzie było w tem dążeniu dużo rozumnego instynktu, ale błąd polegał na braku kryterijów w zakresie praw ekonomicznych. Głosiciele tych hasel stali na przestarzałem już w t e d y stanowisku ekonomicznem—wychodzili z mylnego mniemania, że bez względu na to, jak się wśród jednostek i grup społecznych koncentrują zasoby materialne, pomyslność ogólna będzie zapewniona. Bogaćcie się! — tak brzmiało hasło na modłę teorii merkantylistów, hasło, nie uwzględniające ani równowagi społecznej, ani praw rozwoju gospodarstwa krajowego.

Tymczasem nie w samem bogactwie, nie w ilości nagromadzonych przez jednostki pieniędzy, ale w zaspokojeniu ogólnych potrzeb, w zdobywaniu materialnych warunków, sprzyjających osiągnięciu wszystkich celów życiowych—a nakoniec w świadomem kierowaniu gospodarstwem społecznem, z uwagą na skuteczność i trwałość metod gospodarczych, zawierają się rękojmię pracy ekonomicznej. To też teraz, gdy nowe silne bodźce popychają społeczeństwo ku wzmoczonej na tem polu działalności, są one zarazem i dalszemi motywami do badania naszych warunków gospodarczych, a współcześnie i do zbadania praw ekonomii, jako nauki. Ekonomia, tak, jak dziś pojmować ją należy, i co wynika już z naszych uwag nad metodologią, jest przede wszystkim nauką, dążącą do wykrycia praw rozwoju życia gospodarczego, a więc w tem pierwszym zadaniu odtwarza w swoich uogólnieniach prawidła zasadnicze i typowe zjawiska tego życia; ale zarazem jest i s z t u k ą, wskazującą, na jakich podstawach opierać się powinien społeczny i narodowy zarząd gospodarczy, a zatem w drugiem swoim zadaniu stoi na straży pomyslności narodowej. Aby więc zbudować u nas cały system wyczerpujących badań, musimy statystycznie obliczać nasze siły i środki ekonomiczne.

musimy historycznie obrazować dzieje rozwoju naszego gospodarstwa, musimy porównać z innymi państwami nasze położenie, podług położenia ekonomicznego innych krajów, musimy wykrywać, o ile to możliwe, bezwzględne prawa, rządzące wytwórczością i wymianą, musimy rozważać same w sobie nasze dzwignie i pierwiastki rozwoju, musimy na koniec mieć na oku postulaty reformy ekonomicznej.

Dlatego właśnie spostrzegane obecnie zajęcie się sprawami ekonomicznymi nie jest wcale jednostronną przesadą—jest, owszem, świadomym odczuciem, czy nieświadomym instynktem istotnej potrzeby. I wszelkie badania na tem polu, o ile są tylko poważne, są zarówno pożyteczne, bo każde stanowić może przyczynek do uświadomienia sobie bądź ogólnych praw ekonomii, praw, kojarzących się z ewolucją, do której przyszłość należy, bądź w szczególności praw naszego własnego rozwoju gospodarczego, z którymi łączą się warunki bytu społecznego.

Spółeczeństwo, pragnące pracować nietylko na dziś, nietylko na jutro, lecz z baczną uwagą na całą swoją przyszłość, nie może na widokach bieżących, zmiennych i przypadkowych koniunktur ekonomicznych opierać stałych metod swego gospodarstwa narodowego.

Jeśli więc ważne są ogólne momenty ekonomii, to te, które odnoszą się do rozwoju własnego, mają jeszcze doniosłość szczególną. Z zadowoleniem musimy stwierdzić, że próby poszukiwań w tej dziedzinie już się rozpoczęły, choć nie dały jeszcze pełnego systemu wyczerpujących wskazówek i badań. Na tem polu dużo jeszcze jest do zdziałania. To też w konkluzji warto zastanowić się nad kierunkami, w jakich rozwinąć-by się powinny te konkretne prace w zakresie gospodarstwa krajowego.

Spróbujmy naszkicować parę wytycznych punktów programu takich badań:

1) Na pierwszym planie stoją tu naturalnie poszukiwania statystyczne, jako takie, które pozwalają obliczyć i siły, i środki gospodarce. Zaznaczyć należy, że w ostatnim czasie pozyskaliśmy już kilka pożytecznych takich opracowań. Można także liczyć na pomysłyne wyniki prac, zapoczątkowanych w delegacji statystycznej sekcji handlowej, gdzie przystąpiono do obrachowania bilansu handlowego Królestwa, tj. sald naszego wywozu i przywozu w obrotach handlowych, nietylko z zagranicą, lecz z Cesarstwem. O ile-by to właśnie zadanie dokładnie rozwiązać się dało, pozyskali-byśmy jedną ze

wskazówek najważniejszych, jakich nam dotychczas brak, bo wykładnik samoistnych sił ekonomicznych. Dalsze tego rodzaju prace były-by bardzo pożądane.

2) Drugim kierunkiem badań powinien-by być rozbiór dźwigni i pierwiastków samodzielnego rozwoju gospodarczego. Przez takie zadanie rozumiem rozważenie tych czynników ekonomicznych, które —niezależnie od środków, w obecnej chwili względnej pomysłowości ekonomicznej sprzyjających, a zawisłych od ochrony celnej i dogodności zbytu na obszernych rynkach cesarstwa — a więc niezależnie od przemysłu wielkiego we współczesnej jego postaci, pozwala liczyć na trwałe korzyści na innych polach. Oczywiście nie znaczy to wcale, abyśmy mieli powściągać swe wysiłki i oderwać teoretyczne zainteresowanie od pola przemysłu wielkiego. To pole jest, mimo wszystko, dominującą tendencją działalności ekonomicznej, tak samo ważne dla nas, jak dla wszystkich narodów. Tylko ono nie powinno pochłaniać całej energii społecznej. Są inne współrzędne dziedziny pracy gospodarczej, wprawdzie mające cechy organizacji słabszych, lecz dlatego właśnie wymagające czujności i pieczy. A u nas te inne gałęzie wspierają się na pierwiastkach bardziej samoistnych. Tu należy przedewszystkiem: nasze rolnictwo i te przemysły przetwórcze, które się z niem kojarzą, lub kojarzyć powinny, jak np. gorzelnictwo, cukrownictwo, młynarstwo, tartaki drzewne, hodowla wełny, hodowla bydła na opas, mleczarstwo itp., itp. Duże zasługi w badaniu tych spraw ma już sekcyja rolna, a po działalności praktycznej i teoretycznej towarzystw i syndykatów rolnych należało-by się spodziewać dalszych postępów tych prac. Im systematyczniejsze będą te poszukiwania, tem łatwiej pozwolą ocenić warunki rozwoju.

Drugiem w tej grupie zagadnieniem jest badanie rzemiosł i rękodzieł. To pole badań leży prawie zupełnie odłogiem, bo opieranie się na niedokładnych wskazówkach statystyki urzędowej nie może doprowadzić do wyników pozytywnych. A tutaj w pracach ekonomicznych chodzi nie tylko o zliczenie obecnych sił, ale nadto o wykrycie praw, sprzyjających przetwarzaniu się rzemiosł na większe samodzielne produkcye, tudzież o wskazanie sposobów pewnego patronatu nad rzemiosłami, który-by opieką swą postępy ich warunkował. Były propozycye przeprowadzenia takiej ankiety; lecz usiłowania dotychczasowe stwierdziły tylko nadzwyczajne trudności, na jakie wszelkie próby zapoczątkowania prywatnego natrafić-by musiały. Tutaj już wskazać można, że formą związków, w których-by rzemiosła znalazły warunki rozwoju pożądane, a które-by zarazem zająć się mogły

poszukiwaniami teoretycznymi, byłyby syndykaty zawodowe (syndicats professionnels), na podobieństwo doskonale prosperujących syndykatów francuskich. Żałować więc należy, iż tutejsza sekcya rzemieślnicza, zamiast takie opracować wnioski, weszła na śliską drogę reformy cechów, a zagmatwawszy się w trudnościach pogodzenia form przestarzałych z wymaganiami postępu, nie zdołała uniknąć dezyderatów, cofających rzemiosła poza ustawę cechową z 1816 r.

3) Nadto ważne w zakresie rozbioru samoistnych pierwiastków rozwoju ekonomicznego były-by bardzo dokładne badania geologiczne i mineralogiczne, przy zachowaniu stosownej metody jednolitej, prowadzone w całym kraju i podawane do wiadomości publicznej. I pod tym względem czynione już były usiłowania takich poszukiwań, chodzi więc o to, aby je otoczyć skuteczną opieką.

Zarazem szczegółowe zbadanie i obliczenie warunków przemysłowych, jako to: sił motorycznych, rąk robotniczych, materiałów surowych, kapitałów ruchomych, oszczędności, własnych zdolności spożywczych, pól zbytu, dróg i komunikacyi—oto szeroka dziedzina doniosłych dociekań gospodarczych.

4) Czwarty kierunek tych prac ekonomicznych to uświadomienie społeczeństwu potrzeby działalności gospodarczej, skupienia na tem polu sił i żywiołów narodowych, puszczania w obrót produkcyjny wolnych, lecz bezczynnych kapitałów. Tu oczywiście strzedz się jednak trzeba krańcowości i należy zarówno umiejętnie wyświeślać różnice pomiędzy działalnością owocną, indywidualnie i społecznie pożyteczną, a spekulacyjnymi podniętami i manowcami hazardu, jako też między współdziałaniem, przodowaniem nawet żywiołów narodowych na polu handlu i przemysłu, a szowinizmem ekonomicznym, uprzedzeniem się do wszystkiego, co ma pozory odrębności lub niedojrzałości społecznej, rzucaniem klątwy na obce kapitały, albo — co gorsza jeszcze — frymarzeniem hasłami szowinistycznymi z pobudek korzyści osobistych.

Oto niektóre pożądane kierunki w zakresie badań i wskazówek ekonomicznych na polu pracy gospodarstwa narodowego.

Miejmy nadzieję, że ten „nowy duch“, który objawił się u nas w zajęciu sprawami gospodarczymi, rozbudzi i ożywi wszystkie te dziedziny badań.

Wtedy podniesie się poziom naszego życia ekonomicznego, porzypią się siły i względnie zrównoważą się różniczkowane dzisiaj



interesy warstw społecznych. Dążmy przynajmniej do takiej równowagi, która leży w granicach naszych ekonomicznych praw przyrodzonych.

„Bo choć przeciw naturze—jak wyrzekł Hegel—człowiek nie może zdobyć sobie prawa, to w stanie społeczeństwa każdy brak nabiera odrazu formy niesprawiedliwości, wyrządzonej tej, czy innej klasie ludzi“.

ST. A. KEMPNER.

---

# Z I M A.

---

## I.

Czarodziejska zima biała  
Perły i dyamenty  
Na te niwy precz rozsiała  
W dziwny krąg zaklęty.

Zda się w pole to bezbrzeżne  
Jeno wybiedz trzeba,  
I dyamenty zbierać śnieżne,  
Co upadły z nieba.

Każdy dyadem ogniem płonie,  
Jak ta cała niwa!  
Lecz, gdy chwycisz go już w dłonie,  
To się w lzę rozplywa.

## II.

Szumi wicher po lesie  
I pod niebo w dal rwie się,  
    Rwie się kędyś nad chmury,  
I ulata od ziemi,  
I skrzydłami bujnemi  
    Bije w jasne lazury!

To ulata w bezmiary,  
Po przez zwoje mgły szarej,  
    Jak te ptaki tulacze,  
To opada zmęczony  
I cichemi ramiony  
    Tuli ziemię i płacze...

## III.

Zawierucha w okna dmie,  
    Jęcząc w śniegu fali,  
Poza bory w dal się rwie,  
W ciemnym mroku skarży się,  
    Skarży się i zali.

W zawieiony wieczór ten,  
    W chacie przed matulą,  
Na łóeczku. w kątku, hen,  
Główki, jasne gdyby len,  
    Do siebie się tulą.

Zawieruchy słychać jęk,  
    Co świat w śniegach grzebie,  
W oczach dzieci jakiś lęk,  
Łowią uchem każdy dźwięk,  
    Tuląc się do siebie.

W koszulinach już do snu,  
    Zasłuchane siedzą,  
W piersiach brak im słów i tchu,  
Czyli są na ziemi tu,  
    Same już nie wiedzą.

Bo matusia bajkę im  
Opowiada starą,  
Patrzy słodkim wzrokiem swym,  
A baśń płynie, niby dym,  
Po nad strzechą szarą...

Zawieracha w okno dmie,  
Słomą strzech szeleszcze,  
A tam w cichym słodkim śnie,  
Główki dzieci tulą się,  
Śniąc o bajkach jeszcze...

## IV.

Otuliła zima pola,  
Otuliła szronem,  
Poleciała moja dola  
Skrzydłem utęsknionem...

Jak ptaszyna ona biedna  
Od tej mroźnej ziemi  
Leci w oddal sama jedna,  
Drogami cichemi.

Poprzez szrony, poprzez śniegi,  
Z błędnych snów zawoja,  
Na nieznanie kędyś brzegi  
Leci dola moja...

---

# PIŚMIENNICTWO.

Zygmunt Głogier: „Rok Polski w życiu, tradycyi i pieśni“. Warszawa.  
1900 r.

Antonina Matuszewicz: „Dwa prądy“. Lwów, 1900. Seyfarth i Czajkowski.

Nie tyle piśmiennictwu, ile społeczeństwu zasłużył się Z. Głogier, wydając swój „Rok Polski w życiu, tradycyi i pieśni.“

Dzieło to obejmuje blisko 400 stronic druku in 4<sup>o</sup>, zawiera wszystko niemal, co dotyczy zwyczajów i obyczajów naszych, związanych z obchodami świąt rozmaitych i uroczystości dorocznych na ziemiach polskich. Poezya dni minionych i poezya ogniska domowego, które coraz mniej grzeje i szybko traci swój dawny charakter patryarchalny, wieje z kart tej księgi i każe pochyłać się nad nią, jak nad skarbnicą drogich pamiątek, wydzieranych nam codzien przez życie, a zgromadzonych tu w jedno—ręka pieczołowitą, przywiązaną do rzeczy swojskich i umiejętną.

Oto—czytamy w przedmowie autora—„z dniem każdym stary świat schodzi do grobu. Co żyło i uświęcone było przez liczne wie-

ki, idzie zwolna w zapomnienie, bo dzień dzisiejszy ma przedewszystkiem twardą pracę na dłoni namulonej, rachubę w głowie i na sercu troskę o chleb. Tradycje w walce z kosmopolityzmem opadają na dno społeczeństwa—ku jego podstawom, tułąc się u ogniska niskich dworaków i strzech wieśniaczych. Ludzie, wystudzeni wszechświatowością, zatracają obyczaj rodzinny i są, jako one śmieci, którym wszystko jedno, do jakiego kąta zamiecione będą. Ale ilekroć serce ostygłe zapagnie poezyi, ilekroć duch podnioślejszy poczuje się łącznikiem przeszłości z przyszłością, wiecznie sięgać będzie do tej krynicy życia, do tego niewygasłego nigdy zarzewia w starej urnie pamiętek“.

Takie były myśli autora w chwili, kiedy przystępował do pracy uciążliwej, opartej na długoletnich badaniach, wydobywaniu z dzieł rozmaitych autorów i gromadzeniu rozproszonego materiału do stworzenia pełnego obrazu zwyczajów dorocznych polskich.

Zamiłowanie, z jakim Z. Gloger traktował swój przedmiot, i praca, której nie szczędził, odbiły się bardzo korzystnie na całości dzieła. Z cichej pracowni dworu szlacheckiego w Jeżewie wyszła też w świat książka, której wartość nieprzemijająca stanowi największą dla zasłużonego badacza nagrodę i która pójdzie w przyszłe pokolenia, jak promień światła, rozjaśniający drogi, przez naród w tylowiekowej kulturze swojej przebyte.

„Rok Polski“—taki, jakim jest, znaleźć się powinien w każdym domu polskim, a wszędzie przyniesie korzyści niemałe, zwłaszcza w wychowaniu młodzieży—wszędzie do serc przemówi, i nie tylko do serc, ale i umysłów, które znajdą tam rozwiązanie niejednej zagadki, wyjaśnienie wielu form obrzędowych, sięgających początkiem swoim wstecz—aż do czasów pogaństwa.

Dzieło swoje podzielił Gloger na części, odpowiednio do czterech pór roku, poczynając od zimy, mianowicie: od Adwentu, jako przygotowania i wstępu do uroczystości Bożego Narodzenia, rozpoczynającej u Chrześcijan rok nowy.

Na wstępie znajdujemy wyjątek z mało znanego utworu Władysława Jeżowskiego (z pierwszej połowy XVII wieku) p. t. „Porządek zabaw ziemiańskich według czterech części roku“. Dalej mamy rzeczy: o prządkach, wieczornicach, zabawach i rozrywkach niewieściach czasu adwentu, pięknie napisany artykuł przez samego autora o Adwencie i Roratach polskich, które nigdzie i nigdy nie były odprawiane tak solennie, jak u nas, opisy Wigilii Bożego Narodzenia, Gody, kolędy, jasełka, Nowy Rok, „Przygodę noworoczną pańien Skiwskich“, wydobyta z „Silva rerum“ ks. Karola Żery, franciszkanina, z klasztoru Drohiczyńskiego, w początkach w. XVIII, kolę-

dowanie duchowieństwa itd., kończąc aż na Wielkim Poście i jego obserwowaniu w dawnej Polsce.

Wiosnę rozpoczyna wiersz Syrokomli, wyjęty z poematu „Dni doroczne“, poczem idzie szereg umiejętnie dobranych poezji najprzedniejszych autorów dawnych i współczesnych, opiewających wiosnę. Z artykułów naukowych — na uwagę zasługują: „Prima Aprilis“, „O sadach“ — (rozdział z „Ekonomiki ziemiańskiej“, Jakóba Kazimierza Haura, wydanej w r. 1675). Niedziela palmowa, Wielki Tydzień, święcone, pisanki, Dyngus v. Śmigus, Emaus, Rękawka, Dziady wiosenne, czyli piąty dzień po Wielkiejnocy, Zielone Święta, „Bielany“, wreszcie najważniejsze przysłowia i prognostyki o siejbie wiosennej i urodzajach.

Lato przynosi nam uroczystości Bożego Ciała za Piastów, według powieści Deotymy „Branki w Jassyrze“, oraz artykuły: o wiankach na Boże Ciało, o koniku Zwierzynieckim w Krakowie, o frycowem u Mazurów, o Sobótce i wiankach w wigilię św. Jana, o podbieraniu miodu, o połowie „Jacicy“ (według Orzeszkowej), o dożynkach itd.

Jesień wreszcie zawiera, między innymi rzecz „O siewie oziminy“, głos Jakóba Kazimierza Haura „Do myśliwych“, Dzień Zaduszny, O łakomstwie dziadowskiem, wyczerpującą pracę o „Godach weselnych“, dla których jesień jest przyrodzoną porą w Polsce, jako kraju rolniczym, o przędziwie, Przysłowia i wróżby jesienne na św. Katarzynę i św. Andrzeja, wreszcie słów kilka z cytowanego już powyżej Jakóba Haura — „o otwarciu szkół we wsi“, jesienią bowiem:

— „Sposobią się też chłopkowie na wsiach do czytelnych i piśmiennych nauk, gdy za tą wygodą ludzie wiejscy swoje dziatki posyłają do pomienionych szkół, do czego każda parafia ma mieć do tej promocyj i dozoru baczenie, pilność i powinność dla ćwiczenia młodzi, albowiem trafiają się między nimi tak sposobne ingenia i przychylnie do nauki, że stąd biorą do wszystkich nauk dobry początek i powód, bywają z nich na chwałę Bożą i do świeckiej polityki ludzie godni i by ich było wiele na świecie, albowiem świat stoi, wspiera się i zdobi ludźmi z nauk uczonemi i mądrymi“.

Wszystko to związane w misterną całość, niby wieniec z kłosów polskich zwity — i to z kłosów, zbieranych na najplenniejszej niwie literatury naszej. Wśród autorów bowiem, z których Gloger czerpał obfitą ręką, bądź poezye, bądź wiadomości folklorystyczne, bądź wreszcie opisy o charakterze społeczno-obyczajowym i historycznym, spotykamy nazwiska: Jana Kochanowskiego, Kaspra Miaskowskiego, Stanisława Grochowskiego, Jeżowskiego, Ignacego Krasieckiego, Na-



ruszewicza, J. P. Woronicza, Karpińskiego, Mickiewicza, Odyńca, Pługa, Syrokomli, Pola, Asnyka, Haura, Kitowicza, Lucyana Siemieńskiego, W. A. Maciejewskiego, Deotymy, Orzeszkowej, Kraśzewskich Józefa Ign. i Kajetana i wielu innych.

Obok licznych wyinków z powyżej cytowanych pisarzy, znajdujemy szereg artykułów własnych Glogera, opracowanych na podstawie spostrzeżeń, zapisków, badań i poszukiwań samoistnych.

Dzieło nie było-by jednak kompletne, gdyby autor nie był pamiętał o uzupełnieniu go ilustracyami. Odczuwając potrzebę przedstawienia rysunkiem najważniejszych chwil w „Roku Polskim“ i pewnych charakterystycznych momentów w obchodach i obrzędach, skorzystał autor z bogatej spuścizny artystycznej po ś. p. Andriolim, którego talent tak celował w odtwarzaniu scen z życia „dworu wiejskiego“. Dobrze znanych, miłych i serdecznych, jakby rzecz można, rysunków tych, spotykamy w księdze z górą dwadzieścia; na resztę, a jest ich ogółem czterdzieści—złożyli się: Koszak, Holewiński, Wojciech Grabowski, Pocięcha, Alfred Wierusz-Kowalski, Konopacki i Kozakiewicz.

Strona zewnętrzna księgi, dzięki staraniom autora i wydawcy—także nic do życzenia nie pozostawia i zdaje się świadczyć o pomyślnym zwrocie w naszym drukarstwie, które w wykonaniu powierzonych sobie robót powoli zaczyna się już wznosić ponad przeciętną poprawność.

---

Pani Matuszewiczowa nie ma jeszcze piór do szerszego lotu. Znać to po braku techniki, po wielkiej naiwności tworzenia, po niepotrzebnem gadulstwie i rozwodzeniu się nad szczegółami. Powieść jej architektonicznie jest bardzo słaba, pod względem zaś artystycznym równie wiele do życzenia pozostawia. Z tem wszystkim posiada ona jednak pewną siłę i rozmach.

„Dwa prądy“ reprezentują dwie kobiety ze sfer arystokratycznych: piękna i demoniczna Irma, półdziewica, sprzedająca się bogatemu księciu, szalona, zmysłowa, zepsuta i zła, obok niej zaś, a raczej przeciw niej, pełna domowych cnót polskich, czysta, łagodna i cicha, hrabianka Jadwiga.

Te dwie dusze rozkwitają w powieści, jak dwa kwiaty: jeden z płomienia i żądy, purpurą granatu olśniewający oczy, drugi, jak lilia biały i nieskażony niczem.

Irma na drodze swojej wszystko miażdży; Jadwiga koi, podnosi i tuli.

Takie charaktery kobiece niezaprzeczenie są w życiu, są w niem „wcielenia zła“ i „geniusze dobroci“; ale w powieści, aby się wypowiedziały dobrze, trzeba im dać tło należyte, trzeba je wyprowadzić na takie światło, aby się w niem wydały, uwypukliły, zarysowały wyraźnie. Tego tła i tego światła braknie właśnie w powieści p. Matuśzewicowej.

Obie panny kochają się kolejno w jednym mężczyźnie. A mężczyzna ten, to malarz i poeta w jednej osobie, młodzieniec, z mgły i promieni księżycy utkany, natura miękka, delikatna, marząca. Światowa Irma poznaje go w sposób nieświatowy — na lawce, w ogrodzie miejskim. Wiedząc, kim jest, kokietuje go, zaczyna i skłania do malowania swego portretu. Artysta, wdziękami jej oszołomiony, przystaje — i rozpoczyna się szereg posiedzeń w pracowni na poddaszu, szereg dni narkotycznych, upajających, szereg scen bardzo romansowych, z bardzo już starą i opisaną Francuzką do towarzystwa, która zasypia nad książką w chwilach najmniejbezpieczniejszych dla powierzonych opiece jej panny.

Te sceny wszystkie są słabe, daleko jeszcze słabsze w pomysśle, niż w wykonaniu. Romans kończy się wreszcie tragicznie. Wycalowanej i wyściskanej Irmie zakochany malarz mówi dnia pewnego:

— Wyjdź za mnie.

A Irma? Powstała z fotelu, wyprostowała się i mierząc go wyniosłe oczyma od stóp do głowy, odrzekła z ironicznym uśmiechem:

— Chyba pan bredzisz w gorączce, panie artysto! Ja? Małżonką pana? To było-by niezłe — ja, która i po mitrę książęcą, i po miliony mam prawo sięgnąć, skuta na wieki z biedakiem, którego całoroczny dochód na moje szpilki-by nie wystarczył. I cóż-był ja u boku pana robiła? Ja bez zbytków obyć się nie mogę, mnie trzeba brylantów i złota do szczęścia, dużo złota — tyle, abym go bez rachunku wyrzucać mogła. Mnie trzeba salonów i dywanów miękkich, i kwiatów egzotycznych, i szampana tyle, co holdów mężczyzn, bo miłość i uwielbienie pana nie wystarczyły-by mi, nie zaspokoiliły mych pragnień, mych nerwów i mej natury namiętnej. Mogłam z panem żartować i flirtować — ja tak to umiem! Zresztą, byleś mi pan sympatycznym — jesteś tak piękny i całować umiesz!..

Taka jest Irma, bezcelnie otwarta i cyniczna Irma, hrabianka z duszą ulicznicy.

Te słowa budzą płomień dumy upokorzonej w odepchniętym kochanku. „Nie chcesz być moją żoną, będziesz nałożnicą“... i była-by nią piękna hrabianka, gdyby nie krwotok gwałtowny i omdlenie młodzieńca, które jej honor zaangażowany ratują.

I cóż teraz? Oczywiście, długa choroba, powolny powrót do zdrowia, opieka przypadkowego przyjaciela, złotego młodzieńca, który także przez ogień Armii przeszedł, zniszczenie arcydzieła — portretu, i wiele, wiele innych rzeczy — wszystko, o czym już mówił Ben Akiba, a potem — lekcye rysunków w domu hrabianki Jadwigi i — ona sama, anioł dobroci.

I znów po upływie pewnego czasu zakwita miłość. Poddaje się jej Jadwiga z całą gołębią prostotą, kocha bez namiętności, ale duszą kocha i po śmierci kochanka, którego suchoty z nieubłaganą logiką zabierają ze świata i któremu sama, wbrew przesądom kastowym, oczy zamyka, szuka spokoju i uciszenia w murach klasztornych.

All right! Tak się budowało powieści w dawnych czasach, ale tak ich się nie powinno budować dzisiaj.

Autorka nie doprowadziła dwóch prądów, dwóch natur, dwóch bohaterek swoich do żadnego konfliktu. Armie, w przytoczonej powyżej scenie, pozwoliła się jeszcze zarysować, ale o bladej bardzo Jadwidze — tylko mówi i tylko ją opisuje — i dlatego oba te charaktery wołają o tło i o światło, o pogłębienie psychologiczne i o głos dla samych siebie. Gdyby one mówiły same, gdyby mniej nam o nich opowiadała autorka, powieść była-by niewątpliwie lepsza. Taka, jak jest, nie wnosi do literatury nic, prócz tak zwanej literatury, do której należą już oddawna wszystkie, wyprowadzone przez autorkę, typy, i wszystkie, stworzone przez nią, sytuacje.

Na szczęście, p. Matuszewicowa jest autorką młodą, i pisze od bardzo niedawna, jak nas zapewnia w grzecznie i z pewną kurtuazyą pisanej przedmowie p. Kazimierz Tetmajer. To wnosić pozwala, że „Dwa prądy“ są utworem jej pierwszym, są dopiero próbą niejako. I jeżeli, jako na próbę, na powieść tę będziemy patrzyli, to przyznać musimy, że próba wypadła pomyślnie.

Autorka posiada śmiałość pióra, posiada styl gładki, język potoczny, który niepotrzebnie psuje tylko dodatkami francuszczyzny „dla lepszego rzeczy zrozumienia“, posiada dar spostrzegania bezpośredniego, który się z czasem rozwinać może w obserwację ściślejszą, i umie szczerze i bez ogródek, nie obawiając się o zbytnią jaskrawość, myśli i przekonania swoje wypowiadać, a to stanowi już dużo i świadczy, że poza zieloną skorupą naleciałości, jak ziarno słodkie w orzechu, dziś niedojrzałym jeszcze, tkwi talent indywidualny.

P. Tetmajer, który autorkę wprowadza do literatury, — a szczęśliwą rękę, bo wprowadził tak Orkana, — radzi jej wiele wzorowych dzieł czytać i wiele pisać. Do tych dwóch rad przyjacielskich dodali-byśmy jeszcze trzecią: przedewszystkiem głębiej patrzeć w siebie i w ludzi, odnajdywać siebie samą we wszystkim i sobą być wszędzie.

Z. D.

Józef Dunin-Karwicki: „Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości“. Wołyńskie opowiadania historyczne. Warszawa. Księg. Dubowskiego, 1901.

P. Dunin-Karwicki nie po raz pierwszy opisuje Wołyn — jego opowiadania historyczne (Lwów, 1898) sporą już wiązkę dawnych wydarzeń i tradycyi wołyńskich podały czytelnikom; obawiać się zatem należało, że autor, powracając do przedmiotu, kilkakrotnie omawianego przez siebie, nie uchroni się od powtórzenia rzeczy, dawniej opisanych. Autor jednakże uniknął niebezpieczeństwa, a nawet, opisując tym razem miejscowości mniej znane, których skrzętnie przeszłość wy badał, sięgnął o wiele dalej w głąb wieków. Książka „Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości“ więcej może od poprzednich dzieł autora przyczyni się do rozświetlenia dziejów Wołynia. Pisana jest także treściwiej od prac dawniejszych p. Karwickiego. Czyta się z zajęciem i uznaniem dla autora.

M. R.

---

## *Kronika miesięczna.*

W dniu 30 listopada roku bieżącego zmarł w pałacu belwederskim generał - gubernator warszawski, generał piechoty, generał adjutant książę Aleksander, syn Konstantyna, Imeretynski.

Potomek króla Imerety na Kaukazie, książę Imeretyński urodził się 5 stycznia 1837 roku w gubernii Moskiewskiej. Wykształcenie otrzymał w korpusie paziów i w akademii sztabu generalnego, — poczem rozpoczął w roku 1853 służbę w dywizji pionierów konnych lejbgwardyi i niebawem ujawnił zdolności wojskowe, jako zaliczony do oddziału kordonu lezgińskiego, z którym brał udział w rozmaitych potyczkach.

Następnie pełnił kolejno ważne obowiązki naczelnika sztabu gwardyi warszawskiego okręgu wojskowego (1863—1867), pomocnika naczelnika sztabu tegoż okręgu (1869 — 1873), a wreszcie naczelnika sztabu tegoż okręgu.

Po wyjeździe z Warszawy, ksiązę Imeretinski był kolejno pomocnikiem inspektora batalionów frontowych (1876), naczelnikiem drugiej dywizyi piechoty (1877), później odbywał kampanię w wojnie rosyjsko - tureckiej 1878 — 1879 jako naczelnik sztabu armii czynnej na europejskim teatrze wojny, gdzie, dowodząc drugą dywizyą piechoty, odznaczył się obok generała Skobelewa przy oblężeniu Plewny.

Po wojnie objął ksiązę Imeretinski w stopniu generał-adjutanta urząd naczelnika sztabu wojsk gwardyi i petersburskiego okręgu wojskowego (1879 — 1881), a następnie naczelnika głównego zarządu sądów wojskowych i naczelnego prokuratora wojskowego.

W roku 1891 zmarły dostojnik został generałem piechoty, 1892 roku — członkiem rady państwa, a w dniu 13-tym stycznia 1897 roku, skutkiem usunięcia się hr. Szuwałowa od obowiązków generał-gubernatora warszawskiego, ksiązę Imeretinski mianowanym został głównym naczelnikiem kraju i dowodzącym wojskami warszawskiego okręgu wojskowego.

Znajomość stosunków tutejszych, nabyta w ciągu poprzedniej służby w Królestwie Polskiem, dopomogła księciu Imeretinskiemu do rowinięcia na tem stanowisku w różnych kierunkach działalności administracyjnej, której owocem był szereg instytucyi społecznych i ekonomicznych, zapoczątkowanych za rządów zmarłego naczelnika kraju.

Śmierć, przerywająca w niespełna lat cztery tę ożywioną działalność, jest też dla kraju naszego wypadkiem ważnym.

---

Jedną z „bólących“ spraw Warszawy była bardzo wysoka cena abonamentowa telefonów. Powszechnie narzekano na ich drożyznę. Istotnie, telefon w Warszawie dostępny był tylko bądź dla instytucyi większych, bądź dla ludzi materialnie uprzywilejowanych, a wskutek tego nie spełniał tej roli, jaką spełnia gdzieindziej i jakiej życie współczesne od niego wymaga. Był on dotąd o połowę mniej użytecznym, niż być powinien.

Obecnie stosunki mają uleść zmianie. Z rokiem przyszłym się telefonów warszawskich przejdzie na własność Towarzystwa szwedzkiego: „Södergrenu“, które utrzymało się w przetargu z ceną abonamentową 69 rubli rocznie, zapowiadając przytem zniżkę 10 — 12% dla tych, którzy dla użytku osobistego, lub familijnego, zaprowadzą u siebie telefony.

W stosunku do dzisiejszej ceny abonamentowej, obniżenie jest znaczne, nie udostępnia ono jednak ogółowi telefonu tak, jakby tego pragnąć należało z wielu względów.

Telefon prawdziwe usługi może oddać społeczeństwu dopiero wówczas, kiedy się stanie powszechnym, kiedy będzie w każdym lokalu i dla każdego dostępny, a osiągnąć to można dopiero po ustanowieniu takiej ceny abonamentowej, która nie obciążała-by budżetu żadnej średnio zamożnej rodziny, to znaczy, nie wynosiła więcej, jak 20 — 25 rubli rocznie.

Dzisiaj niewątpliwie użyteczność telefonu wzrośnie, zastosowanie jego w życiu codziennem mieszkańców Warszawy rozszerzy się znacznie, ale nie dojdzie jeszcze do swojego maximum. Trzeba będzie całego szeregu lat i dobrej woli ze strony Towarzystwa szwedzkiego, zanim to nastąpi.

Tymczasem jednak, przy 69-cio rublowej opłacie mógł-by posiadać telefon każdy dom, i o tem pomyśleć winni właściciele kamienic warszawskich. Pobierając pewną nieznaczną dopłatę do komornego od tych lokatorów, którzy-by z telefonu korzystać pragnęli, mogli-by oni koszt połączenia telefonicznego zmniejszyć dla siebie w niektórych wypadkach do połowy, a mieszkańcom domu sprawili-by wielkie udogodnienie.

Telefon taki powinien się znajdować w osobnej szafce w bramie, na schodach frontowych, utrzymywanych zwykle porządnie w większości kamienic, lub w mieszkaniu stróża. Obok tego każdy dom mógł-by posiadać jeszcze telefon miejsce wewnątrz, a nie-jeden z lokatorów zgodził-by się chętnie na przeprowadzenie takiego połączenia wewnętrznego własnym kosztem, aby mógł w następstwie porozumiewać się ze stacją główną i wygodnie z własnego gabinetu rozmowę prowadzić.

Czy jednak w naszych stosunkach, przy ustawicznym nieporozumieniu lokatorów z właścicielem domu, przy wyzysku z jednej strony a jagnięcej potulności z drugiej, przy wyśrubowaniu komornego do wysokości niebywalej, a sprowadzeniu wszelkich udogodnień w mieszkaniach do minimum — można się spodziewać pomyslnego załatwienia tej sprawy — jest rzeczą wątpliwą. W każdym razie inicjaty-

wa nie wyjdzie tu z grona właścicieli domów, ale od ich mieszkańców.

Są na przykład w Warszawie przy niektórych ulicach domy, zamieszkałe wyłącznie przez inteligencję, domy, w których mieszka kilku lekarzy, adwokatów, urzędników, literatów i t. p. Dla wszystkich tych ludzi telefon był-by rzeczą niezmiernie pożyteczną, powinni też oni występować do właścicieli domów z żądaniem tego udogodnienia, które staje się w życiu domowym równie dzisiaj potrzebne, jak wodociągi, oświetlenie gazowe i t. d.

Inaczej każdy z nich będzie musiał zaprowadzić u siebie telefon na własną rękę, nieraz z uszczerbkiem dla innych pozycji swojego skromnego budżetu. Każdy na przykład lekarz powinien mieć u siebie telefon, tak dla wygody własnej, jako też dla wygody wzywających go nieraz w porze nocnej pacjentów. Ileż czasu zmitrężyć trzeba w niektórych wypadkach, zanim, dzwoniąc od drzwi do drzwi, błakając się po ciemnych schodach i korytarzach, znajdzie się lekarza? Przez telefon można tymczasem w ciągu pięciu minut porozumieć się z jednym, drugim i trzecim lekarzem, dowiedzieć się, który „j e s t w d o m u“, a którego „n i e m a“, który gotów jest przyjść, a który wizyty odmawia. Dzisiaj, niestety, rzadko który lekarz ma u siebie telefon w domu, bo i nie podobna wymagać tego wydatku od ludzi, którym praktyka przynosi przeciętnie niewiele więcej ponad normę egzystencji rodzinnej, a częstokroć, w początkach zwłaszcza, mniej daleko, niż sobie ogół wyobrazić może.

Lekarze przeto, adwokaci, dziennikarze i literaci, wszyscy, dla których telefon jest oszczędnością czasu, z chwilą zaprowadzenia 69-rublowej opłaty wystąpić powinni do właścicieli domów z żądaniem zaprowadzenia telefonów „zbiorowych“ w zamieszkiwanych przez nich kamienicach Warszawy.

---

Dobiegający kresu rok zapisze się bardzo dodatnio w dziejach komunikacji kraju naszego. Linia Warszawa - Kalisz, trzy linie dojazdowe w Zagłębiu Dąbrowskiem i zatwierdzona świeżo kolej Płocka — to plon bogaty.

Ekonomiczne znaczenie arteryi poprzednich podnieśliśmy już na tem miejscu. Pozostaje nam do omówienia sprawa kolei Płockiej, któ-



rej budowę w dniu 15 listopada roku bieżącego zatwierdziła komisya w Petersburgu po szczegółowem zbadaniu przedstawionych jej projektów.

O budowę kolei tej, jak wiadomo, współbiegały się cztery grupy. Wszyscy konkurenci proponowali budowę kolei normalnego toru rosyjskiego (5 stóp), na warunkach prawie jednakowych, bez obciążenia skarbu państwa jakimikolwiek wydatkami, niektórzy jednak pragnęli zarazem uzyskać koncesyę na budowę kolei z Płocka do Kutna z mostem przez Wisłę. Tę ostatnią sprawę oddzielono jednak od pierwszej, wskutek czego warunki zmieniły się nieco i ostatecznie do współzawodnictwa stanęły dwie tylko grupy: p. W. Zielińskiego i generała Klimenki. Obie grupy zgodziły się na sfinansowanie przedsiębiorstwa w jeden i ten sam sposób, mianowicie, przez utworzenie towarzystwa akcyjnego, którego kapitał akcyjny do obligacyjnego znajdował-by się w stosunku jak 1 : 3. Inne warunki opiewały: budowa dróg ma być przeprowadzona tak, ażeby w ciągu 2½ lat od daty zatwierdzenia koncesyi ukończono ją w całości; po latach sześćdziesięciu kolej p r z e c h o d z i na rzecz Skarbu, który jednakże już po upływie lat dwudziestu nabywa prawo wykupu linii; połowa zysków, osiągniętych z eksploatacyi, a przenoszących 6%, należy do Skarbu; cena wykupu określa się przez kapitalizacyę w stosunku 5% rocznie za cały czas pozostały do końca koncesyi średniego dochodu czystego z pięciu najbardziej dochodowych lat ostatniego przed skupem siedmiolecia.

Różnicę między współzawodniczącymi przedsiębiorcami stanowił tylko kierunek linii.

I tak: grupa p. W. Zielińskiego proponowała budowę kolei od Kroczeva w kierunku południowym przez Gniewkowo; grupa zaś generała Klimenki w planach swoich trzymała się więcej na Północ—przez Zdunowo, Krzysk, Bońki, Skarzyn, Kucice — do Gniewkowa, skąd kierunek obydwu linii był już jednakowy.

Zwyciężyła ostatecznie, jako nieco krótsza, linia południowa, której zatwierdzony kierunek wypada, poczynając od stacyi Nowogięrgiewsk kolei Nadwiślańskiej—przez Zakroczym, Kroczewo, Złotopolice, Noskowo, Strzembowo, Srebrną, Żukowo, Nacpolsk, Skarzyn, Osiek, Bulkowo, Rogowo-Duchowne, Turowo, Blichowo, Wólkę, Radzynowo, Osolino, Rogozin, Stróżewkę—do Płocka. Ogólna długość kolei tej wynosi 72 wiorsty, podczas kiedy linia północna wyniosła-by wiorst 75.

Nowozatwierdzona kolej przetnie dwa najżyźniejsze powiaty prawego brzegu Wisły: Płoński i Płocki, powiaty nawskroś rolnicze, o dobrej kulturze, w których procent ziemi uprawnej wynosi 71 — 74

w stosunku do ich ogólnej przestrzeni, podczas kiedy w powiatach sąsiednich stosunek ten przewyższa zaledwie 50%. Średnia cena morga ziemi w powiatach tych dochodzi obecnie do rubli 60, podczas kiedy w sąsiednich waha się między 40—50 rub. Oba powiaty zaludnione są gęsto. W powiecie Płońskim na wiorstę kwadratową przypada 73 mieszkańców, w Płockim — 61, w innych zaś powiatach gubernii Płockiej gęstość zaludnienia stopniowo zniża się aż do 52 mieszkańców na wiorstę kwadratową.

Posiadając znaczne obszary ziemi uprawnej, oba te powiaty nie posiadają natomiast prawie wcale lasów, a stąd mają niezmiernie skąpą ilość materiału opałowego. Dowóz zaś węgla, jako bardzo utrudniony, podniósł cenę tego artykułu do wysokości, uniemożliwiającej szersze zastosowanie. Węgiel będzie też stanowił jedną z główniejszych pozycji dowozu nowej kolei, obok niego zaś pójdą znaczniejsze transporty wapna, cementu, soli, nafty i t. p.

Jako artykułów wywozowych okręg kolejowy dostarczy przede wszystkim rocznie około dwóch milionów pudów zboża, następnie zaś znaczną ilość cukru z dwóch znajdujących się przy linii cukrowni, spirytusu — z dziewięciu gorzelnii, mąki i t. p.

Koszta budowy kolei w przypuszczeniu wyniosą około półtora miliona rubli. spodziewany zaś dochód brutto mniej więcej 160,000 rubli. Odliczając od tego 50% na koszta eksploatacyi, zostaje jeszcze 80,000 rubli, jako fundusz, przeznaczony na procenty od obligacyi i dywidendę dla akcyonaryuszów.

Gubernia Płocka w nowej kolei pozyska niewątpliwie bardzo ważny warunek do swego rozwoju rolniczego i przemysłowego, który dotychczas, jeżeli nie jedynie, to głównie z powodu braku odpowiednich środków komunikacyjnych postępował bardzo powoli. Kraj żyzny i ludny nie mógł pozostać dłużej przy pierwotnej komunikacyi Wisłą i drogami bitymi, które w klimacie naszym zaledwie przez pół roku pozwalają normalnie z siebie korzystać, wymagał on połączenia współczesnego ze światem, zapewniającego mu dogodny i nienarazony na wpływy atmosferyczne sposób komunikowania się z ogniskami przemysłu i handlu.

Z otwarciem nowej kolei podniesie się też cały szereg miast i miasteczek okolicznych i wzrośnie dobrobyt ich mieszkańców — warunek niezbędny wszelkiego prawidłowego postępu, zwłaszcza w kierunku kulturalnym.

W sferach prawniczych polskich oddawna cieszy się zasłużonym uznaniem wydawnictwo Stefana Godlewskiego, pod tytułem: „Zbiór praw Królestwa Polskiego“.

Trzydzieści właśnie mija lat od chwili, kiedy zmieniono u nas system ogłaszania praw, znosząc urzędowe wydawnictwo: „Dziennik praw Królestwa Polskiego“. Zmiana ta postawiła prawników naszych w położeniu bardzo kłopotliwym. Każdy rok przynosił nowe ustawy i rozporządzenia, które tonęły odtąd w całej masie ustaw państwowych, drukowanych i podawanych do wiadomości wyłącznie przez organ Senatu rządzącego: „Zbiór ustaw i rozporządzeń Rządu“. W razie potrzeby, tam trzeba było się udawać i wertować olbrzymie roczniki wydawnictwa dla wyszukania jednej drobnej ustawy lub mało znaczącego rozporządzenia. Po kilku latach żaden z prawników, zajmujących się praktyką, pracy tej nie mógł już podolać. Urosła ona do rozmiarów olbrzymich.

Widząc to, członkowie b. Rządowej Komisji Sprawiedliwości stworzyli własnymi siłami wydawnictwo prywatne, pod tytułem: „Zbiór praw, obowiązujących w guberniach Królestwa Polskiego“, pragnąc, aby się ono stało dalszym niejako ciągiem „Dziennika praw“, i objęło wszystkie prawa, opublikowane po roku 1871 (o ile te odnoszą się do Królestwa Polskiego), w dosłownym tekście rosyjskim, przedrukowanym z wydania urzędowego, z dokładnym obok przekładem na język polski.

Wydawnictwo to objął w roku 1881 p. Stefan Godlewski, i poświęcił mu dwadzieścia lat pracy mozolnej i wytrwałej, doprowadzając do tego, że dziś „Zbiór praw Królestwa Polskiego“, podzielony na dwie serye, mieści w sobie wszystkie prawa za lata 1871 — 1898, a po zamknięciu w roku 1901 seryi II-ej, mieścić będzie prawa za lat trzydzieści (1881—1900), co, łącznie 71 tomami „Dziennika praw“, stworzy: „Całkowity zbiór praw Królestwa Polskiego za wiek XIX, począwszy od Księstwa Warszawskiego, aż do końca stulecia“.

Olbrzymia jednak ilość ustaw, jaka w ostatnich czasach rok rocznie się wydaje, czyni niemożliwym utrzymanie nadal wydawnictwa w tej formie, w jakiej było ono prowadzone dotąd. Opracowanie takiej ilości materiału przechodzi siły pojedynczego człowieka, a przy zwiększonych niepomierne kosztach, wydawnictwo staje się coraz droższe i mniej dostępne dla ogółu, a tem samem chybia celu. Z drugiej atoli strony, zupełne zaniechanie wydawania „Zbioru praw

Królestwa Polskiego“ odbiło-by się bardzo niekorzystnie na naszych stosunkach prawniczych, a po części i na stosunkach kraju całego.

Mając to na uwadze, p. Godlewski postanowił z dniem 1 stycznia 1901 roku nie zawieszać wydawnictwa, ale je odpowiednio zmodyfikować, głównie w kierunku udostępnienia go szerszym kołom.

Mamy właśnie przed sobą zapowiedź tej reorganizacji.

Serya III wydawnictwa, która rozpocznie się od Nowego Roku, obejmie dwie równoległe części.

Część I zawierać będzie właściwy „Zbiór praw Królestwa Polskiego“, obejmujący w dwóch półrocznikach przedrukowany z wydania urzędowego dosłowny tekst najważniejszych i ogół obchodzących ustaw z dokładnym obok przekładem na język polski.

Część II będzie „Przewodnikiem prawnoinformacyjnym“, gdzie znajdzie się systematycznie podług ministerjów ułożony spis wszystkich świeżo wydanych w każdym roku praw, w Królestwie Polskiem obowiązujących, ze streszczeniem ważniejszych, o ile te w samym zbiorze umieszczone nie będą, oraz ze wskazaniem M-rów i stronie wydania urzędowego, gdzie sam tekst prawa się znajduje.

Taka reforma zredukuje znacznie dzisiejszą objętość wydawnictwa, a tem samem pozwoli je uczynić tańszem, nie pozbawiając bynajmniej użyteczności.

„Wszakże — czytamy w odeźwie wydawcy — dla utrzymania wydawnictwa i w takiej zmienionej formie, niezbędne jest poparcie interesowanych, od którego to poparcia wyłącznie dalsza egzystencja wydawnictwa zawisła“.

Sądźmy, że ogół interesowany w danym wypadku dobrze zrozumie pożytek wydawnictwa, i wszelkimi siłami popierać je będzie bez nawoływań, zwłaszcza, że od liczby sprzedawanych egzemplarzy zależna jest przedewszystkiem taniść „Zbioru praw“, jako wydawnictwa, nieobliczonego na spekulację.

Pragnąc nadto umożliwić szerszemu ogółowi korzystanie z dotychczasowej swej pracy, p. Godlewski wszystkim tym, którzy zechcą zapisać się na listę stałych nabywców III seryi „Zbioru praw“, o ile zgłoszą się nie później, jak 1 stycznia 1901 roku, — gotow jest odstąpić niewielką liczbę pozostałych kompletów „Zbioru praw“, albo skompletować brakujące tomy, po cenie znacznie niższej, a mianowicie: komplet „Zbioru praw“ za lat 28 (1871—1898), tomów 58, pięć dodatków i skorowidz (czyli razem 64 tomy) za rubli 50, to jest prawie za czwartą część ceny pierwsiastkowej (182 rub. 75 kop.); pojedyncze zaś tomy seryi I i II za 50% ceny pierwsiastkowej, na każdym tomie oznaczonej. Gdy jednakże z obliczenia w tym stosunku nabywanych do kompletu pojedynczych tomów wypadło więcej, niż rubli

50, to cena ogólna wszystkich dobranych tomów oznacza się na rubli 50.

Podajemy to do wiadomości w nadziei, że niejedyn z czytelników naszych z informacji powyższej zechce skorzystać.

Kurator warszawskiego okręgu naukowego zatwierdził tymczasowo na lat trzy nowy plan nauki języka polskiego w gimnazyach i szkołach realnych.

Nowy ten plan przeznaczają po dwie godziny tygodniowo na wykład języka polskiego w każdej klasie i w każdym zakładzie naukowym, wyjąwszy klasę przygotowawczą gimnazyów i szkół realnych, tudzież klasę I-szą szkół realnych, dla których liczba godzin wynosi trzy tygodniowo.

Znacznie rozszerzony w ramach tych program wykładu języka i literatury polskiej w szkołach średnich, zbyt obszerny, by go tu przytaczać w całości, zawiera następujące wyjaśnienia, które dotyczą najważniejszej kwestyi, bo samej metody nauczania.

Wyjaśnienia te podzielone zostały na dwie części, z których jedna obejmuje klasy niższe, druga — wyższe.

W niższem gimnazyum, do klasy IV-ej włącznie, przechodzi się całkowity kurs gramatyki. Na wykład jej przeznaczono godzinę na tydzień w każdej klasie, przyczem w klasie przygotowawczej wykład prowadzony być ma sposobem praktycznym (a mianowicie drogą rozbiorów i przykładów), w czterech zaś klasach następnych systematycznie. Zastosowanie w wykładzie metody porównawczej pozostawione zostało uznaniu nauczyciela, z podkreśleniem jednakże tego, że pożyteczną może być ta metoda jedynie wówczas, gdy uczniowie zaznajomią się już z gramatyką języka staropolskiego, to jest w klasie IV-ej dopiero. podczas przechodzenia głosowni polskiej i uzupełnienia wiadomości z zakresu etymologii, jak również w klasach wyższych przy czytaniu utworów, napisanych w języku staropolskim.

Naukę gramatyki uzupełniają ćwiczenia praktyczne, tak ustne, jak i piśmienne. Do ćwiczeń ustnych należy przedewszystkiem czytanie, przy którym, oprócz objaśnień zwykłych, nauczyciel winien objaśnić także trudniejsze wyrazy polskie, zastępując je innemi. Oprócz

tego, w klasach III i IV należy zwracać uwagę uczniów na budowę i plan przeczytanego opisu, lub opowiadania. Przy ćwiczeniach, polegających na opowiadaniu utworów przeczytanych, należy mieć na względzie wiek i rozwój uczniów. W klasie przygotowawczej opowiadanie takie winno polegać początkowo tylko na zadawaniu uczniowi pytań, wyczerpujących treść urywka, później zaś dopiero można przejść do opowiadań w ciągu. W klasach I i II uczniowie mają się już przyzwyczajać do ścisłego, stopniowego i prawidłowego odtwarzania przeczytanych utworów. W klasach III i IV należy poza tem pisać z uczniami plany systematyczne do przeczytanych utworów. W szeregu dalszych ćwiczeń ustnych program wymienia: rozbiór gramatyczny, naukę wierszy na pamięć i tłumaczenia z języka rosyjskiego na polski, a więc odwrotnie, niż było dotychczas. Wszystkie ćwiczenia piśmienne powinny być dokonywane wyłącznie i bezwarunkowo w klasie, a polegać mają na: przepisywaniu z książki, pisaniu wierszy, których uczniowie nauczyli się na pamięć, pisaniu deklinacji i konjugacji, dawaniu odpowiedzi na pytania, postawione przez nauczyciela na zasadzie przeczytanego urywka, pisaniu przykładów na zdania proste, ściągnięte i złożone, pisaniu planów do przeczytanych utworów, piśmiennem opowiadaniu przeczytanego urywka, pisaniu dyktand i t. d. Co do tych ostatnich, to wobec koniecznego wprowadzenia jednolitości do pisowni polskiej, we wszystkich zakładach naukowych okręgu warszawskiego wybrana została pisownia historyczna, przyjęta przez Krakowską Akademię nauk w roku 1891.

W klasach wyższych gimnazyów męskich i szkół realnych, tudzież w klasach wyższych gimnazyów żeńskich, nauka języka polskiego opiera się na czytaniu i rozbiórce utworów literatury polskiej. Różnica pomiędzy nauczaniem w klasach niższych a wyższych zasadza się na tem, iż w klasach niższych część teoretyczna wykładów ma charakter przeważnie gramatyczny, gdy tymczasem w klasach wyższych wiadomości gramatyczne winny być uzupełnione wiadomościami z dziedziny stylistyki i historii literatury. Od nauczyciela należy wymagać, ażeby przy czytaniu i rozbiórce wskazanych w programie utworów literatury polskiej nie wdawał się w krytykę, ani też w zbędne szczegóły historyczno - literackie, lecz aby miał za cel główny zaznajomienie uczniów z treścią, planem, formą literacką, myślą zasadniczą, oraz z językiem czytanego i rozbieganego utworu. Czytaniu starożytnych utworów literatury polskiej winien towarzyszyć rozbiór gramatyczny i objaśnienia dawnych form językowych, a nadto tłumaczenie na współczesny język polski przy pomocy nauczyciela. Literatury łacińsko-polskiej program nie obejmuje, lecz w klasie V należy wyjaśnić uczniom przyczyny, dla których od wieku XII do połowy

XVI stulecia przeważał w literaturze język łaciński, tudzież wspomnieć o wybitniejszych przedstawicielach rzeczzonej literatury. Te, jako też i inne wiadomości historyczno-literackie, mają być wykładane jednak w zakresie możliwie ograniczonym i przytem w formie możliwie krótkiej, a mianowicie: kto był autorem danego utworu, w jakich czasach żył, jakie otrzymał wykształcenie jakiego kierunku jest przedstawicielem. Co do ćwiczeń praktycznych w klasach wyższych, to należy zastosować, o ile to jest możliwe, obowiązujące obecnie wskazówki dla nauczycieli języka rosyjskiego. Dla otrzymania z ćwiczeń praktycznych pożądanego skutku, oraz dla przyjęcia z pomocą wykładom teorii prozy i poezji w szkołach realnych i gimnazyach żeńskich, na początku każdego roku szkolnego w komisjach klasowych należy rozłożyć odpowiednio materiał do wykładów języka polskiego. Do nauki pamięciowej zadawać trzeba utwory wierszowane i pisane prozą, które nauczyciel powinien wybrać ze specjalnie ułożonego ich spisu, lub z zatwierdzonych do użytku szkolnego wypisów. W klasach VII i VIII gimnazyów męskich, w klasie VII szkół realnych, oraz w klasie VI gimnazyów żeńskich, uczniowie winni przeczytać w domu dwa, lub trzy całkowite utwory z liczby wskazanych w programie. Ćwiczenia piśmienne odbywać się mają w klasach wyższych gimnazyów męskich i żeńskich, oraz szkół realnych: klasowe raz na miesiąc i domowe raz na kwartał.

Przy wykładzie języka polskiego należy ściśle przestrzegać przepisów, uchwalonych przez komitet naukowy ministerjum oświaty, a mianowicie: nauczycielom języka polskiego w średnich zakładach naukowych okręgu naukowego warszawskiego dozwolono używać w czasie wykładów narówni z językiem rosyjskim i języka polskiego, przy czem winni oni dawać te same objaśnienia po rosyjsku i po polsku w tych klasach, gdzie to uzna za potrzebne na początku roku szkolnego rada pedagogiczna i władza zwierzchnia zakładu naukowego ze względu na skład uczniów w danej klasie, lub stopień postępów w praktycznej znajomości języków rosyjskiego i polskiego. Naukę gramatyki należy prowadzić w języku rosyjskim, oraz używać takich terminów gramatycznych, stylistycznych i retorycznych, jakie słyszą uczniowie na wykładach języka i literatury rosyjskiej. Do tłumaczeń ustnych i piśmiennech na język polski używane być mogą wyłącznie teksty rosyjskie, wzięte z utworów najcelniejszych pisarzy rosyjskich. W ogóle język polski wykładany być winien, o ile można, w porównaniu i równoległe z językiem rosyjskim.

Takie zmiany metodyczne przynosi nowy program.

W uzupełniających go dodatkach znajdujemy szczegółowy wykaz autorów i dzieł, z których wyjątki mają uczniowie odczytywać, lub uczyć się ich na pamięć. Nie brak tam żadnego z wybitniejszych imion. Uwzględnieni nawet zostali poeci nowsi: Asnyk, Deotyma, Konopnicka, Rzętkowski, Tetmajer i Or-ot (Oppman). Wybór nie zawsze jednak dokonany został szczęśliwie, a wybrane fragmenty w wielu wypadkach nie zdołają rzucić należytego światła ani na epokę literacką, ani na fizyognomię duchową pisarza. O Słowackim na przykład nie można sądzić jedynie na podstawie „Godziny myśli“ i poematu erotycznego: „W Szwajcaryi“, a Kraszińskiego oceniać wyłącznie, jako autora epilogu „Irydiona“. W tym kierunku stopniowo zająć powinny zmiany, do których niewątpliwie przyczyni się praktyka, nowy program bowiem już wszedł w życie.

Pójdę g!ziendziej! I lud pójdzie ze mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie  
 Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;  
 Kiedy kląć zechce, przeze mnie kląć będzie:  
 Gdy zechce płonąć, ja będę rozgrzewał;  
 Ja go powiodę, gdzie Bóg, w bezmiar, wszędzie,  
 W me imię będzie krew i łzy wylewał,  
 Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,  
 W dzień, jako słońce, w noc—jak żar prowadzi...

Tak pisał Słowacki, przeczuwając moc nieśmiertelną swojego słowa, tak pisał On, którego chłód i obojętność współczesnych zabijały, który w smutnej duszy swojej godził się na życie „najnędniesz“, a pragnął tylko sławy po śmierci, grobowi zostawiając rozwiązanie pytania, dla czego poezye jego, „mimo wytworności kształtów, tak mało mają odgłosu w Polsce“.

I grób pytanie to rozwiązał. Dziś Słowacki stał się poetą wielbionym i miłowanym, a pieśń jego idzie przed narodem „w dzień, jako słońce, w noc—jak żar“, dzwicząc echem strun złotych na najprzedniejszych lutniach współczesnych.

Popularności szerokiej i bezwzględnej nie zdobył on i nie zdobędzie nigdy, bo jest za mało dla mas przystępny, za wielki wyobrażnią i za „brylantowy“ słowem; stał się jednak Słowacki przedmiotem



kultu dla bardzo szerokiego koła zwolenników swoich, dla wszystkich ludzi, wrażliwych na piękno i subtelnych w jego odczuwaniu.

A przecież długo kult ten nie znajdował w Warszawie wyrazu zewnętrznego, w najskromniejszy nawet sposób nie uczciła ona pamięci poety, który jej pieśni swoje pod stopy kładł i nazywał ją „matką“.

Pierwszą taką pamiątką zewnętrzną jest wmurowana w kościele Ś-to-Krzyskim tablica pamiątkowa, ozdobiona portretem wieszczamalowanym na blasze przez p. B. Wiśniewskiego, w misternem obramowaniu, kutem w marmurze przez rzeźbiarza, p. Woydygę.

Tablicę tę zawdzięczamy inicjatywie i staraniom p. Haliny Tokarzewskiej. Powziąwszy ideę jej ufundowania, nie szczędziła ona trudów i zabiegów, ażeby zamiar swój do końca doprowadzić — i oto w dniu 26 listopada roku bieżącego, przy licznym bardzo udziale publiczności, odbył się uroczysty akt: *benedictionis monumenti* i odsłonięcia tablicy.

Rok kończy się w Warszawie w atmosferze jubileuszowej. Nastrój ten jest w chwili obecnej znamiennejszym, niż kiedykolwiek, ogarniając bowiem nietylko zamknięcie roku, ale i do pewnego stopnia zakończenie wieku, odróżnia się mocno od schyłkowych gdzieindziej rozdźwięków. Bez dekadenskiej pozy, rzuciwszy okiem na okres jubileuszowy Sienkiewicza, widzimy w nim wspaniałą rozkwit naszej literatury pięknej, bogatej nietylko w cudne kwiaty na dziś, ale i w odżywiające owoce na jutro! wsluchani w niezapomniane melodie Moniuszki na 500-nem przedstawieniu „Halki“, czujemy, że pieśń, która płynie z serca, — jest jedyną „muzyką przyszłości“.

Za wcześnie piszemy te słowa, aby one zawrzeć mogły obraz hołdu, jaki złożyło Sienkiewiczowi społeczeństwo polskie; z konieczności poprzestać tu wypadnie tymczasem na zaznaczeniu tego, co się już odbyło, i co zostało jako jedna z najpiękniejszych kart w historii opery polskiej.

Właściwie streszcza w sobie te dzieje jedno nazwisko Moniuszki. Byli przed nim kompozytorowie, którym na sercu leżało wytworzenie opery narodowej, są po nim muzycy, usiłujący swojskie motywy odświeżyć technieniem od wirczów, na podobieństwo pisarzy, odmładzających język echemi prastarej gwary górskiego ludu; ale Els-

ner, Kurpiński, Dobrzyński nie zdołali nigdy otrząsnąć się w zupełności z obcych wpływów, a epigoni Moniuszki w symfonii znaleźli surrogat lirycznego dramatu, i do orkiestry ze sceny go przenoszą. Jedną tylko pieśń Moniuszkowska spływa z najwyższych szczytów natelnionej twórczości, niby strumień kryształowo czysty, a wzbierając coraz pełniejszymi falami, jak prawdziwa rzeka melodyi, zasili niezawodnie kiedyś wszechświatowe jej morze. Tymczasem, mknąc wśród ukochanych ludzi, odbija w sobie wszystkie tych ludzi radości i smutki, i nawet, zabłąkawszy się wraz z nieszczęsnym „Paryą“ gdzieś nad Ganges, o lżywa się do braminów mową z nad Wisły.

Wszystko to odczuła, zrozumiała publiczność, kiedy przed skąpanym w apoteozie światła i kwiatów popiersiem Moniuszki przeciągali przez scenę, składając palmy u stóp pomnika genialnego twórcy, bohaterowie jego tragedyi, dramatów i sielanek lirycznych, których pochód illustrowały w orkiestrze, odpowiednio przez p. Młynarskiego dobrane, fragmenty ze „Strasznego dworu“, „Dziadów“, „Verbum nobile“, „Flisa“, „Beaty“, „Paryi“ i „Halki. Najuroczystszym zaś objawem tego odczucia był moment, kiedy słuchacze w całej sali, jak jeden, z miejsc swoich powstali na pierwsze dźwięki kantaty, sławiącej geniusz Moniuszki.

Nie potrzeba chyba wyjaśniać, z jaką czecią po takim wstępie słuchano Halki dwukrotnie: w południe w dramatycznej interpretacji panny Kruszelnickiej, wieczorem w lirycznym oświetleniu panny Korolewiczówny. Najoporniejsi musieli wtedy przyznać, że jest coś w tej muzyce, co wybiega poza granicę kraju i ludzi, dla których była wyśpiewaną, to coś wszechludzkiego, co naprzykład pieśni Schuberta wcieliło do muzyki całego świata. I udział artystów włoskich w uroczystości, sławiącej pamięć Moniuszki, wydał się czemś więcej, niż prostą grzecznością, a barwność etnograficzna wieńczących go na scenie bohaterów nabrała znaczenia symbolu, który przez próg kończącego się stulecia zdawał się zdążać w nieznanne przestwory nowego wieku.

---

---

# Wiadomości bibliograficzne.

---

— Szereg wydawnictw, upamiętniających jubileusz wszechnicy Krakowskiej, pomnożyła „Księga pamiątkowa Uniwersytetu Lwowskiego ku uczczeniu 500-nej rocznicy fundacyi Jagiellońskiej Uniwersytetu Krakowskiego“. Sprawozdanie z tej olbrzymiej publikacyi, na którą złożyły się specjalne rozprawy, może być opracowane tylko zbiorowemi siłami; tymczasowo zatem poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance bibliograficznej.

— Wydział filologiczny Krakowskiej Akademii Umiejętności ogłosił tom XVI (serya II) swoich rozpraw (ogólnego zbioru tom 31), zawierający następujące studia: J. Tretiaka: „Miedziany jeździec Puszkina“; M. Kawczyńskiego: „O pismach oratorskich i filozoficznych Apulejusza Platończyka z Madaury“ i „Apulejusza *Metamorfozy*, czyli powieść o złotym osle“, oraz A. Brücknera: „Język Wacława Potockiego—przyczynek do historii języka polskiego“.

— Jako wydawnictwa „Przeglądu Filozoficznego“, ukazały się rozprawy d-ra Henryka Gomperza: „Krytyka hedonizmu“ i „Uzasadnienie filozofii neosokratycznej“—przełożone przez Antoniego Krasnowolskiego.

— Firma Władysława Okręta wydała pierwszą część Nietzsche'go: „Książki dla wszystkich i dla nikogo. *Tak mówił Zaratustra*“.

— „Szkice z dziejów filozofii“ — w niewielkiej broszurze zestawil F. S.

— Syntetyczny zarys końca wieku zamierzyła przedstawić p. Marya Czesława Przewóska w książce pod tytułem: „Ż nowych dni“. O pracy tej, zawierającej zbiór rozpraw filozoficznych, społecznych, literackich i artystycznych, pomówimy wkrótce obszerniej.

— Jako tom drugi seryi II lwowskiej publikacyi: „Wiedza i Życie“, wydano studjum krytyczne d-ra Gustawa Piotrowskiego pod tytułem: „Zola i naturalizm“. Przeczytawszy tę pracę, mimowoli trzeba sformułować pytanie: dlaczego taka książka nie ukazała się dawniej, kiedy to wszystko, co w niej jest, było już niezbitą prawdą lat temu 15? Studjum p. Piotrowskiego jest dobrym przyczynkiem do krytyki polskiej; szkoda że polszczyzna w niem nie szczególna, styl zaniedbany — a korekta okropna.

— „Estetyka“ d-ra Karola Lemckiego w przekładzie Bronisława Zawadzkiego, doczekała się we Lwowie trzeciego wydania, które sumienny tłómacz przerobił według ostatniej szóstej z rzędu edycyi niemieckiego orygina-

łu w ten sposób, że „przejął fundamentalne zmiany rzeczowe, jakie poczynił Lemcke w swem dziele, licząc się z przeobrażeniami pojęć, jakim umiejętność estetyczna uległa w naszych oczach“.

— Nakładem księgarni Jana Fiszera wyszły trzy odczyty Johna Ruskina: „Sezam i Lilie“ w tłumaczeniu W. Szukiewicza.

— Ze skarbca poezji polskiej ułożyła Wanda Żeleńska pamiętnik i nazwała go „Horoskopem“, można w nim bowiem zastosować zwyczaj, przyjęty w horoskopach, podpisywania swego nazwiska pod datą urodzenia. Z wierszyka, przypadającego pod tą datą, wysnuwają się wróżby na przyszłość.

— Józef Krajewski napisał poemat w czterech pieśniach pod tytułem: „Odrodzenie“, a Tytus Mniszek obrazek sceniczny w jednym akcie wierszem, pod tytułem: „Jedna noc w Wenecyi“.

— Nakładem Krakowskiej Akademii Umiejętności wydało zeszyt III część II) „Bibliografii historii polskiej“, zebranej i ułożonej wspólnie z d-rzem Henrykiem Sawczyńskim i członkami Kółka historycznego uczniów uniwersytetu lwowskiego; Jana Czubka studjum biograficzne pod tytułem: „Wspazyan z Kochowa Kochowski“ i Stanisława ze Szczurkowiec: „Rozmowę pielgrzyma z gospodarzem o niektórych ceremoniach kościelnych (1549)“, wydaną przez d-ra Zygmunta Celichowskiego.

— Przyczyńku do dziejów panowania Zygmunta Starego wyszedł zeszyt I, zawierający: „Recess graniczny między Wielkopolską a Księstwem Głogowskiem z roku 1528 — 1531“, wydany z mapą pasa granicznego, w Poznaniu przez d-ra Zygmunta Celichowskiego, nakładem Biblioteki Kórnickiej.

— P. Adam Boniecki rozpoczął trzeci tom Herbarza polskiego.

— Osmy zeszyt Atlasu geologicznego Galicyi z tekstem d-ra Wawrzyńca Tesseyre, wydany został nakładem Krakowskiej Akademii Umiejętności.

— P. Witold Małaczyński napisał i wydał z zapomogi Kasy d-ra Mianowskiego pracę, pod tytułem: „Rozwój terytoryalny miasta Warszawy“.

— Tom XVI „Pamiętnika Fizyograficznego“ wyszedł z druku i zawiera w dziale I meteorologię i hydrografię, w dziale II geologię i chemię, a w dziale III botanikę i zoologię.

— Tom XI „Prac matematyczno - fizycznych“, wydawanych przez S. Dicksteina, Wł. Gosiewskiego, Wł. Natansona, A. Witkowskiego i K. Żorawskiego, ukazał się niedawno. Wyszedł również zeszyt 5—6 (tom IV) „Wiadomości matematycznych“, redagowanych przez S. Dicksteina.

— Dr Ludwik Silberstein wydał „Wstęp do dziedziny zjawisk elektromagnetycznych“ (Część I. Niezmiennne pole magnetyczne). Całe dzieło zawierać ma rozszerzoną treść szeregu wykładów publicznych, wygłoszonych przez autora we Lwowie.

— Zeszyt IV „Przeglądu filozoficznego“ zawiera prace d-ra W. M. Kozłowskiego: „Połączenie chemiczne ze stanowiska teorii poznania“; d-ra W. Biegańskiego: „Genezę pojęć“; W. Witwickiego: „Psychologiczną analizę ambicji“, przegląd krytyczny, polemikę, autoreferaty i sprawozdania.

— O dramacie lizeycznym p. Jana Zakrzewskiego pod tytułem „Anauke“, podamy wkrótce obszerniejsze sprawozdanie.

— Z literatury powieściowej mamy do zanotowania część Irzecią („Sława“) powieści historycznej XVII wieku Adama Krechowickiego pod tytułem: „O tron“. Kartę historyczną podaje również p. Ernest Łuniński w opowiadaniu z czasów Jana III pod tytułem: „Na stos“. Nakładem księgarni Grendy-szyńskiego w Petersburgu wydano powieści: Maryi Rodziewiczówny: „Nieo-swojone ptaki“ i Stefana Krzywoszewskiego; „Zmierzch“. Pan Kazimierz Las-kowski wystąpił z powieścią: „W ślady ojców“ i z humoreską wierszowaną pod tytułem: „Poradnik dla dłużeńków“. Firma Władysława Okręta wydała „Clio“ Anatola France'a, w przekładzie p. Stanisława Popowskiego.

— Do „Biblioteki dzieł wyborowych“ przybyły tomy: 157 „Powietrze i zdrowie“, wykłady popularne d-ra Pettenkoffera, 158 i 159: „Na wyżynach“, powieść Maryi Rodziewiczówny i 161: „Ze świata“, akwarele i szkice Anny Neumanowej.

— O kończącym się roku przypominają kalendarze, zwiastując każdy po swojemu rok nowy. Pogotowie ratunkowe wydało bogaty w niezbędne wskazówki „Kalendarz informacyjno-ekspedycyjny na rok 1901“, a obok tego nowicjusza stara firma Ungra ozdobiła, jak zwykle, swój kalendarz na 1901 rok urozmaiconym działem literackim.

— Zręczny popularyzator ludowy, Kazimierz Promyk, wydał czwartą już edycję swoich „Ciekawych zjawisk w świecie, co, choć ludzie na nie ciągle patrzą, ale ich zwykle nie rozumieją“.

— Nakładem księgarni Dubowskiego wyszły, z niemieckiego przez Wł. U. przełożone „Wskazówki do zbierania krajowych motyli, poczwarek i gąsienic, oraz do urządzania zbiorów amatorskich“. Książeczka, obficie illustrowana, stanowić może pożyteczny upominek gwiazdkowy. Na gwiazdkę również przygotowała ta firma ładne wydawnictwa obrazkowe. „Powieści czerwonego kapturka“, „Bajeczki kotka Mruczusia“, „Wesołe wakacje“ i „Zwierzyniec wiejski“, zajmą działość zarówno barwnymi ilustracyami, jak wierszowanym tekstem Or-Ota.

— Jako wydawnictwo księgarni Sadowskiego, ukazał się Jadwigi Warnkówny zbiór powiastek i wierszyków dla młodszych dzieci pod tytułem: „Czytajcie dzieci!“ . Umiejętnie pod względem tekstu urozmaiconą książeczka, ozdobiona jest rysunkami Emila Lindemana.

— Wydawnictwa artystycznego pod tytułem: „Album sztuki polskiej“, wyszły zeszyty XI i XII, zamykające serię I tej interesującej publikacji, w której Henryk Piątkowski opracował Wystawę retrospektywną z 1898 r.

— W zeszytach IV i V dwutygodnika „Świat artystyczny“, wychodzącego pod redakcją profesora W. Gersona, mieszczą się, obok cennych ilustracji, artykuły redaktora: „Józef Brodowski“, „Kilka głosek języka plastycznego“, „O popiersiach królów, umieszczonych na domu przy ulicy Daniłowi-czowskiej № 14“, Antoniego Jabłońskiego: „Przodownica sztuk plastycznych“,

W. S.: „Pomnik Chopina“, H. Feldmanowskiego: „Z poezeyi Benvenuta Celliniego“, W. Nawrockiego: „Benvenuto Cellini w czterechsetną rocznicę urodzin artysty“, M. Massoniusa: „O pierwiastku poetyckim w sztukach plastycznych“, J. Hinza: „Sztuka średniowieczna“ — rzecz o budowie wieży Jasnogórskiej, Kronika sztuk pięknych, ogłoszenia i t. d.

— Piękne wydawnictwo: „Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX“ dobiegło do końca pierwszego tomu w trzech zeszytach (XIII, XIV i XV), które w jeden zostały złożone. W tak powiększonym zeszycie znajdujemy biografie: Jana Piwarskiego i Henryka Marconiego — przez W. Gersona; Jerzego Samuela Bandtkiego — przez Piotra Chmielowskiego; Józefa Wielhorskiego — przez Szymona Askenazego, Agenora Gołuchowskiego i Franciszka Smolki — przez Adama Bienkowskiego; Wojciecha Jastrzębowskiego i Łukasza Gołębiowskiego — przez Zygmunta Glogera; ks. Jakóba Falkowskiego i Aleksandra Fredry — przez Jana Nitowskiego; Karola Libelta, Macieja Rybińskiego i Bronisława Trentowskiego — przez Maryana Massoniusa; Zoryana Dołęgi Chodakowskiego — przez Fr. Rawitę Gawrońskiego; Władysława Anczyca i Lucyana Siemińskiego — przez Henryka Gallego; Augusta Bielowskiego — przez Michała Rollego; Jana Lama — przez Kazimierza Wróblewskiego; ks. Franciszka Malinowskiego — przez Ad. Kryńskiego; Oskara Kolberga — przez H. Łopacińskiego i Augusta Dziarkowskiego — przez Józefa Pcszkego.

W rozumnej przedmowie Stanisława Krzemińskiego, dołączonej do zakończonego tomu, zaakcentowane jest zadanie wydawnictwa: „przypomnienie sił czynnych a wybitnych XIX wieku, odświeżenie w pamięci dzisiejszych — ludzi wstawionych geniuszem, talentem, wiedzą, pracą i zasługą; przesunięcie ich przed oczyma dzisiejszego pokolenia w zwięzłych, treściwych zarysach, — a o ile-by talent piszącego dopomógł, — to i w życiem tętniących obrazach“. Z dotychczas wydanego oddziału „Albumu“ wnosząc, sumiennie stwierdzić można, że publikacja dobrze się z tego zadania wywiązała.

— Zamknięcie szkoły handlowej imienia Leopolda Kronenberga w chwili, gdy dobiegała okresu dwudziestopięcioletniego istnienia, nasunęło byłym jej wychowañcom myśl pozostawienia trwałej po niej pamiątki przez wydanie historii rzeczonyj szkoły, a tem samem uczczenie pamięci jej założyciela. Wykonanie tej myśli powierzono Romanowi Plenkiewiczowi, który, o ile na to pozwoliła trudność wyjaśnienia pobudek, będących sprężyną działania ludzi jeszcze żyjących, przedmiotowo opracował materiał, cenny dla przyszłego historyka oświaty krajowej.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

**Michał książę Radziwiłł.**

# SPIS RZECZY

*zawartych w tomie czwartym*

z roku 1900.

---

## H i s t o r y a.

	Str.
AGENOR HR. GOŁUCHOWSKI W PIERWSZYM OKRESIE RZĄDÓW SWOICH (1846 — 1859). (Sprawy ekonomiczne), — przez d-ra Bronisława Łozińskiego . . . . .	79
KAMIENICE W RYNKU STAROMIEJSKIM W WARSZAWIE. (Wyjątek z większej całości), — przez Wiktora Gomulickiego . . . . .	102
POWIEŚCI LUDOWE. (Szkice literackie i obyczajowe), — przez A. Brücknera . . . . .	201

## L i t e r a t u r a.

PRZEKONANA. Powieść (dokończenie), — przez Al. Suszczyńską . . . . .	1
--	---

PAN BALCER W BRAZYLII. — III. POWRÓT, — przez Maryę Konopnicką . . . . .	121 i 336
NA SKRAWKU ZIEMI. Nowella, — przez Maryana Gawale- wicza . . . . .	245 i 504
GWIAZDA BETHLEEMSKA (wiersz), — przez Michała Radzi- dziwiłła . . . . .	501
ZIMA (poezye), — przez Edmę Mierz . . . . .	560

### Studia i szkice literackie i artystyczne.

ELIZA ORZESZKOWA (dokończenie), — przez A. Drogoszew- skiego . . . . .	51
ECHA Z WIELKIEGO BAZARU. III. „ULICA NARODÓW“, — przez Antoniego Potockiego . . . . .	131
„MŁODA POLSKA“. Poezye, nowelle, fragmenta dramatów. MCM. Ry- sunki i układ St. Wyspiańskiego, — przez Stani- sława Kozłowskiego . . . . .	295
POGADANKA ARTYSTYCZNA. Obrazy Jacka Malczewskiego, — przez Stefana Popowskiego . . . . .	355
O „KRZYŻAKACH“, — przez Maryę Konopnicką . . . . .	393
ZWROT W MODERNIZMIE NIEMIECKIM. II. DRAMAT, — przez d-ra Józefa Flacha . . . . .	443

### Sprawy społeczne, prawne i ekonomiczne.

EKONOMIA SPOŁECZNA NA WYSTAWIE PARYSKIEJ, — przez Henryka Radziszewskiego . . . . .	27
--	----



Z DZIEDZINY ŻYCIA ROLNICZEGO WE FRANCYI. — przez Władysława Grabskiego . . . . .	279
O KIERUNKU BADAŃ EKONOMICZNYCH, — przez St. Kemptnera . . . . .	543

### Archeologia i Etnografia.

WŚROD STEPÓW I JARÓW. Kultura przeddziejowa, — przez Ksawerego Chameca . . . . .	305 i 465
--	-----------

### K r y t y k a.

Prof. Oswald Balzer: „Sejm mazowiecki pod rządem koronnym 1526 — 1540“; — Piekosiński: „Wiece, sejmiki, sejmy i przywileje ziemskie w Polsce wieków średnich“, Kraków, 1900, — przez A. R. . . . .	174 i 363
Antoni Potocki (Jerzy Grot): „Martosia i my“, Nowelle: Lwów, 1900. Nakładem Towarzystwa wydawniczego (str. 190), — przez Maryana Gawalewicza . . . . .	180
Leo Belmont: „Rymy i rytmy“. Wybór poezyi. Trzy tomy. Warszawa, 1900; — Zygmunt Glogier: „Rok polski w życiu, tradycyi i pieśni“. Warszawa, 1900; — Antonina Matuszewic: „Dwa prądy“. Lwów, przez Z. D. . . . .	370 i 564
Mieczysław Głusiński: „Poezyc“, Warszawa, nakład Dubowskiego, 1901, — przez M. W. . . . .	374
Józef Dunin-Karwicki: „Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości“. Wolińskie opowiadanie historyczne. Warszawa, 1901, przez M. R. . . . .	570

## Kronika miesięczna.

### PAŹDZIERNIK.

Str.

Warszawskie Towarzystwo pomocy lekarskiej i opieki nad umysłowo chorymi. — Parę uwag o młodzieży uniwersyteckiej. — Encyklopedia wychowawcza. — Galeria muzeum b. Szkoły sztuk pięknych. — „Zdobnictwo na Podhalu“ Malinowskiego. — Dwie nowe książki . . . 184

### LISTOPAD.

Kilka uwag z powodu dnia Zadusznego. — Szkoły elementarne w Warszawie. — Sprawa odczytów w miastach prowincjonalnych. — Walka z ospą. — Przytułek dla rzemieślników i robotników fabrycznych i nowa jego siedziba. — Bocznic kolejowa w Zagłębiu Dąbrowskiem. — Nad świeżą mogiłą . . . . . 375

### GRUDZIEŃ.

Śmierć Naczelnika kraju. — Kilka słów o telefonach w Warszawie. — Kolej płocka. — Wydawnictwo „Zbioru praw Królestwa Polskiego“. — Nowy program wykładu języka polskiego w szkołach średnich. — Tablica, poświęcona pamięci Słowackiego. — Jubileusze . . . . . 571

## Wiadomości bibliograficzne.

PAŹDZIERNIK . . . . .	197
LISTOPAD . . . . .	389
GRUDZIEŃ . . . . .	585

---

# ŚWIAT ARTYSTYCZNY.



Wisniewski sc.

Dwutygodnik Sztukom Plastycznym Poświęcony.

## PROSPEKT.



odłojakie przybieramy mówi samo za siebie, samo jest programem działania, samo już określa sferę, w jakiej pragnęlibyśmy znaleźć pokarm dla dusz łaknących wznoszenia się w sfery wyższe. W tem godle streszcza się zarówno podstawa na jakiej usiłowania nasze odnośnie do przeszłości oprzeć zamierzamy, jakoteż i dążenie do przyszłości skierowane. Piękno tedy obrazowe w przejawach trzech sztuk, postaciowemi (plastycznemi) zwanych, zawarte, piękno, będące ich promieniem świetlanym, ich życiem, ich ciepłem zamierzamy we wszystkich jego postaciach, tak duchowej, jak i zew-

nętrznej natury, poddawać rozmysłowi, uwadze i rozbirowi czytelników naszych, zdawać sprawę z jego zakwitu, prowadzić drogą do ukochania prawdy w niej zawartej, do wskazania pożytków jakie z sobą wnosi do życia społecznego, z jego udziału w sprawie dobra powszechnego.

Jako pomoc nieodłączną od przedstawiania objawów piękna, użyjemy obrazowania powabów jego w odwzorowaniach, które słowu w pomoc przyjsć muszą, które nieodłączną całość ze słowami tworzyć mają, lub nieraz samo słowo zastępować będą.

Piękno obrazowe bez obrazowania (ilustracji) obejść się nie może.

Tym sposobem program faktyczny składać będą w treści:

1-o Rozprawy z teorii sztuk pięknych, z ich filozofii i estetyki.

2-o Historyczne na sztukę poglądy, powieści i anekdoty.

3-o Wiadomości do rozumienia piękna postaciowego prowadzące to jest to, co nazwalibyśmy nauką czytania w przyrodzie i w dziełach sztuk obrazowych, architekturze, rzeźbie i malarstwie.



4-o Wiadomości o sposobach wykonywania dzieł sztuki.

5-o Wiadomości pomocnicze do sztuk pięknych jak historia zwyczajów, obyczajów i ubiorów, zdobnictwo.

6-o Kronika sztuk Pięknych plastycznych

7-o Sprawozdania z wystaw krajowych i zagranicznych. Krytyka.

8-o Korespondencye, Bibliografija.

9-o Ogłoszenia.

Ilustracye i osobno dodawane ryciny.

## Program powyższy

życzliwie przyjęli i współpracownictwo swoje łaskawie przyobiecali następujący na niwie sztuk teoretycznie i praktycznie działający:

PP. Alchimowicz, Austen, Badowski, Chelmoński, Domaniewski, P-na Dulębianka, P-ni Gażycz, P-na Gersonówna, Gliński K., Górski, Heurich Jan, Hintz, Jabłoński, Jaroszyński T., Jasiński Z., Kamiński Antoni, Kaszewski K., Kaufman L., Kędzierski, P-ni Konopnicka, Korotyński W., Kozłowski Karol, Łopieński J., Marconi Wł., Massonius, Maszyński J., Matuszewski I., Mordasewicz, Piątkowski H., Piechowski Wojciech, Pillati X., Piotrowski A., Popowski S., Rapacki Józ., Ryszkiewicz, Sarnecki Z., Słupski F., Smolikowski S., P-na Stankiewiczówna, Struwe H., Szwojnicki, Szyller, Tański, Wasilkowski K., Wasilkowski L., Wejchert W., Weissenhoff, Weloński P., Zagórski.

Niniejszym zaś wszystkim miłujących sztuki piękne plastyczne i uprawiających je, do współdziałania i współpracownictwa zapraszamy.

Redakcja: **Henryk Piątkowski** art. mal.  
**Pr. Pius Weloński**  
**Stefan Szyller** architekt.



„Świat Artystyczny“ wychodzić będzie co dwa tygodnie 1 i 15 każdego miesiąca, w formacie niniejszego prospektu, objętości dwóch arkuszy druku.

Numer pierwszy wyjdzie dnia 1 Października r. b.

### Warunki prenumeraty:

Cena w Warszawie rocznie rb. **10**, kwartalnie rb. **2** kop. **50**  
na prowincyi „ „ **11** „ „ **3**.  
Ogłoszenia na okładce.

Prenumerować można u wydawcy Oboźna 5 i we wszystkich księgarniach.

Redaktor i Wydawca **Wojciech Gerson**.

Ekspedycja główna w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie Krak. Przed. № 15